

„ORZEŁ BIAŁY“
(White Eagle)
(L'Aigle Blanc)

December 1965

Price 3/6

Cena 3/6

\$ 0.50; 2.50 F.



ORZEŁ BIAŁY

SYRENA

GRUDZIEŃ

1965

B.D.I.C.

Nr 17/1164

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM



FOP 2156

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

skł a d a

WSZYSTKIM KLIENTOM

DYREKCJA

ROBIŃSKI & CO. LTD.

IMPORT I HURT ŻYWNOSCI

41, HARRINGTON ROAD, LONDON, S.W. 7.

Tel.: KNI 5201



ŻYCZENIA

MIŁYCH, POGODNYCH

ŚWIĄT

i

SZCZĘŚLIWEGO

NOWEGO ROKU

skł a d a

KLIENTOM I ZNAJOMYM

Dyrekcja

ZYLAN LTD.

IMPORT I HURT ŻYWNOSCI

55, Pietfield Street,

London, N. 1.

Tel. CLE 2961

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE

i

NOWOROCZNE

skł a d a

WSZYSTKIM KLIENTOM

Dyrekcja

L. SCHWEIZER Ltd.

IMPORT I HURT ŻYWNOSCI

55, Farringdon Road,

London, E. C. 1.

Tel. CHA 7257

NAJLEPSZE ŻYCZENIA

ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

skł a d a

WSZYSTKIM KLIENTOM

M. B. GRABOWSKI

GRABOWSKI EXPORT — IMPORT LTD.

175, DRAYCOTT AVENUE, LONDON, S.W.3.

Tel. KEN 0750 i 9656

W NUMERZE :

- Ks. Jerzy Mirewicz, T.J.: Czy warto iść do Betlejem? 1
- Zdzisław Stahl: Konflikt regionalny o zarodkach światowych 5
- Stefan Mękowski: Kryzys uniwersytetu w Polsce współczesnej 9
- Paweł Zaremba: Śp. Jan Bielatowicz 7
- Stanisław Paczyński: Prawne bezprawie gomulkiizmu 7
- Napoleon Sadek: Karpacka tradycja 12
- Zbigniew Grabowski: Niemieckie porachunki z przeszłością 13
- D, Michał: „The Pill“ — „Pigułka“ 17
- W. Lewandowski: Powstanie ropy naftowej 18
- Jan Krok-Paszowski: Walka o złotego rubla 19
- Tadeusz Radwański: Konflikt sowiecko-chiński (III) 21
- Klara Evans: „Enigma“ czyli kim jest kobieta? 23
- Stanisław Kotwicz: Drzazgi 24
- Mieczysław Paszkiewicz: O naturze smoków czyli o niepokoju (Z rysunkami Stanisława Niezewskiego) 25
- Jan Ostrowski: 200 lat teatru polskiego i życie kulturalne polskiego Londynu 27
- Czesław Dobek: Koledzy Teodora Bakalarza — o prozie Jana Rostworowskiego 29
- Kazimierz Glabisz: Kamikaze 31
- Helena Żurkowska: Sutanny na Par-nasie 33
- Stanisław Błaszczak: Na łodzi podwodnej nieprzyjaciela 34
- Teodozja Lisiewicz: . . . i Mahomet prorok Jego . . . 36
- Hilda Jankowska: Pytania bez odpowiedzi 38
- Stefan Wóycicki: Pokój ludziom . . . a także pani Kownackiej 40
- Marian Czarnecki: Satelita francuski Z życia Polaków w Świecie 43
- P. H.: Światowy Zjazd Koła A.K. 47
- Krzyżówka, Karykatura świąteczno-polityczna (Emesa), Listy do redakcji, Komunikaty

PRACOWNICY I ZARZĄD DRUKARNI „GRYF“

SKŁADAJĄ KLIENTOM I PRZYJACIOŁOM

SERDECZNE ŻYCZENIA

„WESOŁYCH ŚWIĄT“

Okładka tego numeru jest reprodukcją obrazu nieznanego malarza z drugiej połowy wieku XV, którego historia sztuki określa jako ucznia sławnego malarza krakowskiego, anonima, zwanego „Mistrzem Chórów“.

Obraz przedstawia NMPannę z Dzieciątkiem. Malowany około roku 1470 dla któregoś z kościołów diecezji kujawskiej znajduje się obecnie w Włocławku.



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność
MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
WSPÓŁCZESNYM

Nr 17/1164

GRUDZIEŃ 1965

Rok XXV

KS. JERZY MIREWICZ T.J.

Czy warto iść do Betlejem?

(ŚWIĄTECZNE I NIEŚWIĄTECZNE REFLEKSJE)

ZESZLI znowu z kart Ewangelii i wędrują przez wyobraźnię świata chrześcijańskiego — jak ongiś przez pastwiska Judei i przez pustynię — pasterze oraz Mędrcy ze Wschodu. Znamy cel ich pośpiechu i przedmiot poszukiwań. Wiemy że dotrą do Chrystusa, pokłonią się Mu, złożą dary i opromienią początek opowieści o naszym zbawieniu wielką radością. Ale to nie znaczy, żeby nam było wolno ten epizod z kroniki przekazującej tajemnicę wejścia Zbawiciela w dzieje ludzkości odczytywać w nastroju sielankowym. W Ewangelii nie ma miłych sercu i do niczego nie obowiązujących sielanek. Każde bowiem jej słowo, każda pozornie najmniej znacząca scena wciągnięte są w centrum dramatu o losach człowieka. A więc i z przedziwnej gwiazdy na niebie, ze śpiewu Aniołów, ze zdumiewania się pasterzy, z trudu Mędrców ułożyć można, a nawet trzeba, pytanie: Czy warto iść do Betlejem?

Brzmi ono brutalnie i kładzie się niejako w poprzek dróg, którymi od poranka naszej ery aż do dziś idą pielgrzymi, by uczcić miejsce narodzenia Pańskiego. Pielgrzymujemy tam wszyscy przynajmniej zadumaniem się nad wartością ideałów życiowych proponowanych nam przez Narodzonego w mieście Dawidowym. Tak zaczęli kiedyś swoje ustosunkowanie się do nowej religii faryzeusze w Jeruzalem i niewolnicy w Rzymie. Nie trzeba krzywdzić tych pierwszych świadków zadawania się chrześcijaństwa w historii po-

sądaniem, że ich przyłgnięcie do nauki Chrystusa lub uparte odrzucanie jej dyktowane było jedynie pobudkami irracjonalnymi. Obraz gmin chrześcijańskich powstających tam, gdzie apostołowie głosili Dobrą Nowinę, został przez niektórych apologetów i historyków stanowczo przejawskrawiony przez wprowadzenie weń jako głównego elementu bardzo swoiście interpretowanego pojęcia pierwotnego entuzjazmu wiary. Jest to pewne, oczywiście niezamierzone, pomniejszanie godności i zasług tych ludzi, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że oto postawiono ich przed koniecznością bardzo trudnego wyboru nie między całkowitą pustką duchową a olśniewającym i bogatym objawieniem się prawdy, lecz między dotychczasową religijną wizją rzeczywistości a wizją nową wyrastającą z ofiary Chrystusa i żądającą ofiarnego także jej przeżywania. Z jednej bowiem strony nie mogli przecież odrzucić całego dziedzictwa kulturalnego, gromadzonego przez tyle pokoleń szlachetnymi i bohaterskimi wysiłkami wielkich myślicieli, artystów, prawodawców i przywódców politycznych — to był przecież rodzinny dom ich psychiki oraz duszy narodu.

A z drugiej strony świadomi byli, że usłyszana opowieść o Zbawicielu wciąga ich w nadzwyczajną przygodę koronowaną zwycięstwem tylko przez tego, kto na losy wszechświata i na swoje własne w nim dzieje potrafi patrzeć poprzez ideę królestwa Chrystusowego i tę ideę w sobie i naokoło siebie kosztem nawet

★ ★ ★
Składamy Czytelnikom i wszystkim Polakom serdeczne życzenia pogodnych i dobrych Świąt Bożego Narodzenia. Wiła jest chwilą skupienia i radosnego wzruszenia. Najważniejszy to moment by wspomnieć tych wszystkich, którym jest ciężko. A także by po latach rozgoryczenia i zawodów przypomnieć sobie, że jedynie niewzruszona wiara w ostateczne zwycięstwo dobra nad złem może przybliżyć chwilę, gdy Polsce zwrócona będzie wolność.

Rok następny będzie dla nas rokiem milenijnym — tysięcznym rokiem od daty Chrztu Polski. Wejście Polski w orbitę kultury chrześcijańskiej zbiegło się prawie dokładnie ze znanymi historycznie początkami państwa polskiego. Różne są i różne jeszcze mogą powstać interpretacje naukowe zbieżności obu wydarzeń. Nic jednak nie zmieni faktu, że istniejemy jako naród od tysiąca lat, że jesteśmy narodem chrześcijańskim i że chcemy nim pozostać. W zmieniającym się coraz szybciej świecie współczesnym, świadomość własnej przeszłości i własnej odporności jest wartością cenną. Rachunek sumienia narodowego w tym roku milenijnym przyda się bardzo dla rozprawienia się z małością własną i niechęcią obcych.

Millenium poświęci „Orzeł“ szczególną uwagę w swych numerach w roku 1966.

* * *
Otrzymałmy kilka listów — jeden z nich drukujemy w tym numerze — oraz szereg telefonów, w których wytykano nam pominięcie w numerze listopadowym rocznicy 11 listopada. Miesięcznik naszego typu ma inne zadania niż pismo codzienne lub tygodniowe. Staramy się w treści artykułowej dawać nowe oryginalne opracowania, unikając powtarzań i artykułów o charakterze tylko i wyłącznie „okolicznościowych“.

* * *
W numerze bieżącym nie zdotałmy zmieścić wiele z przeznaczonych do niego materiałów. Wyliczamy niektóre z nich, zapowiadając ich ukazanie się w numerze styczniowym: Jana Tokarskiego część drugą „Uwag o ruchu koncyliarnym“, Stanisława Piekuta rozważania o siedemsetnej rocznicy Dantego, Tadeusza Narwida artykuł „Epilog sprawy Pieńkowskiego“, Czesława Jeśmana opracowanie pamiętników generała Knox. Wreszcie kilka recenzji, wśród nich o książce generała Kopańskiego „Moja służba w wojsku polskim“.

* * *
Przepraszamy pana Bohdana Samborskiego za umieszczenie wspomnień o śp. Aleksandrze Kawalkowskim z podpisem „Bohdan Janikowski“. Przyczyną była trudność odcyfrowania rękopisu.

wielkich trudów zapragnie realizować. Wyczuwali w tym wezwanie do jakiejś radykalnej przemiany wewnętrznej, która ma się odbywać we wszelkich uwarunkowaniach zewnętrznych w każdej sytuacji życiowej, we wszystkich kręgach kultur i cywilizacji. Kiedy więc święty Paweł mówił im: „Jeśli tedy kto jest w Chrystusie, jest nowym stworzeniem; dawne rzeczy przymięły, oto wszystko nowym się stało“, to wcale nie sądzili, że te słowa jak burza mają przejść przez ich życie spalając wszystko i niszcząc, by dopiero na tak absolutnie oczyszczonej z przeszłych przemyśleń, doznań, pragnień, planów i czynów pustyni mogły wyrósć wspaniałe wartości triumfującego chrześcijaństwa.

Idea zbawienia nie wciela się w ruiny lecz w żywy zastany konkret. A chociaż podczas wiosny chrześcijaństwa odzywały się głosy o konieczności odwrócenia się całkowitego od skarbcza myśli i dokonań pogańskiego świata, to jednak nie wyrok nań wydawany przez Tertuliana fanatycznym twierdzeniem: „Cóż mają wspólnego Ateny z Jerozolimem?... Nie potrzebujemy żadnej filozofii posiadając Ewangelię“ przeważały, lecz spokojny i szlachetny sąd tych, którzy umieli patrzeć mądrymi i dobrymi oczami na wysiłki każdego człowieka dążącego do zdobycia prawdy. O tych wysiłkach tak pisał Klemens Aleksandryjski: „Przed przyjściem Pana filozofia była niezbędną, żeby Grecy mogli być doprowadzeni do sprawiedliwości; a teraz jest bardzo użyteczna, żeby ich doprowadzić do oddania czci Bogu... A może filozofia została Grekom dana bezpośrednio jako dar, zanim Pan skierował swe wezwanie aż do nich; wychowywała ich bowiem tak jak Prawo Mojżeszowe Żydów do dojścia do Chrystusa. Filozofia jest trudem przygotowawczym; otwiera ona drogę przed tym, którego Chrystus później doskonałym czyni“. A w innym miejscu taki hold składa przedstawicielom myśli filozoficznej czasów przedchrystusowych: „Pitagoras ze swymi uczniami jak również Platon nie byli pozbawieni pomocy Bożej, gdy trzymali się wiernie swej wewnętrznej wizji mierzącej ku prawdzie. We wielu więc wypadkach zgadzali się ze słowami proroków. Badali bowiem prawdę w całości i w częściach oraz czcili ją

starając się, by ich pojęcia jasno przylegały do dostępnej im i uchwytej rzeczywistości. Dane im było wyuczucie tego, co jest związane z prawdą. Dlatego umiłowanie jej przez Greków podobne jest do lampy, którą ludzie zapalili.“ Ukazywano więc poganom, jak przez ich kulturę przechodziła prawda ratując w niej wszystko, co mogłoby później przypaść z radością do stóp Zbawiciela mówiącego o sobie: „Jam jest prawda“.

Stąd też takie śmiałe i zaskakujące nas jeszcze dzisiaj wypowiedzi pisarzy chrześcijańskich ówczesnej epoki — jak na przykład Justyna: „Wszyscy żyjący według poznanego Logosu byli już wtedy w jakiś sposób chrześcijanami, chociaż by przez swoich współczesnych uważani byli za bezbożnych, jak to się stało u Greków w stosunku do Sokratesa i Heraklita“.

A gdy w jednym z wielu listów Izydora z Peluzjum natniemy się na zdanie, w którym Homer jest nazwany „genialnym świadkiem“ nie tylko swoich czasów, lecz i spraw dziejących się w każdej duszy ludzkiej, to możemy być dumni, że głoszenie Dobrej Nowiny nie było jednoznaczne z potępieniem arcydzieł czczących wprawdzie Zeusa, Atenę i Afrodytę ale równocześnie i może jeszcze troskliwej zabiegających o wyjaśnienia, na czym polega godność człowieka.

Po to wyjaśnienie trzeba było iść aż do Betlejem. Nie łatwa była doń droga ani Żydom ani poganom. Pierwsi wprawdzie nieśli nazwę tego miasteczka w proroctwie Micheasza zwiążaną z przyszłym objawieniem się mocy Wodza ludu, ale w tworzonej w czasie długiego oczekiwania wizji królestwa Mesjańskiego nie potrafili zmieścić stajni, żłobu, bezdomności a więc i cierpienia, Golgoty i krzyża. Oni, bogaci w tak wspaniałą historię wyznaczoną wybraniem, posłannictwem i cudownymi interwencjami Bożymi, nie mogli zrozumieć, żeby opowieść o Dziecku leżącym w żłobie i Nauczycielu konającym na krzyżu, miała być ukoronowaniem tej historii przynoszącym najwspanialsze rozwiązanie zagadnienia: Bóg — człowiek. Zmitologizowali swoje własne losy i w wielu wypadkach już nie Bożymi Słowami mierzyli własne postępowanie, lecz szukali w nich tylko potwierdzenia zamysłów i czynów błakających się poza planami Stwórcy.

Nie lekka to rzecz być partnerem Boga w kształtowaniu takiej rzeczywistości, która zawsze dawałaby człowiekowi szansę zrozumienia oraz przyjęcia ofiarowanej mu pozycji prawdziwego szczęścia. Gdy więc Psalmista wołał w imieniu całego narodu: „Albowiem doświadczyłeś nas, o Boże; ogniem próbowałeś, jak próbują srebro; wprowadziłeś nas w pułapkę; brzemie ciężkie włożyłeś na grzbiety nasze“, to może i on i ci, którzy podchwytywali tę skargę, myśleli nie tylko o aktualnie gnębiących ich nieszczęściach, ale i o całym trudzie współpracy z Bogiem, o tajemniczym przywileju wciągającym ich w centrum najbardziej zawikłanych i bolesnych a jednocześnie najważniejszych problemów ludzkości. Spodziewali się więc, że gdy nastanie wreszcie zapowiedziana przez proroka Daniela pełnia czasów, wynagrodzi im Bóg i zapłaci świat nowymi dziejami chodzącymi już stale w majestacie chwały. Nie trzeba dziwić się im, że tak często ulegali pokusie wyrwania się z kręgu praw i obowiązków wypływających z zawartego ongiś u podnóża góry Synaj przymierza. Wprawdzie nie posługiwali się modnym obecnie i wątpliwej zresztą wartości powiedzeniem: Prawdziwie szczęśliwe narody nie posiadają historii — ale przecież mogło się w nich czasem odzywać pragnienie jakiegoś spokoju zdobywanego usuwaniem się z drogi wszelkim burzom oraz odmawianiem roli w wielkich dramatach dziejowych. Nazwie to Chrystus w jednej ze swoich przypowieści „odejściem na wieś“. Od historii uciec nie można. Przekonali się o tym, gdy zamiast wymarzonego obrazu Mesjasza przechodzącego z mocą, by pognębić okupantów i ogłosić w świątyni triumf Izraela, stanął przed nimi Rzemieślnik z Nazaret i przed bramami Jerozolimem wołał: „Gdybyś i ty poznało i właśnie w ten dzień twój to, co jest ku pokojowi twemu, a teraz zakryte jest przed oczyma twymi. Albowiem przyjdą na ciebie dni i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblegną cię, i ścisną cię zewsząd, i na ziemię powalą ciebie i dzieci twe, które w tobie są, i nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dlatego, żeś nie poznało czasu nawidzenia twego“. Wielu świadków tej zapowiedzi oglądało później straszliwe jej zrealizowanie. Ale któż

chętnie pójdzie za Prorokiem, który z takimi słowami o nieuniknionych katastrofach wchodzi w społeczeństwo trwające w oczekiwaniu wielkiego dnia chwały? I kto bez żadnych oporów wewnętrznych potrafi przyglądać umysłem i sercem do niego na wyprorokowanych przezeń ruinach?

Może wśród takich pytań krążyły myśli Cadyka z Bełżca powtarzającego podobno często trochę enigmatycznie dla słuchaczy zdanie: „Droższa mi jedna cegła z mojego rozwalonego domu od ofiarowanego mi pałacu“. Nie byli skłonni Żydzi nazywać pałacem tego, co im ofiarowywało młode chrześcijaństwo. Narodzenie w stajni, nauczanie bez przynależności do jakiegokolwiek szkoły rabinackiej, brak zaangażowania się w sprawy ziemskiego królestwa narodu, odrzucanie uświęconych tradycją przepisów faryzejskich, haniebna śmierć na krzyżu i ciągle jeszcze problematyczne w oczach wielu smartwychwstanie Chrystusa — to wszystko nie wydawało im się prawdziwym ukoronowaniem dotychczasowych i jedynym sensownym zaczęciem nowych dziejów. Zgliszczą świątyni oraz miasto zniszczone, sprowadzone już tylko do wartości symbolu, więcej im mówiły i mocniej wiązały ich ze sobą aniżeli opowieść o wydarzeniach w Betlejem i na Golgocie.

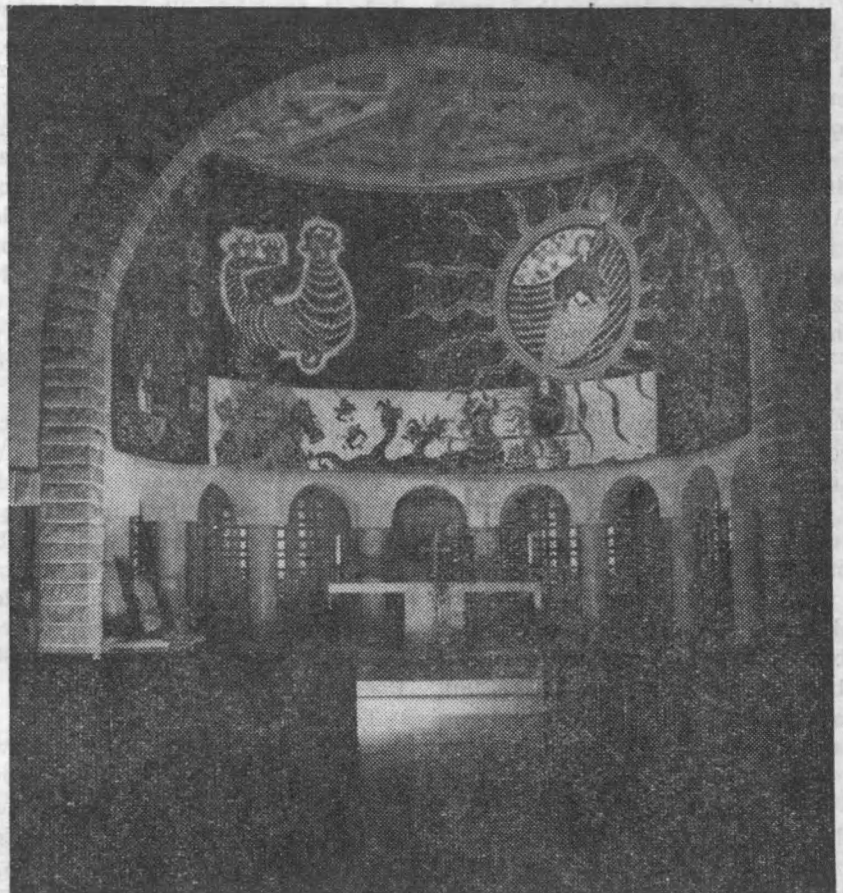
A czym ona mogła zaimponować ludziom wychowanym na pożywkach kultury grecko-rzymskiej? Mieli bardziej fantastyczne i barwniejsze od niej mity, którymi próbowali wyjaśniać dolę i niedolę człowieka. Na jego spotkanie, z darem ognia w dłoniach, schodził z kręgu bóstw Prometeusz, by za ten gest zapłacić osobistym cierpieniem. Tego bohatera wprowadzonego w literaturę grecką przez anonimowego twórcę przedstawiali po kolei swoim współczesnym Hezjod, Platon i Ajschylos, by pokazać jak ze świata ponadludzkiego wyciągnęła się do mieszkańców ziemi życzliwa ręka łagodząca bezwzględne sądy o nieprzyjaźni nieśmiertelnych bogów wobec pragnień szczęścia zwykłych śmiertelników. A że to szczęście nie zawsze było pojmowane jako suma najprzyjemniejszych doznań zmysłowych, świadczy o tym zjawienie się w literaturze greckiej jednej z najpiękniejszych wyimaginowanych postaci

— Antygony. Sofokles, który w usta tej bohaterki włożył słowa: „Nie przyszłam na świat, żeby dzielić się nienawiścią lecz miłością“ musiał długo ważyć nie tak każde słowo, żeby spełniło wymagania rytmiki wiersza, jak raczej serce ludzkie ze wszystkim, co w nim jest szlachetne i zdolne do największych poświęceń. Gdy takie oświadczenie o posłannictwie miłości heroicznej padło ze sceny, widzom wydawać się mogło, że oto przed ich oczami toczy się proces rehabilitujący człowieka. A tego wyprostowania sądów o nim potrzebowali. Bo chociaż przyzwyczajono ich do nazywania go „miarą wszechrzeczy“, to jednak nie mogła się przed nimi ukryć kruchość i zawodność tej miary.

Prawdopodobnie świadomość tego dyktowała Sokratesowi gorzkie stwierdzenie, że sam nie wie, czy jest do bogów podobny czy raczej do potwora Tyfona. Rozpływało się pojęcie człowieka nawet filozofom — usiłovali więc wyznaczyć mu granice mitami o półbogach i półwie-

rzętach. Ale właśnie w tych granicach potrafili stworzyć szkołę logicznego myślenia, uładzali rzeczywistość ścisłymi prawami oraz opracowali dla niej wizję idealnej społeczności, rozkochani w pięknie opowiedzieli nam spotkania z nim epopeją, dramatem, rzeźbą, architekturą. Jak okropnie ubogi byłby świat bez wkładu ich myśli i działania we wspólne duchowe i materialne dziedzictwo ludzkości. Zdawali oni sobie sprawę z tego i może zbyt łatwo nazywali barbarzyńcami tych, którzy pozostali poza kręgiem ich kultury. Oczywiście Grecy aż do końca otwarci byli przed każdą nową i oryginalną myślą, a Rzymianie przejmowali chętnie od obcych kultury religijne, udogodnienia gospodarcze, osiągnięcia artystyczne, żeby ułatwić rządzenie wielkim imperium. Jaką jednak szansę miała Ewangelia by zmusić jednych i drugich do uznania jej za źródło wszelkiej wiedzy i mocy?

Takie pytanie prawdopodobnie stawiali sobie Apostołowie, gdy przy-



KOŚCIÓŁ MATKI BOSKIEJ ŁASKI PEŁNEJ W PASSY

Polichromia Lurcata. Cop. Direction Generale du Tourisme

szło im głosić wśród Żydów i pogan Dobrą Nowinę. Najkrótszą odpowiedź dał święty Paweł, doskonały znawca dwóch kultur: żydowskiej i pogańskiej. Odpowiedź trudną do przyjęcia, prawie odpychającą, zawartą w słowach: „Albowiem gdy Żydzi domagają się cudów, a Grecy szukają mądrości, my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego będącego zgorzzeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan. Dla tych jednak, którzy są wezwani, tak Żydów, jak i Greków, Chrystusa — moc Bożą i mądrość Bożą“. Było to jednocześnie zaproszenie wszystkich do Betlejem — do prostego faktu zstąpienia na ziemię Syna Bożego dla ratowania człowieka. Ryzykował dawny faryzeusz przedstawiając taką propozycję swoim słuchaczom, ale i oni przyjmując ją wprowadzali w swoje życie zupełnie nowy element: ryzyko i dramat wiary — czemu później nada Kierkegaard nazwę „paradoksu wiary“. Jest bardzo trudno z całym dorobkiem wiedzy, ze zdobyczami kultury, z historią bogatą w nadzwyczajne wydarzenia stanąć przed progiem tajni, by usłyszeć, że właśnie tutaj, przy tajemnicach i przez tajemnice Wcielenia oraz Narodzenia Słowa Odwiecznego odbyło się usensowienie i wyprostowanie dróg człowieczych. Ale właśnie przyjęcie tej prawdy lub jej odrzucenie decyduje o losie każdego z nas.

A to jest dzisiaj tak samo aktualne jak było dla pierwszych wyznawców Chrystusa, którzy musieli przecieć przed sobą i przed innymi wytłumaczyć swoje związanie się z Nim na śmierć i życie. Może dobrze się stało, że obecnie do pojęć: chrześcijaństwo, chrześcijanin, kościół, światopogląd katolicki — zbiega się tyle pytań. Gdy w połowie ubiegłego wieku notował Hebbel w swoim dzienniku: „Bywają czasy, kiedy w każdym złóbkku szuka się Zbawiciela“, to prawdopodobnie nie miał wizji epoki skupiającej uwagę na jednym złóbkku — na nieodmiennej opowieści o zbawieniu podawanej przez Kościół. I tak powinno być. Ile razy bowiem pytamy, czy warto być katolikiem, to nie obchodzi nas na pierwszym miejscu próby rozwiązywania kwestii społecznej, sztuka religijna, filozofia chrześcijańska, praca charytatywna, wpływ na kierunki polityczne — to wszystko oczywiście istnieje i jest potrzebne w konkretnej rzeczywi-

stości — ale interesuje nas przede wszystkim człowiek w perspektywie wieczności.

Chcielibyśmy wiedzieć, czy nasza idea zbawienia daje mu pełną i jedyną szansę najpierw zrozumienia własnej godności zawartej w tytule: *Obraz i podobieństwo Stwórcy* — a potem w dzieleniu jego doli przez Boga — Człowieka, Jezusa Chrystusa. To jest problem zasadniczy, do którego zmierzają swymi przedłużeniami logicznymi wszelkie dyskusje na temat katolicyzmu i jego roli w świecie współczesnym. Kierkegaard twierdzi, że jedna istnieje tylko najważniejsza troska: jak być prawdziwym chrześcijaninem. Dziś częściej wspomina się inną: jak być prawdziwym człowiekiem. Mędrcy w poemacie W. H. Auden'a, ogarnięci tą troską tak wyjaśniają swoją wyprawę do Betlejem: „Racją dla której idziemy za gwiazdą jest pragnienie odkrycia, jak być dzisiaj człowiekiem“. A to jest najtrudniejszy zawód — być człowiekiem. Zwłaszcza w tej epoce, która nie odznacza się zbyt wielkim szacunkiem dla słów i nie umie dbać o czystość pojęć, o ich jednoznaczność. Skrzywdzono więc w niej i święte imię człowieka. Te straszne cierpienia milionów ludzi w poniżeniu i poniewierce, to spiętrzenie kłamstw przez solidarnych w zbrodni dyktatorów łamiących wszelkie prawa osoby ludzkiej i rwących wszelkie naturalne więzy społeczne były poprzedzone zbrodnią popełnioną na pojęciu człowieka. Najpierw obniżono jego wartość do elementu produkującego dobra materialne albo za miarę tej wartości uznano przynależność do pewnej rasy, a wtedy już prawie konieczną konsekwencją było tworzenie przez mających władzę obozów pogardy i śmierci. Są one wstydem i klęską tej cywilizacji, w której każda najbardziej nawet zdeprawowana myśl honorowana jest mianem ideologii przyrzekającej raj na ziemi za cenę wyrzeczenia się propozycji królestwa Bożego.

To wszystko jest oczywiście dla nas jasne i każdego stać na postawienie takiej diagnozy przy analizowaniu schorzeń współczesnej kultury. Tomy już napisano na temat szkód, jakie wynikły z odrywania wizji szczęścia ludzkiego od zasad Ewangelii. Ale właśnie jednym z tych schorzeń jest to, że człowiek dzisiaj-

szy marnujący własne słowa i Objawionemu już nie wierzy. Umieszcza je wprawdzie w potoku i w chaosie wszystkich słów ludzkich, uznaje ich piękno, interesuje się epoką, w której powstały, przyznaje im wpływ na kształtowanie się stosunków międzyludzkich, ale z wielkim trudem odkrywa w nich propozycję zbawienia. „W naszych czasach — pisze C. G. Jung — stało się już prawie normą, że człowiek nie uważa się za zbawionego przez śmierć Jezusa Chrystusa oraz że jest niezdolny do jakiegokolwiek aktu wiary“. Zbyt pesymistycznie osądził ten uczony swoich współczesnych. Ale do pewnego stopnia jest prawdą, że wśród tak zwanych naszych osobistych spraw i problemów życiowych bardzo konkretnych wypełniających stale naszą uwagę, myśli, nasze przeżycia uczuciowe, pragnienia i plany, troska o własne zbawienie spychana jest na peryferie. Nie posiada już znaczenia i mocy najsilniejszego i pierwszego bodźca naszych działań, nie ona także jest głównym i stałym trzonem podtrzymującym wartości wewnętrzne i nadających im sens. A nazwał ją kiedyś pisarz średniowiecza „duszą życia i panią śmierci“.

Czy warto więc iść po tę troskę aż do Betlejem? Czy warto tak czytać Ewangelię, by ona znowu stała się w oczach naszych kartą godności człowieka i równocześnie prawdziwą historią Zbawiciela, któremu do rozpoczęcia najważniejszego w dziejach ludzkości dzieła wystarczyły złób i stajnia? Pytania te i następujące po nich odpowiedzi splotły się w dramat trwający już prawie dwa tysiące lat. Przez scenę przeszli pierwsi pasterze i Mędrcy ze Wschodu. Dzisiaj należy ona do nas. Z rozgrywanego obecnie dramatu naszych losów na pewno najbardziej istotnymi słowami roli jest podpowiadana nam wypowiedź pasterzy: „Pójdźmy aż do Betlejem i zobaczmy to, co się stało, o czym oznajmił nam Pan“ i Mędrców: „Gdzie jest on, król żydowski, który się narodził? Albowiem ujrzeliśmy gwiazdę jego na wschodzie i przybyliśmy pokłonić się jemu“. To jest rzeczywiście trudna rola — przyznać się do Zbawiciela i pokłonić się Jemu — ale też ona jedynie, dobrze odegrana, przywraca nam godność chrześcijanina — człowieka.

Ks. Jerzy Mirewicz T.J.

Orzeł Biały, grudzień 1965

Konflikt regionalny o zarodkach światowego

W OSTATNICH tygodniach nie zaśzło nic takiego, co można by określić, jako istotną zmianę lub nowość sytuacji międzynarodowej. W łonie obu, przeciwstawnych obozów, komunistycznego i zachodniego, rozwijają się dalej procesy reorganizacji i łagodzenia, czy dążeń do rozstrzygnięcia, wewnętrznych kontrowersji. Na rozległym, międzykontynentalnym froncie ekskolonialnych, tzw. niezaangażowanych państw „trzeciej siły” zachodzą tymczasem wciąż nowe wydarzenia o znaczeniu regionalnym, lecz związane z głównymi prądami położenia światowego.

Toczy się wreszcie wojna wietnamska, ale tutaj zachodzą zmiany ilościowe, które nabierają takiego rozpędu, że mogą stać się przemianą jakościową, istotną. Regionalny konflikt, w który zaangażowane są, mniej lub bardziej bezpośrednio, dwie największe potęgi świata, z natury rzeczy zawierając musi zarodki konfliktu światowego. Przeciwno tak daleko idącej „eskalacji” małej wojny wietnamskiej przemawiał, według rzeczoznawców amerykańskich, spór Moskwy z Pekinem, ale kierunek w którym się on ostatnio rozwija nie potwierdza takiego optymizmu.

Stolice najsilniejszych reżymów komunistycznych zarzucają sobie nawzajem nie zbytnią wojowniczość, lecz zbyt małą gorliwość w walce z „amerykańskim imperializmem”, co nie wróży zwycięstwa, reklamowanym w części prasy zachodniej, rzekomym skłonnościom na Kremlu do ugody i koegzystencji z Zachodem. Toteż wydaje się, że rządy zachodnie powinny brać pod uwagę możliwość raczej zwiększonej agresywności komunistycznej w Wietnamie, niż jej przygasania. Moskwa Breżniewa i Kosygina zaczęła rozgrywać swój spór z Pekinem w imię jedności oraz wojowniczości komunizmu w stosunku do „imperializmu” zachodniego. Z tego wynika, że stanie się on czynnikiem zaostrożenia, nie złagodzenia stosunków między komunizmem a światem wolnym, może prowadzić raczej do wojny niż do koegzystencji.

„ESKALACJA”, KTÓRA STAŁE POSTĘPUJE

Stopniowanie amerykańskiego wysiłku zbrojnego na terenie Wietnamu, którego długo próbowano nie nazywać wojną i dla którego wymyślono termin „eskalacja”, wchodzi w coraz nową i

coraz ostrzejszą fazę. Jesteśmy bardzo daleko od czasu, kiedy uczestniczyli w tej wojnie, jeszcze partyzanckiej, załedwie amerykańscy doradcy, a ze strony komunistycznej płn. Wietnamu pisało się tylko o Wietkongu oraz ochotnikach i o zaopatrzeniu, płynącym z północy poprzez 17 równoleżnik.

Dzisiaj, z 20 tysięcy „doradców” za Kennedy’ego ilość już regularnych i oficjalnie walczących wojsk Stanów Zjednoczonych wzrosła w Wietnamie do 165 tysięcy, a miejscowi dowódcy amerykańscy zażądali podobno (tak doniósł z Sajgonu „New York Herald Tribune”, 28 listopada) od sekretarza obrony R. S. McNamary, podczas jego ostatniej wizyty w pld. Wietnamie, podwyższenia tej liczby do 300 tysięcy. Równocześnie i równoległe do powyższego wzrostu liczby zaangażowanych wojsk rośnie też tempo i rozszerza zasięg amerykańskich bombardowań, które już dawno przekroczyły 17 równoleżnik, rozdziałający wolną od komunistycznej części Wietnamu, a ponadto coraz zbliżają się do stolicy czerwonego reżymu wietnamskiego, Hanoi i do granicy tego kraju z Chinami.

Z drugiej strony, nie jest już ukrywany bezpośredni współudział regularnych oddziałów płn. Wietnamu w wojnie, toczonej na południowym obszarze tego kraju. Nie ma też już wątpliwości, co do zainstalowania koło Hanoi sowieckich wyrzutni rakietowych, obsługiwanych przez sowiecki personel. Ostatnio, ilość jednostek płn.-wietnamskich, walczących na południu, oblicza prasa amerykańska na 7 do 9 pułków i stwierdza z pewnością, że przenikanie posiłków oraz zaopatrzenia komunistycznego napływa również przez granicę pld. Wietnamu z Laosem. Sztab amerykański w Sajgonie ocenia, że trzeba będzie kordonu około 50 tysięcy wojska, aby tej infiltracji położyć koniec. Proporcjonalnie do wzmożonej ilości walczących z obu stron oddziałów, rosną też straty w ludziach, na które jest szczególnie wrażliwa opinia amerykańska i dlatego ustalenie ścisłych cyfr nie jest łatwe.

Niemniej, straty te ułatwiają społeczną akcję przeciw wojnie wietnamskiej, prowadzoną pod hasłami pacyfistycznymi i antynuklearnymi w Stanach Zjednoczonych. Co prawda akcja ta spotyka się też z silną reakcją innych kół społeczeństwa amerykańskiego, propagujących wzmożenie ofensywnego wysiłku wojennego na terenie Wietnamu,

bombardowanie samego Hanoi, południowych Chin i nawet użycie bomb atomowych. Ostatni pochód demonstrantów przeciw wojnie, urządzony 28 listopada w Waszyngtonie zgromadził 15 tysięcy uczestników, ale liczni byli też kontr-demonstranci z hasłami wojennymi.

WIZYTA BRYTYJSKA W MOSKWIE I GŁOSY PRASY

Sprawa Wietnamu ma być, obok zagadnienia „wielostronnej” czy „atlantyckiej” siły nuklearnej Org. Traktatu Półn.-Atlantyckiego (NATO), głównym przedmiotem rozmów, jakie w ciągu pięciodniowego pobytu w Sowietach, ma tam dobrać brytyjski sekretarz stanu dla spraw zagranicznych, M. Stewart.

Rząd socjalistyczny Wilsona, jak wiadomo, z jednej strony zmuszony jest — za oparcie finansowe dla funta, wojskowe dla swojej bazy w Singapurze oraz polityczne dla Federacji Malezyjskiej — solidaryzować się z antykomunistyczną linią Waszyngtonu w Wietnamie i całej pld.-wschodniej Azji. Z drugiej strony jednak — ze względu na swoje lewe skrzydło partyjne i balast głoszonej frazeologii — musi też trzymać się przynajmniej na pozór stołka także innego, ugodowego i próbować, niby na serio, akcji pośredniczącej.

Do roli takiej zobowiązuje go ponadto dziedzictwo genewskiej konferencji międzynarodowej, która formalnie odpowiada za pokój w Indochinach, a której W. Brytania wraz z Sowietami dźwierz współnie przewodnictwo. Wobec prowadzonej w Wietnamie jawnej wojny, oba te mocarstwa powinny właściwie konferencję tę zwołać, ale zdając sobie sprawę z niemożliwości osiągnięcia tą drogą jakiegokolwiek pokojowego rezultatu, przerzucają jedynie na siebie nawzajem odpowiedzialność za brak inicjatywy w tym kierunku.

Min. Stewart wybierał się do Moskwy w atmosferze, zarówno klimatycznie, jak politycznie, mroźnej. Wizytę jego poprzedził niespotykany w takiej sytuacji atak na politykę brytyjską na łamach „Prawdy”, a inne głosy prasy sowieckiej obróciły się także przeciw pojednawczym nadziejom brytyjskim. Antybrytyjski artykuł sowieckiego organu centralnego zarzucił Wilsonowi przyczynianie się, na skutek solidarności z Ameryką, do zaorszania sytuacji światowej, co — jak „Prawda” wypomina

— pozostaje w całkowitej sprzeczności z wyborczymi obietnicami brytyjskiej Partii Pracy, że rząd jej pracować będzie nad międzynarodowym odprężeniem. Głównym terenem tego zaostreżenia jest, według poglądu sowieckiego, przede wszystkim Wietnam i poparcie, jakiego Londyn tam udziela amerykańskiemu „imperializmowi“.

Wizyte Stewarta w Moskwie poprzedziło jeszcze jedno wystąpienie prasy sowieckiej, mianowicie rozwiewające złudzenia odnośnie do następstw sporu Moskwy z Pekinem. Jak wiemy, chociaż za Johnsona Waszyngton przestał ulegać sugestiom sowietologów, stawiających na konflikt Moskwa—Pekin jako na fundament porozumienia Zachodu z Sowietami, niebezpieczne to złudzenie zachowało licznych wyznawców na terenie brytyjskim. Tymczasem, tuż po ataku na brytyjską politykę i w przeddzień przylotu Stewarta do Moskwy, „Prawda“ z 28 listopada zamieściła tasiemcowy artykuł przeciw polityce reżymu pekińskiego, o treści nie mogącej jednak cieszyć sowietologów, którzy na spór Sowietów z Chińską Republiką Ludową tak wytrwale stawiali. Artykuł ten bowiem jest wielkim apelem do jednoczenia ruchu komunistycznego pod hasłem walki z amerykańskim „imperializmem“ w Wietnamie.

APEL „PRAWDY“ O JEDNOŚĆ ANTYAMERYKAŃSKĄ KOMUNIZMU

„Rozwój wypadków w ostatnich miesiącach — pisze w polemice z komunistami chińskimi „Prawda“ — pokazał w sposób oczywisty i przekonywujący, że imperializm próbuje kuć kapitał z osłabienia się jedności w komunistycznych szeregach. Ci, którzy odmawiają współpracy oraz odrzucają propozycje wspólnego działania przeciw agresorom, przeszkadzają w istocie walczącemu narodowi Wietnamu i pomagają napastnikom... pomoc, udzielana sprawie komunizmu w Wietnamie, to kamień próbny obowiązków, spełnianych przez poszczególne partie... Lecz jakkolwiek wielka byłaby pomoc indywidualnych części ruchu komunistycznego dla narodu wietnamskiego, skuteczność jej zależy przede wszystkim od uzgodnienia jej przez poszczególne braterskie partie i socjalistyczne kraje“. Ten wzywający do jedności artykuł „Prawdy“ kończy się apelem do Pekinu o poprawę stosunków i stwierdzającym, że następny krok w tym kierunku należy do partii chińskiej.

Powyższe stanowisko „Prawdy“ i zapewne również inne spostrzeżenia, poczynione w Moskwie, skłoniły nawet jednego przynajmniej spośród brytyjskich korespondentów, którzy udali się do

Moskwy za swoim ministrem spraw zagranicznych, do trzeźwej oceny konsekwencji sporu sowiecko-chińskiego. Nicholas Carroll zamieścił w „Sunday Times“ z 28 listopada korespondencję z Moskwy, w której stwierdził: „Ci ludzie w W. Brytanii, którzy pielęgnują złudzenie, że w miarę pogarszania się stosunków Rosji z Chinami będzie się ona zbliżała do Zachodu... będą boleśnie dotknięci. W rzeczywistości dzieje się coś wręcz przeciwnego“.

Jedna jaskółka nie stanowi wiosny i przytoczony głos, choć czołowego pisma niedzielnego Londynu, nie znaczy, że zachodnia opinia weszła na drogę pozbywania się złudzeń, co do różowych dla siebie widoków w rezultacie sporu Moskwy z Pekinem. Miejmy nadzieję natomiast, że wyleczony jest z nich Biały Dom Johnsona, co miałyby większe znaczenie. Skoro Moskwa bowiem wzięła się do jednoczenia komunizmem w imię walki z amerykańskim „imperializmem“ na terenie Wietnamu, a ustępstwa ze strony Waszyngtonu są tam niemożliwe, to tamtejsza wojna regionalna ma wiele szans przerodzenia się w konflikt światowy.

WYBORY PREZYDENTA FRANCJI — PEKIN I O.N.Z. — WOJSKOWE ZAMACHY STANU

Na innych torach, ważnych dla położenia światowego, wysuwają się wybory prezydenta Francji, od których dzieli nas w chwili pisania tego przeglądu kilka dni. Powszechna jest opinia, że de Gaulle zostanie wybrany, ale — zdaniem niektórych — nie musi to nastąpić już w pierwszym głosowaniu, kiedy konieczna jest bezwzględna większość. W takim wypadku, według niektórych komentarzy, obecny prezydent — urażony w swoich ambicjach — miałby wycofać się w domowe zacisze Colombey de Deux Eglises, swego Sulejówka. Mało kto jednak tę teorię wyznaje i wszyscy się zgadzają, że ewentualne drugie głosowanie skończyłoby się jego drugoczącym zwycięstwem nad kandydatem drugim (ordynacja przewiduje, że w braku bezwzględnej większości dla któregoś z kandydatów, po dwóch tygodniach następuje balotaż między dwoma, którzy dostali głosów najwięcej). Tym drugim ma być, zdaniem prasy, przedstawiciel „frontu ludowego“ Mitterand, albo chrześcijański demokrat Lecanuet, którego młodość i uroda, połączone z inteligencją, zrobiły rzekomo na wyborcach francuskich, zwłaszcza płci pięknej, duże wrażenie. Wybór prezydenta Francji, świadcząc tak o wzroście znaczenia tego kraju, posunie naprzód szereg najważniejszych spraw zachodnio-europejskich i atlantyckich, które są ostatnio w zawiesz-

niu. Sprawy Wspólnego Rynku, bojkotowanego przez Francję, Przymierza Atlantyckiego, którego reorganizacji de Gaulle się od lat domaga, a istotnego dla stosunków francusko-amerykańskich, wreszcie problematyka Paryż—Bonn i Paryż—Londyn, to wszystko może ruszyć z miejsca dopiero po 5 grudnia.

Innym faktem większego, międzynarodowego znaczenia z ostatnich tygodni było głosowanie nad przyjęciem pekińskiego reżymu komunistycznego do ONZ. Postawiona w 1949 r. przez Sowiety kandydatura ta jest od tego czasu wciąż ponawiana i upada, lecz coraz więcej zyskując głosów. Przy poprzednim głosowaniu w 1963 r. (ub. roku z powodu sporu o należności finansowe Ogólne Zebranie ONZ nie odbyło swojej normalnej sesji) Pekin otrzymał 41 głosów przy 57 przeciw i 12 absentujących się. Ostatnio 47 delegacji opowiedziało się „za“ i tyleż „przeciw“ a 20 wstrzymało się od głosowania. Przed tą merytoryczną decyzją Ogólne Zebranie przyjęło wniosek Stanów Zjednoczonych, że sprawa — jako zasadniczej wagi — wymaga dwóch trzecich większości. Nowe odrzucenie kandydatury czerwonego reżymu pekińskiego jest zwycięstwem amerykańskiej polityki, ale nie zasad wolności i demokracji. Gdyby chodziło o zasady, w ONZ nie powinno być miejsca również dla Rosji Sowieckiej i komunistycznych reżymów, narzuconych przez nią Polsce i szeregowi innych krajów Europy.

Na terenie krajów „trzeciej siły“ i ekskolonialnych zanotować wypada nowe zamachy wojskowe, dokonywane ze szczerą myślą zaoszczędzenia narodom grożącej dyktatury „proletariatu“ czyli komunistycznej, inspirowanej z Moskwy czy Pekinu. W tej myśli zawiesił na początku listopada w Brazylii konstytucję do marca 1967 jej prezydent, marszałek Castelo Branco, kiedy za parawanem hasel „socjalistyczno-demokratycznych“ w stylu Fidel Castro zagroziła jego ojczyźnie czerwona dyktatura. Bezkrwawo objął też władzę w Kongu generał Józef Mobutu, 35-letni naczelny wódz tego kraju, szarganego od uzyskania niepodległości ciągłymi, wewnętrznymi zamieszkami i wystawionego również na niebezpieczeństwo komunistycznej dywersji. Nie jest to pierwsza dyktatura wojskowa na „Czarnym Lądzie“ afrykańskim. Niedawno płk. Boumedienne usunął podobną drogą w Algierii komunizującego demagoga Ben Bellę, a rządy płk. Nassera w Egipcie wywodzą się również z bezkrwawego zamachu wojskowego. Przyszłość okaże, jakie będą konsekwencje tej drogi rozwoju wewnętrznego młodych politycznie narodów.

Zdzisław Stahl

Ś. P. JAN BIELATOWICZ

W żalu serdecznym, w ostupieniu prawie, biegną nasze myśli do postaci śp. Jana Bielatowicza. Mówi się często i myśli o pustce jaka powstaje, gdy odchodzi z grona żyjących ktoś, kto owocami swej pracy wzbogacił życie społeczeństwa. Często brzmi to jak banał. Lecz w obliczu śmierci, tej najważniejszej chwili życia, trudno innymi myśleć kategoriami. Tym się bowiem banalne słowa nad grobem wypowiedziane różnią od innych banałów, że są jak najbardziej prawdziwe.

Nie umiemy przecież, nikt się tego nie nauczył jeszcze, ując nasze uczucia wobec śmierci w słowa, których powaga dorównywałaby powadze odejścia człowieka przed oblicze Stwórcy. Wszystko, najpiękniejsza nawet oracja i najstaranniej przemyślane wspomnienia, jest niedoskonałe, zakrawa na panegiryk. Nie wolno w ten sposób pisać o Bielatowiczu. Więc właściwiej może, zanim ktoś bardziej kompetentny odda spokojnie i rzeczowo hołd temu co napisał i temu co zdołał, wypowiadać swe uczucia chaotycznie, bez wysilenia się na efekt. Bo pożegnania nie można reżyserować.

Więcej w chwili pożegnania znaczą luźne fragmenty spotkań, rozmów, wymienianych kiedyś ze zmarłym ploteczek i dowcipów, sprzeczek nawet, niż staranna analiza i krytyka napisanych przez niego książek, artykułów i wyowiedzianych przemówień. Zegnając pisarza nie powinno się pisać tak jakby się pisało recenzję.

Mало jest chyba Polaków, zwłaszcza tych żyjących na uchodźstwie zwłaszcza tych, co jak Bielatowicz nosili mundur w czasie wojny a miłość Polski żywili i krzewili w każdej okoliczności i w każdych warunkach, co by nie wiedzieli kim był. Miał swych gorących wielbicieli, a choć nie brakło mu i krytyków, przecież nikt nie odmawiał mu głębokiego szacunku. Bielatowicz w życiu i w piórze gotów był zawsze do przyjaźni. Ofiarowywał przyjaźń i do przyjaźni nakłaniał. Rozumiał na czym polega i jak bardzo wszystkim ludziom jest potrzebna. Uzewnętrznił swój pogląd na świat na wiele sposobów: jego uśmiech, i ten w przenośni zawarty na kartkach „Passagiaty“ czy „Książeczki“ i ten który mu wykwił na twarzy, był sposobem najlepszym i najbardziej dla Bielatowicza typowym.

Bielatowicz pisarz, Bielatowicz kry-



tyk, Bielatowicz publicysta. Mocny w przekonaniach, odważny w sposobie ich podania. Symbol literacki epopei żołnierza polskiego, piewca ukochanej przez siebie „Karpackiej“. Patrzący na życie szeroko otwartymi z ciekawości oczyma, kraszający je wiarą w Boga i w dobroć człowieka, wyrozumiały dla ludzkich słabostek. Piękną operujący humorem, tym wielkim darem Bożym, który nie pozwala pisarzowi katolickiemu popadać ani w gorycz dostojewszczyzny ani w kwas purytanizmu. Humor ustrzegł też Bielatowicza od zarozumiałej pewności siebie i od kultu płytkiej błyskotliwości. Pisał nie po to by epatować, by zdumiewać, by drażnić; pisał by dać ludziom radość. A jeśli chciał ich czegoś nauczyć, do czegoś przekonać, czynił to szeptem jak gdyby, szczerze i z pokorą.

Błogosławieni pisarze pokorni, gdyż pokora jest siostrą roztropności. A one w przymierzu z sobą dają człowiekowi mądrość.

Bielatowicz był pisarzem mądrym. Nie mianują go tym samym na mędrca ani nie na myśliciela. Gdyż nie odłączał się i nie wyodrębniał ponad społeczność, w której żył. Nie żył życiem własnym, oderwanym od życia bliźnich. Nie wspinał się egoistycznie na piedestał wyższości. Talenty, które mu Jego Bóg powierzył rozmnażał pracą na pożytek ludzi wspólnej z nim mowy. I był dla nich Jankiem Bielatowiczem.

Paweł Zaremba

STANISŁAW PACZYŃSKI

„PRAWNE“ BEZPRAWIE GOMUŁKIZMU

W SWEJ bardzo trudnej walce polska emigracja polityczna nie zawsze idzie od klęski do klęski. Przechwałki reżimowej propagandy, która już dawno ją pogrzebała, nie znajdują potwierdzenia w życiu. A w ostatnich miesiącach kompartia przekonała się na własnej skórze, że jej rachuby na łatwe sukcesy kończą się często dotkliwą porażką, nakazującą szybkie trąbienie na odwrót.

I tak na przykład starannie przygotowana i prowadzona z wielkim rozmachem i wielkim nakładem środków pieniężnych ofensywa ZBoWiD-u załamała się sromotnie. Jego późniejszy chytry podstęp także nie przydał się na nic. Nikt bowiem na emigracji nie uwierzył w to, że nadwiślański Związek Bojowników o Wolność i Demokrację „jest kontynuatorem, w warunkach pokojowego życia, tych wszystkich pojęć szlachetnych, w imię których prowadziliśmy walkę o niepodległość“. Nikt też nie dał wiary kłamliwym zapewnieniom zbawidowych agitatorów, że młodzież w Kraju wychowywana jest „w duchu patriotyzmu, poszanowania własnej historii“. Fakty bowiem mówią co innego.

Oto zaglądam do „Kalendarza Polonii 1966“. Jest to luksusowe, jak na krajowe możliwości, wydawnictwo tak zw. Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną. Są w nim rzekomo podane wszystkie „najważniejsze wydarzenia“ w dziejach polskiego narodu — od czasów najdawniejszych do dnia dzisiejszego. Ale pod dniem 11 listopada nie ma ani słowa o odzyskaniu w 1918 roku niepodległości. A co się działo w dniach sierpniowych. Posłuchajmy:

— 12 sierpnia: „1964 — Edward Ochab został wybrany przez Sejm na przewodniczącego Rady Państwa PRL“.

— 13 sierpnia: „1824 — Urodził się w Bażanowicach pod Cieszynem Paweł Stelmach, działacz odrodzenia narodowego na Śląsku Cieszyńskim“.

— 14 sierpnia: „1385 — Ugoda polsko-litewska w Krewie stanowiąca podstawę do późniejszego zjednoczenia Korony i Litwy“.

— 15 sierpnia: „1831 — Rewolucyjne wystąpienie ludu Warszawy

pod hasłami zmian w naczelnym dowództwie powstania, aktywnego prowadzenia wojny i ukarania zdrajców“.

Widocznie w dniach sierpniowych 1920 nic się szczególnego nie działo, skoro w „Kalendarzu“ nie ma o nich najmniejszej wzmianki. Nie było więc pamiętnej bitwy warszawskiej, nie było wiekopomnego zwycięstwa polskiego oręża nad bolszewizmem. Oto w jakim „duchu patriotyzmu“ i w jakim „poszanowaniu własnej historii“ kompartia wychowuje młodzież w Kraju. I takie zafałszowanie polskiej historii usiłuje rozpowszechniać wśród młodzieży emigracyjnej. Albowiem, jak twierdzi jeden z agitatorów zbowidowych, „historia ma służyć wychowaniu narodu, a nie rejestrowaniu faktów. Istnieje u nas nadrzędność pewnych zjawisk, i to jest logiczne“. Oczywiście, z punktu widzenia kompartii, nadrzędną rzeczą jest wychowanie polskiego narodu w obrzydliwym serwiliźmie, w niewolniczej uniżoności wobec Moskwy.

Kłamliwa propaganda emisariuszy zawodowych liczyła na zaskoczenie i na emigracyjną ignorancję. Ale się przeliczyła. Zbowidowe występy wśród emigracji musiały zakończyć się kompromitacją. Był to prawdziwy moczarowy niewypał.

W tym stanie rzeczy, Moczar szalała i mściła się, wyciągała „praktyczne wnioski“. Zapewnienia co przedniejszych agentów, że teren emigracyjny jest dostatecznie przeorany, że zbowidowa dywersja nie natknie się na żadne ważniejsze trudności — okazały się złudzeniem. Toteż dotychczasowy aparat do rozrobki emigracji uległ daleko idącej reorganizacji, a tygodnik „7 Dni w Polsce“, który był obliczony wyłącznie na czytelnika emigracyjnego — został po prostu zamknięty. Wprawdzie Janusz Kowalewski ciągle jeszcze na łamach „Dziennika Polskiego“ przestrzega społeczeństwo emigracyjne przed tą komunistyczną propagatką, ale to już zupełnie niepotrzebny trud. Ona bowiem już dawna nie żyje. Zmarła śmiercią raczej gwałtowną: została zlikwidowana nagle, bez żadnej uprzedniej zapowiedzi. Ostatni jej numer ukazał się w końcu czerwca br. A jej b. redaktor naczelny, główny koordynator walki prasowej z emigracją, Waclaw Wagner — najzwyczajniej w świecie „paszół w

duraki“ i jest obecnie w niełasce. Bo nie wykonał swego zadania.

Dzisiaj to zadanie spoczywa przede wszystkim na t.zw. pismach „polonijnych“. Niewiele to naturalnie reżimowi pomoże. Mimo woli przypomina mi się ów przysłowiowy stryjek, który bynajmniej nie zrobił dobrego interesu zamieniając siekierkę na kijek. Wagner przynajmniej był wybitnie inteligentny, umiał przekonywać, „swój“ tygodnik redagował żywo i ciekawie, raz po raz rzucał nowe pomysły. A że zadania nie wykonał — to nie jego wina. To bowiem przekracza możliwości nie tylko jednego człowieka, ale także całego reżimowego aparatu.

Moczarowy niewypał, kompromitacja ZBoWiD-u, likwidacja „7 Dni w Polsce“ — to dotkliwa porażka polskiej kompartii, to poważny sukces emigracji. I już dzisiaj widać, że pisma „polonijne“ nie opanują sytuacji, że wybitnie przyczynią się do pogńębienia reżimowego odwrotu, do przekształcenia jego porażki w klęskę.

Ale idźmy dalej. Okazało się, że emigracja nie tylko może skutecznie odierać reżimowe ataki, lecz także wywierać na reżim skuteczną presję. Wycofanie gomułkowskiego kwestionariusza wizowego jest tego najlepszym dowodem.

Ten skandaliczny kwestionariusz, zawierający aż 24 pytania, z których przynajmniej kilka miało ścisły związek z uprawianym przez reżim szpiegostwem na rzecz Moskwy — został wprowadzony z życie z dniem 1 maja 1964. Żadna z tak zw. demokracji ludowych nigdy nie miała podobnego kwestionariusza. Polska „ludowa“ za czasów Bieruta również nie przyznawała się otwarcie do uprawianego na Zachodzie szpiegostwa: ówczesny kwestionariusz wizowy zawierał tylko 15 normalnych w danym wypadku pytań. To tylko w umysłach tępych aparatczików typu Gomułki mógł się zrodzić pomysł wykorzystania kwestionariusza wizowego do celów wywiadowczych. Tylko tępa dzisiajszego aparatu polskiej kompartii mogła liczyć na to, że danie dziewięciu dwójkarskich pytań przejdzie na ogół niepostrzeżenie.

Kompartii się wydawało, że czas na wprowadzenie w życie szpiegowskiego kwestionariusza został wybrany doskonale. Z różnych przyczyn, nad którymi w tej chwili nie będę się roz-

wodził, emigracyjna „odwilż“ czyniła dalsze postępy, a epidemia politycznej „znieczulicy“ rozszerzyła się coraz bardziej. Wzmagaly się walki wewnętrzne emigracyjnych stronnictw politycznych, coraz bardziej topniały szeregi niezłomnych. Wprawdzie istotny trzon polskiego obozu niepodległościowego: związki kombatanckie ze Stowarzyszeniem Polskich Kombatantów — Federacją Światową na czele, nie został naruszony, ale w Warszawie czyniono właśnie przygotowania do jesiennego kongresu ZBoWiD-u, którego pierwszy występ w sektorze zagranicznym będzie miał za zadanie zmiecenie wszelkiego na emigracji kombatanckiego oporu. A ponieważ równocześnie tysiące emigrantów szykowało się do spędzenia miesięcy wakacyjnych w Kraju, przeto należało wykorzystać emigracyjny „patriotyzm“ i zbadać dokładnie możliwości pogiębienia i rozszerzenia reżimowej sieci szpiegowskiej na Zachodzie. Kompartia była przekonana, że nikt z emigrantów nie podniesie protestu przeciwko nowemu kwestionariuszowi wizowemu.

Ale spotkał ją zawód. W centrali SPK w Londynie Biuro Studiów przeanalizowało dokładnie nowe plany kompartii, wglębiło się w nowy kwestionariusz i opracowało plan przeciwwuderzenia. Najpierw „Orzeł Biały“ i nowojorski „Nowy Świat“, a za nimi wszystkie inne polskie pisma niepodległościowe i Radio Wolna Europa — rozpoczęły ostrą kampanię przeciwko kwestionariuszowi. Tej koncentrycznej presji reżim nie wytrzymał. Cofnął się wyraźnie. Ostatni kwestionariusz wizowy, obowiązujący od kilku tygodni — zawiera tylko 10 pytań. Znikły zeń wszystkie dwójkarskie pytania.

Jest to więc dalszy sukces emigracji. Jest to dowód, że można wiele zdziałać, ale pod warunkiem, że działanie jest planowe, że każda akcja poprzedzona jest dokładnym rozpoznaniem zamiarów przeciwnika. Nie możemy zapominać o toczącej się wojnie politycznej. A w wojnie politycznej, jak w każdej wojnie, dobre rozpoznanie przeciwnika jest podstawowym warunkiem powodzenia. Dlatego wspomniane wyżej Biuro Studiów, jedyne tego rodzaju Biuro na emigracji — powinno ciągle

(Dokończenie na str. 42)

Kryzys uniwersytetu w Polsce współczesnej

KRYZYS uniwersytetu współczesnego jest zjawiskiem powszechnym. Znajduje swój wyraz zarówno w świecie wolnym, jak i w krajach za żelazną kurtyną, tu i tam posiada bogatą literaturę, która śledzi objawy tego zjawiska w teraźniejszości i bada jego przyczyny w rozwoju historycznym.

Badaniu tego kryzysu przyświeca nie tylko cel poznawczy. Opierając się na tych badaniach rządy poszczególnych państw budują plany reform uniwersytetu. Dość wspomnieć tu plany, jakie w tej dziedzinie zawierają: raport Robinsa w Anglii, raport Boullouche'a we Francji i raport senatora Ermignego we Włoszech.

Ale różnica, jaka zachodzi między problematyką kryzysu na Zachodzie, a problematyką tego zjawiska w krajach bloku komunistycznego (mamy tu na myśli przede wszystkim kryzys uniwersytetu w dzisiejszej Polsce) — jest istotna. Na Zachodzie dominuje tendencja, aby nie naruszając podstaw historycznych i istoty ideowej dotychczasowego uniwersytetu, dostosować go do wymagań współczesnej epoki. W Polsce dyskusja nad kryzysem wyłonić ma model całkiem nowego uniwersytetu, jakościowo różnego od tradycyjnego, a mianowicie model tzw. uniwersytetu socjalistycznego.

Nie znaczy to, aby dyskusja nad kryzysem tu i tam prowadzona nie zawierała pewnych elementów wspólnych. Zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie podkreśla się, że zreformowany względnie nowy uniwersytet musi uwzględniać postulaty rozwijających się w fantastycznym nieraz tempie współczesnych nauk technicznych i ścisłych. Stąd grawitowanie — słabsze na Zachodzie, aniżeli na Wschodzie — ku takiej koncepcji uniwersytetu w którym technologia miałaby przewagę nad humanistyką.

TRADYCJONALIŚCI I REFORMATORZY

Dyskusja uniwersytecka w Polsce po 1945 r. toczy się właściwie w permanentności. Można z niej złożyć już spory księgozbiór, tymbarziej, że w 1964 roku i w roku bieżącym wykazuje gorączkowe wręcz nasilenie, świadczące nie tylko o pasjonowaniu się tym tematem, ale bodaj przede wszystkim o trudnościach, z jakimi walczy uniwersytet polski w systemie komunistycznym, trudnościach, gwałtownie doma-

gających się przewyciężenia lub co najmniej złagodzenia.

Należy od razu stwierdzić, że w dyskusji tej, skoncentrowanej głównie na łamach tygodnika „Kultura“ i miesięcznika „Nowe Drogi“, a więc pism, związanych z partią komunistyczną, nie brak obok partyjnie radykalnych reformatorów również tradycjonalistów rekrutujących się przede wszystkim z zanikającej kadry naukowców starszego pokolenia. Obok tradycjonalistów i zwolenników przewrotu, biorą udział w dyskusji również ostrożni referenci, którzy wstrzymując się od zbyt indywidualnych ocen ograniczają się głównie do charakterystyki obecnego stanu rzeczy na uniwersytetach.

Poglądy takich uczonych, jak znany socjolog Józef Chałasiński, wybitny językoznawca krakowski Zenon Klemensiewicz, czy rektor uniwersytetu wrocławskiego, geograf Alfred Jahn, można bez zastrzeżeń zmieścić w szkole myślenia zachodniego. Wszyscy oni są zdania, że idea uniwersytetu jako fundamentalnej instytucji kultury narodowej, stanowiącej oparcie dla całego systemu oświaty i źródło inspiracji umysłowej dla całego kraju nie przeżyła się i nie zestarzała się. Reformy uniwersytetu, które powinny mieć charakter „łagodnej kontynuacji“ mają „po części odpowiadać tradycji tych szkół“, w każdym razie uniwersytet nie powinien być „szkołą masowej produkcji“. Wszyscy też wymienieni wyżej profesorowie boleją nad parcelacją i dezintegracją uniwersytetów, dokonaną w okresie komunistycznego dwudziestolecia. Odejście poszczególnych dyscyplin z dawnego uniwersytetu i zamienienie ich w osobne szkoły sprawiło, że „rola uniwersytetów zdecydowanie zmalała“. Ten pogląd na dezintegrację uniwersytetów będzie się w dyskusji powtarzał i to również w ustach naukowców związanych z partią komunistyczną.

Nad tradycjonalistami górują ilościowo zwolennicy likwidacji dawnego typu uniwersytetu. Przewodzi im urzędowa przedstawicielka w dyskusji, wiceminister szkolnictwa wyższego Eugenia Omeliańczuk-Krassowska, wspiera ją główny filozof partii prof. Adam Schaff, który skarży się na „antykwaaryczność“ uniwersytetów, zwłaszcza „jeśli się zestawi postęp wiedzy w ciągu ostatnich stu lat ze skrajnym tradycjonalizmem instytucji, które wiedzę tę mają przekazywać młodym adeptom“. Przewrót ideowy i organizacyj-

ny w uniwersytetach proponują ci uczestnicy dyskusji, którzy są sekretarzami komitetów uczelnianych partii w tych szkołach. Jeden z nich, Benon Miśkiewicz, sekretarz takiego komitetu w uniwersytecie poznańskim, uważa np., że uniwersytet jako „propagator idei wiodących, reprezentant postępu powinien całą swoją osobowością odpowiadać nowym założeniom i wymaganiom epoki“. Tę osobowość wykrystalizuje zaś nowy uniwersytet, jeśli włączy się jako całość w nurt pracy społeczno-politycznej i nauczy studenta metody kierowania różnymi odcinkami życia społeczno-politycznego...

Rzecz jasna, że skrajny rewizjonizm reprezentują obie redakcje pism, które zorganizowały dyskusję o kryzysie uniwersytetu. W imieniu warszawskiej „Kultury“ historyk Andrzej Garlicki „sumując“ dyskusję orzekł lakonicznie, że uniwersytet w dzisiejszej Polsce jest ciągle anachronizmem, nie dostosowanym do drugiej połowy XX wieku. Obszerniej wypowiedziała się redakcja „Nowych Drog“, według której tradycyjna, monopolistyczna rola uniwersytetów od dawna już się przeżyła, a wyrazem jest powstanie (narzucone przez komunistów — dodajmy od siebie) pozauniwersyteckich placówek badawczych i wyspecjalizowanych szkół wyższych. „Nowe Drogi“ przyznają, że tempo przeobrażeń w polskim szkolnictwie wyższym jest podyktowane „rewolucyjnymi“ przemianami społeczno-politycznymi, których genezy ideowej i geograficznej nie ma potrzeby przypominać.

OBLICZE UNIWERSYTETU

Jak więc wygląda ten przeobrażony w dwudziestolecie komunistycznym uniwersytet?

Jest rzeczą znaną, że przechodząc od sloganów propagandowych, potępiających uniwersytet dawny jako przeżytek, napotykaemy w charakterystyce obecnego stanu rzeczy w szkole akademickiej zagęszczenie barw ciemnych, dokonane zarówno przez tradycjonalistów (o czym już wyżej była mowa), jak i przez reformatorów. Optymizm urzędowy w ocenie bieżącej sytuacji na uniwersytetach reprezentuje w omawianej dyskusji właściwie wyłącznie przedstawicielka ministerstwa szkolnictwa wyższego Eugenia Krassowska.

Pani Krassowska, inaczej aniżeli tradycjonalisci, ocenia udostępnienie uniwersytetu „szerokim rzeszom mas

pracujących“, jako pozytywne zdemokratyzowanie tej szkoły. Pozostawia jednak bez odpowiedzi zagadnienie, czy umasowienie uczestnictwa w studiach uniwersyteckich przyczynia się do podniesienia poziomu naukowego tych studiów. Korzystniej, aniżeli w dawnych uniwersytetach ma się — według p. Krassowskiej — przedstawiać dzisiejszy „profil“ absolwenta uniwersytetu. Gdy dawny uniwersytet był ośrodkiem wiedzy ogólnej i przygotowywał do zawodu conajwyżej prawników i nauczycieli, to dziś unowocześniony przemysł i rolnictwo zgłaszają zapotrzebowanie na specjalistów w zakresie biologii, geografii, socjologii, psychologii itp. Ale i optymizm urzędowy ma tu swoje granice. Przedstawicielka ministerstwa skarży się, że gospodarka narodowa nie umie dotychczas sformułować dokładnie swoich wymagań pod adresem absolwentów, zaś uniwersyteckie rady wydziałowe „nie przekształciły się w żywe, aktywne ośrodki myśli i dyskusji pedagogicznej“.

Precyzyjną charakterystykę dzisiejszego uniwersytetu w Polsce dał socjolog, prof. Jan Szczepański w wykładzie na lubelskim uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej, ogłoszonym następnie w komunistycznej „Polityce“ pt. Socjalistyczna koncepcja uniwersytetu. Wskazując, że przy omawianiu takiej koncepcji „nie można tracić z oczu przewodniej roli teorii społeczeństwa socjalistycznego“, prof. Szczepański wymienia trzy podstawowe cechy współczesnych uniwersytetów w Polsce: 1. uniwersytety te pracują według planów centralnie ustalonych, uwzględniających potrzeby gospodarki narodowej; 2. upolitycznienie, tj. włączenie uniwersytetów w sieć instytucji państwowych, poddanych jednolitemu kierownictwu politycznemu; 3. zasada podziału zadań między uniwersytetami, a innymi typami szkół wyższych i oddzielenie tych szkół od uniwersytetu. Prof. Szczepański wymienia trudności, na jakie napotyka realizacja zawartego w powyższych punktach programu. Wśród tych trudności, z których rodzi się kryzys współczesnego uniwersytetu w Polsce, podstawową jest brak stabilizacji, stan permanentnej reformy i zmian, brak powagi studiów, autorytetu władz. Przyczyny trudności widzi socjolog w złym funkcjonowaniu instytucji politycznych, w marnotrawstwie kadr wykształconych i w przerście czynnika biurokratyczno-administracyjnego nad naukowym w uniwersytecie. Przewyciężenie tych trudności leży „w dążeniu do przystosowania uniwersytetów do podstawowych tendencji rozwojowych społeczeństwa socjalistycznego, a nie do każdej aktualnej zmiany w układzie instytucji“.

Ocenę Szczepańskiego powtarzają niemal wszyscy uczestnicy dyskusji, zwłaszcza, o ile idzie o inwazję biurokracji do uniwersytetów. Najostrzejszym krytykiem jest niewątpliwie krakowski profesor historii doktryn politycznych i prawnych Konstanty Grzybowski. Mówi on wprost o „rozkładzie wewnętrznym uniwersytetów jako całości naukowo-wychowawczych i kulturotwórczych“, m. in. wskutek tego, że uczelniami rządzą nie władze uniwersyteckie, tj. profesorowie, ale urzędnicy administracyjni, którzy zdołali sobie podporządkować uczonych i uczynić z nich wykonawców swej woli. Rektorzy i dziekani stali się posłusznymi wykonawcami poleceń ministerstwa i sami stają się organami biurokratycznymi, wskutek czego „skleroza postępuje także od wewnątrz“.

Inną kardynalną cechą ujemną dzisiejszego uniwersytetu w Polsce jest wspomniana już wyżej dezintegracja naukowa. Z tym faktem łączy się ściśle sprawa wydzielenia z uniwersytetu szeregu nauk (medycyny, teologii, ekonomii, rolnictwa, pedagogii) i zorganizowania osobnych uczelni, poświęconych tym naukom. Dezintegrację potępiają wszyscy. Objaw to tymbardziej znamienne, że — jak czytamy w wypowiedzi Bogusławy Trzebiatowskiej, profesora chemii w uniwersytecie wrocławskim — „dezintegracja, oparta na wzorach radzieckich, stała się jednym z naczelných zadań... związanych z nowym utrojem“. Dziś zaś ta dezintegracja — jak mówi marksistowski historyk politycznej myśli starożytności i średniowiecza rektor uniwersytetu lubelskiego prof. Grzegorz Seidler — doprowadziła do wewnętrznej atomizacji na liczne niewielkie jednostki, żyjące odrębnym życiem, hamujące dociekanie naukowe w okresie, który wymaga podejmowania badań kompleksowych, uwzględniających różne dziedziny nauk, dawniej zjednoczonych w uniwersytecie. Nastąpiło wskutek tego „osłabienie uniwersytetu, które odbiło się na całym życiu akademickim“.

UMASOWIENIE I UZAWODOWIENIE

Komuniści zaostrzyli kryzys i obniżyli poziom uniwersytetu przez umasowienie studiów wyższych. Sami przyznają w dyskusji (np. B. Gotowski w „Polityce“ z dn. 9.I.br.), że masowy napływ młodzieży na studia naruszył szereg podstawowych zasad uniwersytetu. Napływ ten zwichnął przede wszystkim równowagę między zadaniami dydaktycznymi i naukowymi, a co za tym idzie — zasadę jedności zadań. Przy nienaturalnie zwiększonej liczbie studentów i przy dzisiejszym zapotrzebowaniu na specjalistów, akcent poło-

żony na dydaktykę jest tak wielki, że badania naukowe schodzą na drugi plan. I to we wszystkim: w dotacjach, w gospodarowaniu czasem kadry naukowej, w priorytecie inwestycji. A jeśli przesunięcie tego akcentu grozi politchnikom złowróżbnym zaniedbaniem badań teoretycznych, to na uniwersytetach naruszenie jedności badań i dydaktyki stwarza sytuację jeszcze groźniejszą, bo przekreśla właściwie odwieczny, naukowy i ideowy sens tej uczelni. Uzawodowienie uniwersytetów niszczy ogólną kulturotwórczą funkcję tradycyjną tej uczelni, jej promieniowanie na zewnątrz.

Uniwersytet powinien oczywiście dawać studiującym — i dawał też w przeszłości — możliwość podjęcia pracy zawodowej. Ale nie kosztem podbudowy teoretycznej. Tymczasem w dzisiejszej Polsce, jej komunistyczni planiści widzą uzawodowienie uniwersytetu w bezpośrednio użytkowej, pragmatycznej funkcji tej uczelni, funkcji, wyznaczonej potrzebami gospodarki. Zwycięstwo tej tendencji równoznaczne jest z przekreślaniem badań podstawowych, a więc — jak pisze wspomniany wyżej Gotowski — „z ostateczną klęską uniwersytetu“. Związczą, że zwycięstwo tej tendencji, połączone z ciągłymi reformami, wywołuje pogłębiający się sceptycyzm i pesymizm w łonie kadry naukowej, znęcenie jej i zmęczenie. Z drugiej strony zaś jedne zmiany prowokują następne i w ten sposób powstaje błędne koło i chaos reform, w którym gubi się istota starożytnej i szanowanej od wieków instytucji — „Studium Generale“.

Chaos ten staje się koszmarem, gdy manii uzawodowienia towarzyszy nieustająca obsesja komunistów, aby z uniwersytetu uczynić instrument wychowania partyjnego.

MARKSIZM-LENINIZM NA UNIWERSYTECIE

Według ministerialnej opinii p. Krassowskiej „nauki społeczne“ na uniwersytecie, których trzonem jest „marksistowska filozofia, socjologia i ekonomia tworzą bazę teoretyczną dla rozwijania pracy ideowo-wychowawczej. Baza ta jest nieodzownym warunkiem należytego przygotowania absolwentów, zgodnie z potrzebami socjalistycznego społeczeństwa przez wszystkie wyższe uczelnie w Polsce“.

Opinię tę rozwija w cytowanym wyżej wykładzie i artykule prof. Szczepański, zaznaczając, że upolitycznienie polega — obok wprowadzenia wymienionych już przedmiotów — na „przepełnieniu nauczania innych przedmiotów treściami ideologicznymi“, przez oparcie ich na filozoficznych i metodologi-

cznych założeniach marksizmu, przez podawanie wiedzy w marksistowskiej interpretacji i przez wciąganie studenta w krąg organizacji politycznych (tj. komunistycznych). Chodzi o to, aby „zapewnić ciągłość ideologiczną kadr kierowniczych w instytucjach politycznych, będących instytucjami dominującymi w nowym ustroju“.

Czołowy filozof partyjny prof. Schaff podziela oczywiście zdefiniowaną przez ministerstwo opinię o roli „nauk społecznych“. Wzmacnia ją jeszcze hasłem „walki o pełne zwycięstwo marksizmu w umysłach młodego pokolenia. Ale dotychczasowe reformy studiów filozofii dają — w związku z wysuniętym przez Schaffa hasłem — „rezultaty marne, tak marne, że człowiek z zażenowaniem musi zadać sobie pytanie, czy nie wykonujemy społecznie szkodliwej roboty“ przez forsowanie takiego studium filozofii. Schaff przestrzega, że wybór światopoglądu zależy nie tylko od szkoły i od wykładów profesorów i zwraca uwagę, że przedwojenny uniwersytet nie kształcił wprawdzie filozofów-marksistów, ale dostarczał ich „nieraz o wiele lepiej i głębiej przygotowanych, niż dzisiaj“.

Pesymizm Schaffa podziela wielu innych uczestników dyskusji. Wśród nich wymienić należy profesora romanistyki w uniwersytecie warszawskim Macieja Żurawskiego, który zwracając uwagę na okólnik ministerialny z 1964 roku, zalecający uniwersytetom „przygotowanie kadr socjalistycznej inteligencji“, ubolewa, że okólnik ten pomija sprawę o wiele istotniejszą, a mianowicie „notoryczny kryzys metodologii marksistowskiej w klimacie naukowym i dydaktycznym. Sytuacja marksizmu na wielu wydziałach osiągnęła stan alarmowy, ponieważ zainteresowanie tą filozofią i metodologią staje się nieraz mniejsze, niż na przeciętnych, „nie bardzo nawet postępowych uniwersytetach burżuazyjnych“...

MODEL „SOCJALISTYCZNEGO“ UNIwersYTETU

20 lat trwające niepowodzenia ideologii komunistycznej na uniwersytetach polskich, występujących pod coraz to innymi nazwami przedmiotów wykładanych, nie oznacza, że w obecnym okresie kryzysowym tych uczelni nie wysuwa się jej nadal na czołowe miejsce przy omawianiu koncepcji uniwersytetu „socjalistycznego“.

Dzisiaj ideologia ta występuje na uniwersytetach pod nazwą „nauk społecznych“. To, co je ma odróżniać od wykładanych dawniej „przedmiotów ideologicznych“, to naprzód całkowite niemal wyeliminowanie z tych nauk zdogmatyzowanego słownictwa partyj-

nego, a następnie „uhumanistycznienie“ tych nauk. Student ma wynieść z tych nauk przekonanie, że cywilizacja techniczna, budowana przez komunizm, nie jest celem samym w sobie, że ustrój „socjalistyczny“ — i tylko ten ustrój — służy realizowaniu swoistego ideału humanistycznego, służy lepiej, aniżeli wszystkie inne dotychczasowe ustroje. Aby takie przekonanie wytworzyć, wykładawcami „nauk społecznych“ muszą być ludzie o najwyższym autorytecie naukowym, bowiem — jak mówi prof. Grzybowski — studenci są krytyczni i sceptyczni w stosunku do nowego ustroju, ich stosunek do wykładowcy jest stosunkiem do przeciwnika, z którym się walczy...

Niemniej jednak, gdy mowa o przewyciężeniu kryzysu uniwersyteckiego pod względem organizacyjnym, to rehabilitacja humanistyki bynajmniej nie znajduje poparcia ministerialnego i u reformatorów. W oparciu o cyfry, podane przez p. Krassowską, że w latach 1945-1962 tylko ok. 9 proc. studentów studiowało nauki ścisłe i przyrodnicze, przeważa w dyskusji postulat rozbudowy kierunków niehumanistycznych w modelu uniwersytetu „socjalistycznego“.

Innym postulatem organizacyjnym jest domaganie się integracji nauki. Nie chodzi tu o powrót dyscyplin oddzielonych do uniwersytetu, aczkolwiek krytyka tego oddzielenia jest powszechna, a tradycjoniści widzą w nim przyczynę stagnacji i kryzysu tej uczelni. Postulat integracji w modelu uniwersytetu „socjalistycznego“ — to w istocie swej postulat likwidacji lub co najmniej zredukowania znaczenia katedry uniwersyteckiej, jako placówki opartej na indywidualnym autorytecie uczonego i zastąpienie jej kolektywem, znajdującym dziś swój wyraz w rozbudowie instytutów naukowych. Instytuty liczą się bardziej z potrzebami społecznymi, odpowiadają bardziej wymaganiom naukowym epoki — twierdzi główny planista naukowej polityki partii prof. Stefan Żółkiewski. Popiera Żółkiewskiego profesor ekonomii politycznej w uniwersytecie warszawskim Zofia Morecka, zwolenniczka „stopniowego przechodzenia na pracę w kolektywach problemowych, międzykatedrowych, a w przyszłości międzywydziałowych“. Toteż reforma uniwersytetu powinna polegać na zacieśnieniu współpracy katedr z instytutami. Inni rzecznicy partii idą dalej: uważają, że katedry są już dziś przeżytkami i powinny ustąpić zespołom naukowym, zorganizowanym w instytutach. Ten — bodaj główny — składnik projektowanego modelu uniwersytetu „socjalistycznego“ wynika bez wątpienia z przewidywania, że instytuty będą bardziej dyspozycyjne wobec naukowej polityki komuni-

stów, aniżeli tradycyjne katedry. Instytuty zwiążą też w mniemaniu komunistów ściślej teorię naukową z praktyką i życiem. Jeden z tradycjonalistów — prof. Klemensiewicz — zauważył w tej materii, że uniwersytet powinien oczywiście uwzględniać warunki współczesnego życia, ale względ ten „nie może wyrodnieć w oportunizm i praktycyzm“.

RÓWNANIE W DÓŁ

Obawiać się należy, że towarzyszące zreferowanej tu dyskusji ustawodawstwo potwierdzi pesymistyczne przewidywania prof. Klemensiewicza.

Nowela do ustawy o szkolnictwie wyższym (z 1958 r.) ogłoszona 9 kwietnia br., jest wybitnie „praktycystyczna“ i otwiera pole nie tylko dla oportunistów i protekcyjizmu, ale również obniżyć może niebezpiecznie poziom naukowy uczelni. Jest niewątpliwym równaniem w dół. I jeszcze raz stwarza warunki dla wzmożonej ingerencji partyjnego ministra resortowego w działalność uniwersytetu.

Nowela ta dopuszcza np. możliwość studiowania bez świadectwa dojrzałości, uzyskania doktoratu bez dyplomu ukończenia szkoły wyższej, a także powołania na stanowisko docenta etatowego lub profesora osoby, która nie posiada jeszcze tytułów naukowych, a nawet tytułu doktora. Minister szkolnictwa wyższego uzyskał na podstawie noweli prawo weta w stosunku do uchwały fakultetu uniwersyteckiego, nadającej stopień doktora, prawo powoływania z własnej inicjatywy kierowników katedr, dyrektorów instytutów, docentów etatowych, a także prawo przenoszenia pracowników naukowych, nawet bez ich zgody.

Jasną jest rzeczą, że nowa ustawa zwiększy centralistyczne kierowanie uniwersytetami oraz spotęguje dyktaturę biurokracji i administracji, którą nawet rzecznicy nowego modelu zdecydowanie potępiają, jako jedną z głównych przyczyn kryzysu uniwersytetu. Samorządność uniwersytetu staje się w związku z tą nowelą jeszcze większą fikcją, a uczelnia, która ma kształcić wąskich specjalistów przesyła postulatowi integracji nauk i przestaje być ogniskiem twórczym kultury narodowej.

ZASADA WOLNOŚCI

Emigracyjny historyk polskiego średniowiecza prof. Leon Koczy w artykule pt. Kryzys uniwersytetu, ogłoszonym w ostatnich „Tekach Historycznych“ w związku z XII kongresem międzynarodowym historyków we Wiedniu latem br., sformułował wniosek, że istotną przyczyną kryzysu współczesnego uniwersytetu jest kryzys jego idei.

A tą ideą jest wolność. Wolność nauki i nauczania.

Jest rzeczą godną podkreślenia, że w toku omówionej tu dyskusji o kryzysie uniwersytetu i o modelu „sojalistycznego” typu tej uczelni w Polsce — słowo „wolność” padło raz tylko z ust cytowanego wyżej kilkakrotnie prof. Klemensiewicza. Zwrócił się on z apelem do reformatorów, aby w uniwersytecie „stosowano takie metody nauczania i uczenia się, któreby otwierały szerokie pole do samodzielności i wolności myśli”.

Nie znaczy to, aby niektórzy inni uczestnicy dyskusji, a nawet planiści reform rewolucyjnych nie mieli tej wolności na myśli, gdy podkreślali z naciskiem, że idea uniwersytetu bynajmniej się nie przeżyła. A podkreślając ten fakt i wskazując wręcz rodowód dezintegracji nauk, która kryzys zaostroża, nie mogli mieć wątpliwości, że przyczyną sprawczą — *causa efficiens* — tego kryzysu jest koncepcja szkolnictwa wyższego, wyplanowana w Związku Sowieckim i narzucana krajom satelickim. Temu planowi podporządkowana jest nauka zarówno w swoich instytucjonalnych formach, jak i w selekcji badanych problemów i w metodologii badawczej.

Do przezwyciężenia kryzysu uniwersytetu, wywołanego koncepcją rosyjsko-sowiecką, prowadzi droga przez ocalenie humanistycznego typu człowieka, którego uniwersytet w ciągu wieków wychowywał, poprzez ocalenie wolności nauki i wolności nauczania, a wreszcie przez ocalenie wpływu osobowości uczonego. Tylko wówczas uniwersytet będzie mógł nadal pełnić swoją historyczną misję, jako ognisko umysłowej kultury narodowej.

Stefan MękarSKI

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

Na licznych jubileuszach karpackich, jako przedstawiciel karpackiej sztuki organizowałem uroczystości sceniczne.

Po jednym z takich jubileuszów pewien gość z Warszawy powiedział:

— Zdumiewająca jest wasza lojalność oddziałowa, wasze przywiązanie do oddziału wojskowego, Długie lata byłem żołnierzem, lubiłem swój oddział, dobrze go wspominam, ale takiej lojalności, jak wasza nie spotykałem!

Uwaga była krótka, mówił może minutę, a odpowiadałem mu prawie godzinę:

— Nasza lojalność nie jest zwykłą lojalnością oddziałową, nie jest przywiązaniem do oddziału. Przywiązanie do karpackiego świerka narodziło się w najczarniejszych chwilach naszego życia, kiedy nas oderwano od ukochanych miast czy ukochanych wiosek. Karpacki świerk nie oznaczał wtedy wojskowego od-

KARPACKA TRADYCJA

działu, był oznaką naszego domu, skrawka ziemi, na którym wędrowaliśmy po świecie, żeby do Ziemi wrócić.

Dowódcy dywizji podkreślali to na każdym kroku. Pamiętam pierwszą odprawę oficerską generała Kopańskiego. Podkreślił, że teraz nie ma już różnicy między oficerem zawodowym a oficerem rezerwy:

— Dywizja jest waszym domem i wszyscy jesteście na równych prawach.

Ile razy podkreślał to samo generał Duch. Dywizja była naszym domem, skrawkiem ojczystej ziemi, a pododdział, jak batalion, stawał się rodziną.

Mój pierwszy dowódca pułku, a potem batalionu, pułkownik Perucki miał talent ojcowskiego uśmiechu, kiedy się zwracał do podwładnych. Kiedyś z takim ojcowskim uśmiechem ukarał mnie przy raporcie.

Jako batalionowy specjalista od sztuki zostałem z dwoma kolegami wysłany do Tel Awiwu po prezent imiennowy dla dowódcy.

Nie mogliśmy dowódcy meldować po co wyjeżdżamy, więc wzięliśmy samochód bez zezwolenia i wyjechaliśmy do miasta bez przepustki. Ojcowskie oko pułkownika było bardzo uważne. Zauważył, że nas nie ma, postawił do raportu i ukarał. Przykro mu było, gdy się potem dowiedział pociosmy wyjeżdżali, ale kary nie cofnął:

— Nawet w najlepszej rodzinie — powiedział — musi być dyscyplina.

Opowiedziałem to wszystkiemu gościowi z Warszawy i wyjaśniłem, że nasza lojalność karpacka, to nie jest zwykłe przywiązanie do oddziału wojskowego. To już jest tradycja, która nabiera kolorów i dźwięków tradycji narodowej.

Dlatego nie mogę sobie wyobrazić, żeby się znalazł Karpaczek, który nie zechce figurować na ogólnej liście Karpaczeków, jaka się wkrótce ukaże w naszym wydawnictwie jubileuszowym.

Napoleon Sądek

Felieton Napoleona Sądka, który drukujemy powyżej, napisany został w związku z zamierzeniem wydania Historii 3 DSK na jubileuszową rocznicę powstania przesławnej Brygady Karpackiej.

Zainteresowanych tym wydawnictwem, jego planem i możliwościami przedpłaty kierujemy do Komitetu Redakcyjnego.

BILETY KOLEJOWE, SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street

Tel. MID 1526

NIEMIECKIE PORACHUNKI Z PRZESZŁOŚCIĄ

W RÓCIEM z podróży po Niemczech Zachodnich czyli Niemieckiej Republice Federalnej. Była to jedna z wielu moich podróży powojennych w tym kraju. W tym roku trasa prowadziła poprzez Hamburg — Berlin Zachodni — Kolonię — Bonn — Essen — Monachium i Sztutgart. Jak wszyscy obserwatorzy, którzy zjawiają się w Niemczech okresowo szukałem między innymi w tym zbiorowisku dwóch momentów, a zatem śladów odrodzenia się nacjonalizmu i uprzytomnienia sobie przez społeczeństwo niemieckie ogromu zbrodni popełnionych przez reżym hitlerowski.

Niemcy są na pewno bardzo osobliwym obiektem, do którego nie można stosować zwykłych niejako form. Niemcy dzisiejsze są dalej dla Europy obiektem i pacjentem zarazem, u którego wszelkie odchylenia od tak zwanej normy, wszelkie napięcia, wszelkie niechęci czy nienawiści nabierają specjalnego zabarwienia. Wiadomość, która przychodzi, powiedzmy, z Hiszpanii, czy Włoch, a dotyczy jakiegś demonstracji czy wybryku, może być potraktowana mniej więcej obojętnie. Kiedy jednak czytamy, że huligani niemieccy zbeszcześcili groby żydowskie w jakimś miasteczku, albo że jakiś nauczyciel w Schlewzig-Hosztynie wyrażał nacjonalistyczne poglądy, a nawet pochwalał Hitlera, albo kiedy czytamy, że grozi się otruciem jakiegoś aktora w kabaretowym, który pokpiwał sobie z Niemców Sudeckich i że groźba ta wyszła przypuszczalnie z kół tychże Niemców — to wówczas traktujemy te wiadomości poważnie i z lękiem, widząc momentalnie widmo odrodzenia się szowinizmu niemieckiego i tych wszystkich straszliwych namiętności politycznych, które doprowadziły Niemców do klęski w roku 1945.

Niemcy są zatem, powtórzmy to raz jeszcze, obiektem bardzo specjalnym i pacjentem, którego stan zdrowia i temperaturę śledzić musimy codziennie. Możnaby powiedzieć, w innym porównaniu, że Niemcy znajdują się na cenzurowanym w opinii świata i że znajdować się będą jeszcze długo zanim

świat ten zyska pewność, że instytucje demokratyczne NRF wypełnione zostały istotnie demokratyczną treścią i że z życia niemieckiego zniknęły te wszystkie podskórne czy jawne tendencje, te zapiekle urazy i te kompleksy, które wyładowały się w ruchu hitlerowskim i sprawiły, że cofnięto wiek dwudziesty już nie w średniowiecze, ale w erę Babilonu czy Asyrii, czy też murzyńskich tam-tamów.

Autopsją dokonana na miejscu wskazywałaby, że nacjonalizm i szowinizm niemiecki są dalej zjawiskiem niezmiernym i niepozornym, występującym w organizacjach dawnych zwolenników czy członków formacji SS czy SA. Skupiają się one koło czasopism jak „Soldatenzeitung“ Koło rozmaitych związków byłych członków WAFFEN SS, którzy niedawno odbyli swój zjazd w okolicach Hamburga, a na który to zjazd przybył osławiony generał WAFFEN SS Sepp Dietrich. Nie to może być niepokojące, że taki zjazd się odbył — albowiem lepiej jest, by takie zjazdy i demonstracje odbywały się jawnie, a nie tajnie — ale to, że niektóre pisma, między innymi liberalny dziennik hamburski „Die Welt“, potraktował ten zjazd niemal sympatycznie jako zebranie starych druhów i towarzyszy. Jeżeli chodzi na przykład o odcinek sudecki, to z blisko dziesięciomilionowej rzeszy uchodźców z rozmaitych dawnych prowincji Niemiec gromada sudecka — czyli tak zwane „ziomkostwo“ — jest najsilniej skupiona na jednym obszarze, a mianowicie Bawarii, która jest nie tylko ziemią, a zatem Land, ale ma tytuł państwa. Ci Niemcy sudeccy są bardzo czynni w Monachium i urządzają tam swoje masowe wiece i manifestacje. Nasilenie tych demonstracji nie zwiększyło się w zestawieniu z wczesną wiosną roku ubiegłego, kiedy bawiłem na terenie Niemiec i przemierzałem je podobnym szlakiem, jak w roku bieżącym. Akcja tak zwanych wysiedleńców skupionych w Związku Wysiedleńców, w skrócie niemieckim „BDV“ — związek ten liczy dwa miliony członków, płacących składki — przeszła dzisiaj na to-

ry o wiele szersze, a zatem wywiesza hasło „sprawiedliwości dla wszystkich ludów“ i samostanowienia dla wszystkich grup etnicznych. I tak na przykład zjazd młodzieży niemieckiej pochodzącej ze wschodnich ziem dawnej Rzeszy — chociaż w dużej mierze była to młodzież urodzona już na Zachodzie — odbył się pod koniec października w Monachium i miałem okazję przypatrywania się przebiegowi tego zjazdu. Było rzeczą charakterystyczną, że zjazd ten zwołano w tak zwanym Roku Praw Człowieka, ogłoszonym przez ONZ i że na sali obrad znajdowali się delegaci państw bałtyckich, rozmaitych narodów azjatyckich, między innymi Wietnamu, grupa niemiecka z Południowego Tyrolu, reprezentanci Jugosławii i państw bałkańskich — oczywiście przeciwnicy rządów komunistycznych — i, o dziwo, grupa separatystów bretońskich. Akcentem całej demonstracji było stwierdzenie faktu, że nadejście chwila, kiedy uzna się wolne prawo człowieka do wyboru miejsca zamieszkania i kiedy prawo samostanowienia narodów czy grup etnicznych zostanie zastosowane do całego świata.

TERMOMETR SZOWINIZMU

Poważny obserwator nie może stwierdzić z ręką na sercu, że nacjonalizm w Niemczech Zachodnich zwyżkuje i że są objawy niepokojące, któreby nakazywały wzmożenie czujności. Nowa partia polityczna, która stara się zgromadzić elementy nacjonalistyczne, a która w skrócie niemieckim nazywa się NPD, zdobyła we wrześniowych wyborach roku bieżącego do Bundestagu dwa procent wszystkich głosów oddanych przez wyborców w NRF, przy czym jednak w niektórych Länder, a zatem prowincjach, odsetek ten był wyższy i w jednej z nich osiągnął 10 procent. Jednakże zasoby tej partii i jej kierownictwo nie przedstawiają się na razie ani groźnie ani ciekawie i stronnictwo to trzeba zacząć obserwować dopiero wtedy, gdyby w wyborach do sejmików prowincjonalnych osiągnęło ono więcej niż 10 procent oddanych głosów. Nie zapominajmy bowiem, że w NRF poza parlamentem federalnym, czyli Bundestagiem w Bonn mamy sejmiki poszczególnych prowincji i naturalnie gabinety i rządy danych ziem, które ustępują na rzecz federacji zagadnienia obrony, polityki zagranicznej, sprawy ogólnoniemieckiej i skarb federalny.

Wyda się zatem, że alarmy na temat wzrostu nacjonalizmu niemieckiego są przedwczesne, chociaż na pewno te tendencje są dzisiaj żywsze niż, powiedzmy, pięć lat temu. W dużej mierze to przebudzenie się nacjonalizmu jest dziełem de Gaulle'a i jego nie-

szczęsnej moim zdaniem, polityki winowadnia prestiżu Francji i podbijania nacjonalistycznego bębena. O ile jeszcze rok temu Niemcy Zachodnie były wyraźnie zorientowane w kierunku unii europejskiej, to dzisiaj rosną wątpliwości w stosunku do tej idei, a tym samym na miejsce wątpliwości wiskają się pokusy nacjonalistyczne i pytania, czy Niemcy nie mają może pójść własną drogą i przestać planować w ramach zjednoczonej Europy?

Propaganda ze Wschodu popełniała i popełnia od lat jaskrawy błąd w postaci młócenia w kółko tej samej tezy o niemieckim „rewanżyzmie“, o „militarystach z Bonn“, o planach odwetowych NRF. Propaganda ta stworzyła jakiś koszmara, który nie odpowiada prawdzie i przesłoniła społeczeństwom mieszkającym po za żelazną kurtyną istotne zjawiska życia NRF. Przede wszystkim zaś sprawiła, że nie uwzględniono olbrzymiego wysiłku gospodarczego NRF, nie uznano wkładu upartej pracy niemieckiej i nie wytłumaczono narodom Europy Wschodniej, że Niemcy Zachodnie stały się największą potęgą gospodarczą kontynentu, a ich poziom życia jest dzisiaj, obok Szwajcarii najwyższy, w całej Europie. Opowiadaniem o broni atomowej, którą rzekomo już Niemcy mają w swoich rękach zaciemniono prawdziwy obraz sytuacji w NRF i stworzono mit niemieckiego odwetu i niemieckiej potęgi militarnej, który nie pozwala spojrzeć trzeźwo na istotne zdobycze niemieckie, a zatem sukcesy ekonomiczne i uprzytomnienie sobie faktu, że w Europie powstała „nowa Ameryka“, której na imię Niemcy.

DOCIEKLIWOŚĆ LITERATURY

Propaganda wschodnia nie uwzględniła również innego faktu, a mianowicie poważnych przemian, jakie dokonały się w myśleniu niemieckim dzięki przegranej wojnie, oraz całej literaturze, która powstała od roku 1945. Przemilcza się książki, które krytycznie oceniają historię niemiecką od czasów Republiki Weimarskiej i które starają się przedstawić prawdę, jeżeli chodzi o system hitlerowski i o nieludzkie rządy Trzeciej Rzeszy w Europie czasów wojny. Istnieje dzisiaj cała biblioteka książek pisanych możliwie bezstronnie, niekiedy zaś z pasją i nienawiścią, o przejawach hitlerowskiego systemu i o upodleniu narodu niemieckiego przez reżym, który łączył w sobie bestialstwo i okrucieństwo z niebywałym zakłamaniami.

Książki, które starają się oddać kluczowe momenty historii nie tak dawnej, a zatem dzieje tak zwanej „Nocy Długich Noży“ i obrachunek Hitlera z Roehmem, zamach von Stauffen-

berga na Hitlera 20 lipca 1944, końcowe dni Berlina, zagadkę Gestapo i admirała Canarisa, podziemne intrygi pomiędzy Gestapo a Abwehra, organizację tego co nazywa się „państwem SS“, tajniki obozów koncentracyjnych — wszystkie te książki są czytane, mają wysokie nakłady i pojawiają się stale. I tak na przykład w latach czterdziestych redaktor doskonałego miesięcznika „Frankfurter Hefte“ dr Kogon napisał książkę pod tytułem „Państwo SS“, która stanowiła pierwszą analizę tej osobliwej struktury, jaką była formacja SS, formacja wyborowa i nadrzędna, siedlisko przyszłych wodzów Trzeciej Rzeszy, którą miała trwać według przepowiedni Hitlera — tysiąc lat. Obecnie pojawiła się nowa książka o tym samym temacie pod tytułem „Anatomia państwa SS“, przy czym w gronie czterech autorów, którzy opracowali ten temat, znajduje się dr Martin Broszat, autor głośnej książki o rządach hitlerowskich w Polsce. Dr Martin Broszat poddał naukowej analizie rozporządzenia i dekrety tak zwanego Generalnego Gubernatorstwa oraz władz berlińskich wobec Polski i na podstawie tej suchej analizy wypowiedział przy końcu swej książki słowa niezmiernie ważne, a mianowicie, że „nieludzki system wprowadzony przez Hitlerowców do Polski sprawił, iż cała dziejowa misja Niemiec na Wschodzie została skompromitowana i zaprzeczona“. Są to słowa, które nieraz trzeba cytować w rozmowach z Niemcami i sprawiedliwość każe przyznać, że wobec tego osądu niemieckiego historyka wszelkie tłumaczenie niemieckie staje się bezsilne i bezcelowe.

TEATR JAKO RACHUNEK SUMIENIA

Te pomachunki z przeszłością są ciągle żywe w Niemczech i należy cieszyć się z tego, że znajdują się autorzy badający te ponure zakamarki psychy niemieckiej, jak i publiczność, która czyta te książki — a ciekawość młodego dramaturga niemieckiego jest dalej niezaspokojona.

Najlepszym dowodem na to, jak żywe jest zaciekawienie hitlerowską przeszłością, jest powodzenie sztuk teatralnych związanych z tą erą. W październiku odbyła się premiera nowej sztuki młodego dramaturga niemieckiego „przebywającego stale w Szwecji, Petera Weissa, pod tytułem „Dochodzenie“, (Die Ermittlung). Przypomnieć należy, że Peter Weiss wkroczył na scenę światową sztuką pod tytułem „Zamordowanie Marata“, która wzbudziła zainteresowanie na skutek swojej osobliwej i niecodziennej struktury. Peter Weiss jest właściwie emigrantem, który wyjechał z rodzicami z Niemiec, a

potem z Pragi i osiadł w Szwecji, gdzie pisze w języku niemieckim, zarówno utwory sceniczne jak i powieści. Przyjeżdża on tylko do Niemiec, jako gość i zachował obywatelstwo szwedzkie.

Sztukę Petera Weissa pod tytułem „Die Ermittlung“ spotkał nielada sukces, albowiem wystawiono ją równocześnie w szesnastu teatrach NRF. Jest rzeczą znamionną, że w teatrach NRD sztuki Weissa nie wystawiono, chociaż autora podejrzewa się o sympatie komunistyczne. Dawny zespół Brechta, który gra w Berlinie Wschodnim, a nosi miano „Berliner Ensemble“ urządził tylko próbę czytania tej sztuki, czyli tak zwane „Vorlesung“; jednym z głosów w tej próbie czytanej była Helena Weigel, wdowa po Brechcie, znana aktorka.

Sztuka Petera Weissa grana jest dalej przy pełnych widowniach, a otrzymanie biletu na przedstawienie tego dramatu nie jest rzeczą łatwą. Najlepsi reżyserzy Niemiec Zachodnich wystawiają tę sztukę, przy czym w Berlinie zajął się nią stary mistrz Erwin Piscator, który podchodzi dzisiaj pod osiemdziesiątkę, a słynął w latach dwudziestych i trzydziestych z najbardziej śmiałych eksperymentów teatralnych w Berlinie. Erwin Piscator bawił przez jakiś czas w Niemczech Wschodnich, ale obecnie przyjechał na Zachód i znalazł w Berlinie Zachodnim wielkie pole do popisu. W kilku teatrach Zachodniego Berlina wystawiał on sztuki mocno kontrowersyjne, jak na przykład rzecz młodego dramaturga Kippharta p.t. „Sprawa Doktora Oppenheimera“ (o amerykańskim uczonym atomowym). Obecnie tak zwana Wolna Scena Ludowa czyli Freie Volksbuehne, która obchodzi akurat 75-lecie swego istnienia, zaprosiła go do wyreżyserowania sztuki Petera Weissa.

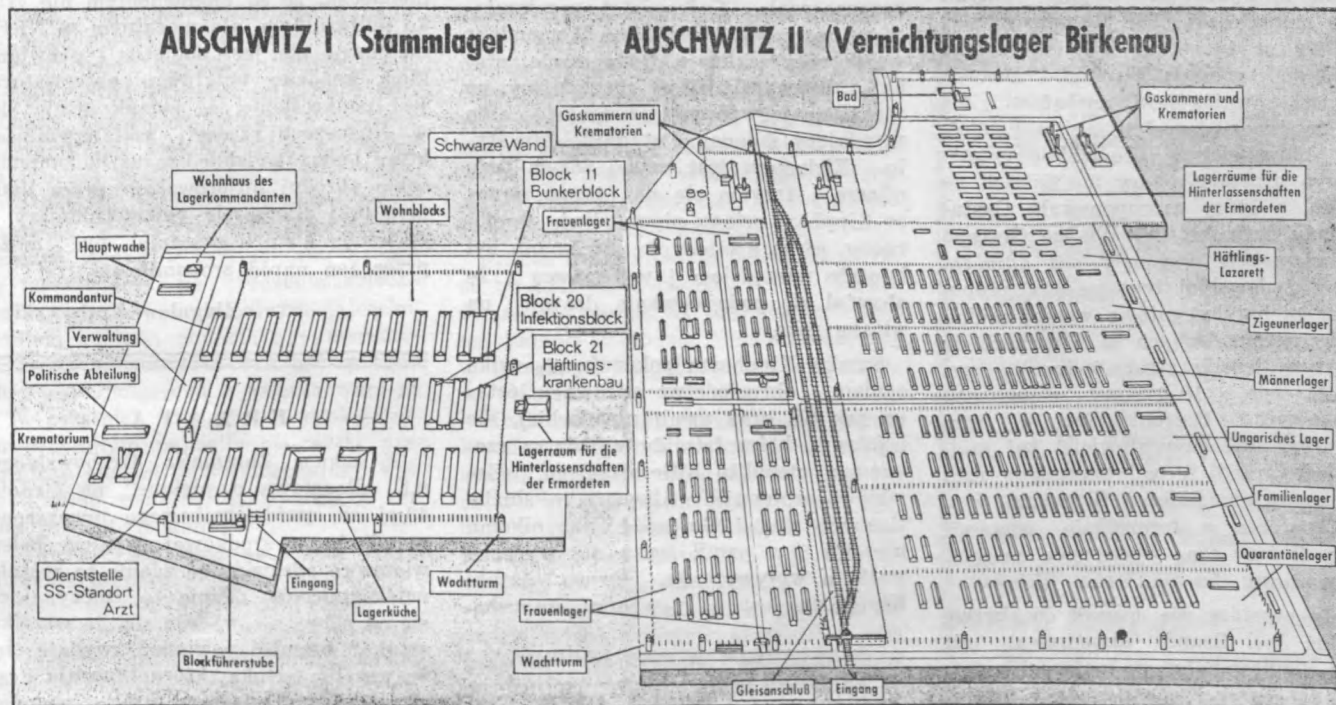
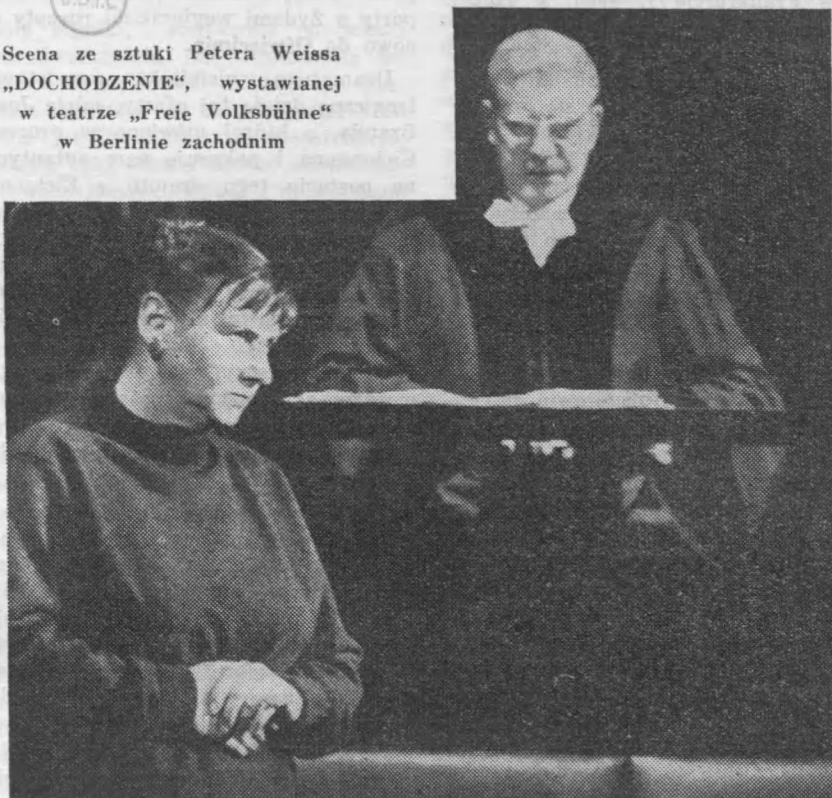
Powszechnie uważa się, przedstawienie berlińskie za najlepsze z szesnastu przedstawień czy wystawień tej sztuki przez teatry NRF. Piscator operuje tą samą dekoracją, a zatem salą sądową we Frankfurcie, gdzie odbywał się proces oświęcimski w roku ubiegłym. Po lewej stronie sceny wznoszą się stromo ławy, na których zasiadają oskarżeni, oprawy z obozu oświęcimskiego, tacy, jak Mulka czy dr Capesius i inni. Wszystkie nazwiska oskarżonych zostały zachowane i odpowiadają oni prawie wyłącznie własnymi słowami z procesu. Przy rampie teatralnej siedzą świadkowie, wywoływani od czasu do czasu przez sędziego, a na prawo siedzi adwokat obrony, który zadaje pytania oskarżonym. * Z rzadka dochodzi do konfrontacji oskarżonych ze świadkami, ale jeżeli dochodzi, to są to gorące i ostre starcia.

W głębi sceny na czarnym tle pojawiają się napisy białymi literami, które wskazują, która pieśń rozgrywa się obecnie na scenie. Peter Weiss dał swojemu utworowi podtytuł „Oratorium“ i podzielił je na jedenaście „pieśni“ (Gesang), które z kolei rozpadają się każda na trzy sceny. Te „pieśni“ zaczynają się od „pieśni rampy kolejowej“, a zatem przystanku na który zajechały pociągi do Oświęcimia, a kończą się „pieśniami“ o fenolu, cyklonie B, oraz o piecach ognistych. Muzykę napisał młody kompozytor włoski Nono i jest to tak zwana „musique concrète“, pełna wrzasków i jęków, która czasami odpowiada może treści scen, ale przeważnie drażni nadmierną gwałtownością.

**NATCHNIENIE Z PROCESU
OŚWIĘCIMSKIEGO**

Przypuszczalnie sam tytuł sztuki Weissa jest już symboliczny: chce on powiedzieć przez tytuł swego dramatu, że we Frankfurcie nad Menem, w procesie oświęcimskim zaczęto dopiero dochodzenia, ale nie skończono jeszcze procesu. Opowiadano mi, że reżyser sztuki Weissa w Sztutgardzie chciał uciec się do technicznego tricku scenicznego polegającego na tym, że w głębi sceny pod pewnym kątem stałoby wielkie zwierciadło, któreby odbijało nie tylko ustawioną na boku ławę oskarżonych, ale całą widownię, oczywiście napwół oświetloną — co sprawiałoby

Scena ze sztuki Petera Weissa „DOCHODZENIE“, wystawianej w teatrze „Freie Volksbühne“ w Berlinie zachodnim



Plan obozu w Oświęcimiu dołączony do programu sztuki Petera Weissa

wrażenie, że wszyscy widzowie są właściwie oskarżonymi.

Sztuka Petera Weissa oparta jest na transkrypcji procesu oświęcimskiego we Frankfurcie r. 1964, a raczej na wybranych wyjątkach tego procesu, który trwał przecież wiele tygodni. Jest to tak zwany faktomontaż, zasadniczo wierny temu, co się mówiło na sali sądowej we Frankfurcie, ale mający pewne interpolacje, które zdradzają osobiste sympatie polityczne autora. Do tych interpolacji należy na pewno czcze oskarżenie, że to kapitalizm wytworzył obozy w stylu Oświęcimia, co jest oczywistą nieprawdą skoro obozy innego typu, ale również zmierzające do wyniszczenia ludzi stworzył system komunistyczny. Podobnie akcenty wrogie pogotowiu nuklearnemu Zachodu zdradzają uprzedzenia polityczne Weissa. Ale są to zasadniczo drobniaki, które nie umniejszają wagi i wartości tej sztuki stanowiącej dla zbiorowości niemieckiej przeźrliwą lekcję odnoszącą się do tak niedawnej przeszłości. Warto dodać że w czasie przedstawienia berlińskiego nie odezwał się z widowni ani jeden oklask i że sztuki słuchano w grobowym milczeniu.

PRZETARG O CIĘŻARÓWKI

Drugą sztuką, która zyskała sobie ogromny rozgłos, chociaż nie tak wielki jak sztuka Weissa, albowiem w tym wypadku można mówić o prawdziwej demonstracji, jest dramat dramaturga Kippharta, pod tytułem „Joel Brand“. Sztukę tę wystawiał między innymi teatr monachijski „Die Kammerspiele“, a bilety na tę sztukę były wykupione na długie tygodnie naprzód. Dramat ten jest również faktomontażem, ale dotyczy innego aspektu wojny i totalnego okrucieństwa. Chodzi tu mianowicie o przetarg, który nie doszedł do skutku, a który zaproponowała Gestapo pod koniec wojny. Władze Gestapo w Budapeszcie wysunęły pod adresem gminy żydowskiej tego miasta propozycję, że byłyby gotowe wysłać milion Żydów zgromadzonych na Węgrzech do Palestyny, jeżeliby strona żydowska wyśtarła się o 10 tysięcy ciężarówek wojskowych. Pośrednikiem w tym przetargu był przedstawiciel tej gminy Joel Brand, a nad transakcją czuwał znany nam dobrze Eichmann, którego proces w Jerozolimie stanowił przez dłuższy czas wydarzenie na miarę światową.

Cały przetarg nie doszedł do skutku, chociaż Joel Brand zawędrował nie tylko do Stambułu, ale pojechał potem dalej do Syrii i spotkał się z przedstawicielami strony sojuszniczej. Sam Roosevelt był zainteresowany tą ofertą

Gestapo, ale alianci zdecydowali się odrzucić tę ofertę i storpedowali ją ujawniając w depezy Reutersa próby nawiązania kontaktu z sojusznikami przez budapeszteńskie Gestapo. Transporty z Żydami węgierskimi ruszyły na nowo do Oświęcimia.

Dramaturg niemiecki przedstawia tragiczne dzieje tej oferty, misję Joela Branda, o której mówiono w procesie Eichmanna i pokazuje nam autentyczne postacie tego dramtu z Eichmannem na czele. Jest to faktomontaż wierny rzeczywistości i dbający o szczegóły nawet takie jak to, że Eichmann naśladował swego mistrza Himmlera i poddawał się codziennie zabiegom masażysty. Wiadomo dobrze, że Himmler wierzył w cudowne skutki masażu, a jego masażysta z Finlandii potrafił w czasie sesji masowania go wyłudzić od niego niejedną ulgę dla ludzi skazanych przez Gestapo.

Obraz przedstawiony przez Kippharta jest rozdzierający, bo pokazuje nam, że Żydzi węgierscy nie mogli być uratowani z przyczyn natury militarnej: sojusznicy zachodni obawiali się, że transport 10-ciu tysięcy ciężarówek nie tylko wzmocni potencjał wojenny Trzeciej Rzeszy ale że Związek Sowiecki będzie uważał tego rodzaju akt za działanie wymierzone wyraźnie w Rosję, albowiem Gestapo zastrzegало się, że ciężarówki ewentualnie uzyskane w tym przetargu skierowane będą na front wschodni. Kipphart przedstawia spokojnie i rzeczowo cały tragiczny splot wypadków i pokazuje jak zamyka się wokół ofiar hitleryzmu potrzask przeznaczenia. Najbardziej przejmujące są rozmowy, które toczy komendant wojsk niemieckich w Budapeszcie, gładki i wytworny oficer, paradujący po scenie w jedwabnym szlafroku, albo zajadający śniadanie w angielskim stylu. Eichmann jest raczej echem tego oficera i trzyma się na uboczu, przez co Kipphart osiąga niewątpliwie zamierzony efekt, a zatem że Eichmann był istotnie narzędziem i wykonawcą i że obawiał się podejmowania decyzji na własną rękę.

Sztuka Kippharta pokazuje nie tylko cynizm i okrucieństwo zarówno Gestapo jak SS oraz armii niemieckiej, ale i intrygi, które istniały wewnątrz rzekomego monolitu hitlerowskiego. Gestapo szpieguje Abwehrę, a służba Canarisa śledzi Gestapo. Nikt nikomu nie ufa i w partii toczą się wyraźne walki o wpływy. Ta strona sztuki Kippharta jest na pewno autentyczna.

SCEPTYCYZM WOBEC LEGENDY „NIEMIECKIEGO RUCHU OPORU“

Trzeci dramat, który poruszył opinię niemiecką, ale nie zyskał sobie ta-

kiej popularności jak dwa przed chwilą wspomniane, to sztuka młodego dramaturga Wolfganga Grätza, p. t. „Spiskowcy“. Sztuka ta nie miała wielkiego powodzenia na scenach; pojawiła się ona w formie książkowej i można zorientować się z niej dlaczego sztuka ta nie „chwyciła“. Opisuje ona sprzysiężenie przeciwko Hitlerowi, które kulminowało w zamachu na Hitlera 20 lipca 1944. Zamach ten oraz całe sprzysiężenie jest przedmiotem licznych studiów, a opinia niemiecka niewątpliwie pragnie wywindować wysoko zasługi takich osób, jak von Stauffenberg czy Moltke czy Gerdeler. Von Stauffenberg stał się jakby bohaterem narodowym jako rycerz bez skazy i przywódca ruchu oporu. Wolfgang Grätz dokonuje pewnej deheroizacji tego ruchu oporu pokazując jak koła wojskowe wahały się z uderzeniem w dyktatora i jak przez te wahania przegrano wielką szansę usunięcia Hitlera w lipcu 1944, co by skróciło wojnę niemal o rok. Z tego to powodu, a zatem dlatego, iż Wolfgang Grätz odnosi się chłodno i bez entuzjazmu do bohaterów ruchu oporu, sztuka jego nie zdobyła sobie tego poklasku i uznania, co sztuki Weissa i Kippharta.

Poruszyłem tylko pewien wycinek sprawy, która musi interesować wszystkich zajmujących się problemem niemieckim: a zatem uprzytomnienia społeczeństwu niemieckiemu ogromu nieprawości popełnionych przez system hitlerowski. To, że sztuki Weissa i Kippharta oglądane są przez miliony i że są dyskutowane przez całą prasę niemiecką, że są ewenementem nie tylko kulturalnym, ale moralnym w NRF, na pewno nie jest obojętne i obowiązkiem każdego uczciwego obserwatora jest podkreślenie, że jednak dzieją się w Niemczech rzeczy zastanawiające, które budzą nadzieję, że uświadomienie sobie zbrodni hitlerowskich przez ogół niemiecki stanie się powszechniejszy i że lekcja historii zostanie być może przez ten naród zrozumiana.

Zbigniew Grabowski

ERRATA

W szkicu Zbigniewa Grabowskiego p. t. „Rozmowa o pięknie“ na stronie 43-ej nr. październikowego opuszczono w zdaniu w środkowej szpalce jeden wiersz co sprawiło, że zdanie to zostało zniekształcone. Zdanie to, zaczynające się od słów... „wydaje się, że wszelka sztuka“ brzmieć powinno: „wydaje się, że wszelka sztuka, która ignofuje granice porozumienia, czy próg zrozumiałości, komunikatywności, harmonii iładu, grzebie sama siebie“.

Orzeł Biały, grudzień 1965

„THE PILL” — „PIGUŁKA”

Na wstępie tej gawędy chcę zaznaczyć, że zawarte w nim uwagi o tzw. „Pill” czyli pigułce antykoncepcyjnej nie są i nie mogą być rozważaniami, dotyczącymi etyki tego zagadnienia. Tymi sprawami zajęły się już władze kościelne oraz szereg wybitnych moralistów chrześcijańskich i wkrótce oczekiwać można oficjalnej wypowiedzi Kościoła. Artykuł niniejszy ma jedynie za zadanie przedstawić zagadnienia ze strony medycznej i nie jest ani radą za używaniem tego środka, ani też przeciw jego stosowaniu.

Od wieków ludzkość starała się „oszukać” naturę, wynajdując coraz to nowe, mniej lub więcej skuteczne, środki antykoncepcyjne. Wszystkie one jednak były dotychczas środkami tzw. mechanicznymi, czyli środkami stanowiącymi pewnego rodzaju automatyczną zaporę dla przenikania plemnika. Dopiero doustna pigułka antykoncepcyjna stanowi wyłom w tej dziedzinie, będąc pierwszą metodą zmieniającą sam bieg natury ludzkiej.

Czym w rzeczywistości jest ta najnowsza pigułka antykoncepcyjna? Jest to środek zawierający hormony, które znajdują się normalnie w organizmie kobiety w czasie ciąży. Jest rzeczą wiadomą, że kobieta, spodziewająca się dziecka, jest absolutnie uodporniona na powtórne zajście w ciążę. Na podstawie tego prostego stwierdzenia uczeni zaczęli eksperymentować z hormonami ciążowymi, które się znajdują w organizmie podczas rzeczywistej ciąży lub też przez branie pigułki antykoncepcyjnej. Gdy ich zabraknie w organizmie przychodzi menstruacja. Zaznaczyć jednak w tym miejscu należy, że menstruacja po urodzeniu dziecka jest połączona z normalnym jajczkowaniem kobiety, podczas gdy menstruacja po zaprzestaniu brania pigułki nie jest połączona z jajczkowaniem.

W ostatnich czasach na rynku farmaceutycznym pojawiło się wiele preparatów pigułki antykoncepcyjnej, które — mimo różnych nazw — mają ten sam skład i działanie.

Zajmijmy się teraz sposobem przyjmowania pigułki.

Pierwszy dzień menstruacji należy uważać jako pierwszy dzień całego cyklu. Począwszy od piątego dnia, bez względu na to jak długo trwa menstruacja u danej kobiety — należy zacząć

branie pigułki, codziennie po jednej przez dwadzieścia lub dwadzieścia jeden dni, w zależności od branego preparatu. Wkrótce po zakończeniu cyklu brania pigułki występuje menstruacja. I znowu cykl można zacząć od początku odliczwszy wyżej wspomniane pięć dni.

Jeśli się zdarzy, że przez jeden lub dwa dni kobieta zapomni zażyć pigułki — nie zwiększy to jej możliwości zajścia w ciążę, pod warunkiem jednak, że w dniach następnym przeoczona dawka zostanie wyrównana. Niemniej jednak, takie pominięcie przyjęcia pigułki może wywołać objawy lekkiego krwawienia. Dlatego też jest rzeczą dużej wagi aby kobieta, która zdecydowała się na przyjmowanie tego środka — brała go regularnie i według instrukcji lekarza.

Jak wykazały badania kliniczne, odporność na zajście w ciążę podczas brania pigułki jest stuprocentowa. Literatura fachowa powołuje się jednak na następujące typy wypadków zajścia w ciążę pomimo brania pigułki, a mianowicie: jeśli ciąża już zaistniała tuż przed zaczęciem brania pigułek lub jeśli przerwa w ich braniu była dłuższa niż wyżej opisana.

Ważnym momentem dla biorących ów środek jest fakt, że po zaprzestaniu brania pigułek, zdolność rozrodcza kobiety jest wzmożona i zajście w ciążę — łatwiejsze. Jest to czynnik o którym powinni pamiętać ludzie, planujący posiadanie rodziny, a którzy mają nieraz zrozumiałe choć nieuzasadnione obawy, że dłuższy okres przyjmowania pigułki antykoncepcyjnej może spowodować bezpłodność kobiety.

Branie pigułki można zaczynać od razu po urodzeniu dziecka, z tym wszakże, że nie można na niej polegać jako na jedynej metodzie antykoncepcyjnej w pierwszym tygodniu pierwszego kursu pigułek.

Kobieta w ciąży, która bierze pigułki nie zdając sobie sprawy ze swego stanu, może nie mieć żadnych obaw co do wpływu zawartych w niej hormonów na przebieg ciąży. Nie powodują one bowiem poronienia, ani nienormalnego rozwoju płodu.

W praktyce swej lekarz spotyka się często z zapytaniem pacjentek czy przyjmowanie pigułki antykoncepcyjnej nie wpływa ujemnie na psychikę seksualną, czyli tak zwane „libido”. Długie badania kliniczne nie wykazały żadnych przeciwskażeń jeśli chodzi o

te nader ważną dziedzinę psychiki ludzkiej. Wręcz przeciwnie, pewność, że jest się chronionym po raz pierwszy całkowicie przed zajściem w ciążę, powoduje raczej odprężenie partnerów, a nieraz tym samym większą gotowość do współżycia małżeńskiego. Pigułka antykoncepcyjna jest więc także w pewnym stopniu środkiem przeciwko urazom seksualnym u kobiet, które często powodowane są obawą przed zapłodnieniem.

Pigułka antykoncepcyjna okazała się także zbawiennym lekiem dla kobiet cierpiących na comiesięczne bóle menstruacyjne. Cykl, w którym nie następuje jajczkowanie jest zawsze związany z całkowicie bezbolesną menstruacją.

Na łamach prasy całego niemal świata toczyły się przez długie miesiące i ciągle się toczą kontrowersyjne wymiany poglądów na temat szkodliwości czy nieszkodliwości pigułki antykoncepcyjnej, szczególnie w świetle jej rzekomego wpływu na formułowanie się skrzepów w organizmie. Między innymi także i z tej przyczyny wyznaczona została w Anglii Komisja, mająca na celu zbadanie całego problemu. Po dokładnych badaniach członkowie Komisji wyrazili opinię, że branie pigułki nie powoduje skrzepów w organizmie i że skłonność do schorzeń skrzepowych u kobiety w wieku, w którym jest zdolna zajść w ciążę, jest taka sama (czyli jedna na kilka tysięcy) u tych, które pigułek używają jak i u tych, które ich nie biorą.

Dr Michał

MOZESZ WYSLĄC
WSZYSTKO
przez
Grabowskiego
Lekarstwa
żywność
Pieniądze
Owoce
Ortaliony
(bez podpinka i z podpinką)
i tak dalej
Nowy cennik z kalendarzem 1965
Każdy artykuł do wyboru
JEŚLI LEKI TO Z APTEKI
M. B. GRABOWSKI
175, DRAYCOTT AVENUE,
London, S.W.3. Tel.: KEN 0750

POWSTANIE ROPY NAFTOWEJ

ROPA naftowa jest produktem pochodzenia naturalnego, ciekłym, zanieczyszczonym piaskiem, zabarwionym na kolor od brązowego do czarnego. Najbogatsze złoża naftowe znajdują się w stanach Pensylwania i Ohio w Stanach Zjednoczonych, na Kaukazie w Rosji, Iranie, Iraku, a także w Rumunii. Skład chemiczny ropy nie jest bynajmniej jednolity. Głównym składnikiem ropy amerykańskiej są węglowodory nasycone, szeregu parafinowego, natomiast ropa kaukaska i irańska obfituje w węglowodory nienasycone, czyli tak zwane „nafteny“ i ich pochodne. Ropa naftowa stanowi mieszaninę ciekłych i stałych węglowodorów, występujących w różnych stosunkach. Geologowie na ogół zgadzają się, że ropa naftowa jest pochodzenia organicznego, w jakiej jednak sposób powstała — pozostaje nadal tajemnicą do dzisiaj jeszcze nie rozwiązana.

Ponieważ niektóre z węglowodorów wchodzących w skład ropy można otrzymać w laboratorium, wcześniejsze teorie sugerowały pochodzenie ropy ze związków nieorganicznych. Dla przykładu: w roku 1866 chemik Berthelot wysunął teorię, że metale alkaliczne takie jak wapno, znajdujące się w ziemi reagowały z dwutlenkiem węgla i wodą w wysokich temperaturach tworząc acetylen, który był wyjściowym produktem wielu węglowodorów. Jakkolwiek metale alkaliczne nie istnieją w ziemi w stanie wolnym, dlatego też tę jak i wiele innych teorii o nieorganicznym pochodzeniu ropy — obalono.

Ropa występuje w skałach osadowych tzw. okresu kambryjskiego, aż do okresu pliocenu, a więc od sześciuset milionów do trzynastu milionów licząc od dziś. Sama ropa nie jest jednak aż tak stara. Wiek najmłodszego ze źródeł ustalono na tylko pięć tysięcy lat, zaś źródła, z których eksploatuje się ropę na skalę przemysłową mają tylko około stu tysięcy lat. Tak długi okres czasu nie jest oczywiście konieczny do tworzenia się ropy, natrafiono bowiem na ślady ropy w osadach skalnych, liczących tylko kilkaset lat. Czas wpływa jednak na strukturę chemiczną. Tak więc ropa bogata w związki aromatyczne jest dużo młodszą od ropy bogatej w związki parafinowe.

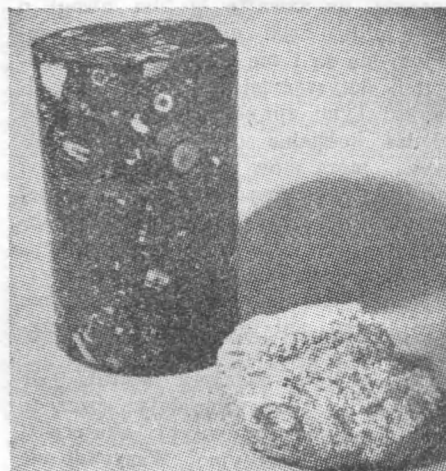
Na roślinne i zwierzęce pochodzenie ropy wskazuje fakt, że przez cały czas kiedy ropa tworzyła się — ziemia pokryta była bujną roślinnością, zaś

bujny rozwój roślinności, a głównie niższych wodorostów, prowadził do równie bujnego rozwoju świata zwierzęcego. Wskazują na to wielkie ilości skamieniałości z okresu przedhistorycznego. Po za badaniami skamieniałości badania mikroskopowe ujawniły także obecność skamieniałości insektów, zwapnionych szkieletów, stwardniałych żywie roślinnych i pozostałości zwierzęcych. Ropa naftowa jest optycznie czynna, (tj. reaguje na światło spolaryzowane), co trudne byłoby do wyjaśnienia, gdyby była pochodzenia nieorganicznego.

Hipotezę o zwierzęcym pochodzeniu ropy wysunął uczony Engler już w roku 1888. Wykazał on doświadczalnie, że tran rybny oraz inne tłuszcze zwierzęce poddane destylacji pod zwiększonym ciśnieniem i bez dostępu powietrza — tworzą mieszaniny węglowodorów o składzie bardzo zbliżonym do oleju skalnego lub inaczej mówiąc: ropy.

W przeciwieństwie do Englera, rodnik nasz Radziszewski wysunął teorię, że ropa jest pochodzenia roślinnego i powstaje przez fermentację gnilną celulozy w obecności wody słonekiej, działającej katalitycznie. Hipoteza powyższa ma dużo cech prawdopodobieństwa, bowiem wiele bakterii można znaleźć w osadach ropośnych, bogatych w substancje organiczne. Niektóre gatunki bakterii żyją nawet na głębokości kilku tysięcy metrów i są zdolne rozmnażać się nawet pod ciśnieniem dziesięciu atmosfer i temperaturze około 100 stopni Celsjusza. Posiadają one także zdolność katalizowania reakcji chemicznych. W obecności tlenu substancje organiczne pod wpływem bakterii rozkładają się, wydzielając dwutlenek węgla, wodę, sulfaty, amoniak i inne proste substancje. Jakkolwiek, z chwilą wyczerpania się tlenu warunki zmieniają się radykalnie. Warunki beztlenowe powodują rozkład substancji na proste węglowodory, takie jak metan, który jest głównym składnikiem gazu ziemnego. W warunkach beztlenowych bakterie powodują także wydzielanie się wolnego wodoru, który z kolei reaguje z dwutlenkiem węgla — dając metan i wodę.

Inny rodzaj bakterii powoduje redukcję soli siarkowych i na siarczki. Właśnie te ostatnie bakterie zużywają wolny wodór do budowy prostych białek, z których są owe bakterie zbudowane, a także innych związków węgla,



Przykłady skamieniałości, wydobytych z pokładów ropośnych. Na / zdjęciu tym bardzo wyraźnie uwidocznione są zwapnione szkielety przedhistorycznych stworzeń.

kóre swoją strukturą przypominają wiele składników chemicznych ropy. W większości wypadków substancje te zostają raz jeszcze zamienione na metan, a także węglowodory o dużo wyższym ciężarze molekularnym. Koncentracja tych ostatnich związków jest jednak bardzo mała, bo wynosi zaledwie kilka części na milion, a właśnie z nich składa się ropa naftowa. Tak więc teoretycznie jest możliwe, że ropa powstała przez rozkład bakteriologiczny, trudno jednak jest wyobrazić sobie, aby wszystkie złoża ropy powstały tą drogą.

Niezmiernie trudno jest ocenić istniejące zasoby ropy na świecie, dlatego, iż większość producentów nie ujawnia swych statystyk wydobycia, ani też nie wspomina nic o posiadanych rezerwach. Przypuszcza się jednak na ogół, że istniejące rezerwy sięgają blisko trzystu bilionów beczek, każda o wartości 42 galonów, co się równa w przybliżeniu trzynastu trylionom galonów. Dla porównania, zawartość wody w jeziorze Superior w Ameryce jest około trzech trylionów. Zachodzi pytanie, na jak długo wystarczą nam nasze zasoby, biorąc pod uwagę, że ropa jest podstawowym materiałem w produkcji plastyków i innych środków chemicznych, a także źródłem energii dla elektrowni, samolotów, a także samochodów, których liczba wzrasta z roku na rok.

W. Lewandowski

WALKA O ŻŁOTEGO RUBLA

CZY ruble można wymienić na dolary lub złoto? Czy zarobione na sprzedaży maszyn do Rosji pieniądze można wydać na zakup autobusów we Francji, lub bawełny w Egipcie? Jeśli Sowiety nie dysponują wyposażeniem fabryk chemicznych, czy można szukać odpowiednich urządzeń na Zachodzie wycofując pieniądze z banku znajdującego się pod kontrolą Moskwy?

Takie pytania pojawiają się po raz pierwszy od wielu lat w prasie fachowej w Polsce, Rumunii, Czechosłowacji. Znamionują one poważną zmianę nie tylko w sposobie myślenia lecz również w układzie sił i wzajemnych zależności wśród państw bloku komunistycznego.

Wysunięcie przez Chruszczowa we wrześniu 62 roku zasady „podziału pracy“ w gospodarce bloku sowieckiego wywołało, jak wiemy jednocześnie daleko idące przemiany we wzajemnych stosunkach gospodarczych krajów komunistycznych.

Podział pracy oznacza specjalizację produkcji. Według tez Chruszczowa państwa mające specjalne warunki do rozbudowy np. przemysłu stocznioowego budowały by statki na potrzeby całego bloku. Inne państwo posiadające np. zasoby ropy naftowej, specjalizowało by się w wydobywaniu i przeróbce ropy. Ten podział zadań, który nawiasem mówiąc Chruszczow chciał narzucić z góry nie licząc się z interesami poszczególnych krajów, nasuwa konieczność zwiększenia wymiany handlowej i to nie dwu-stronnej, ale wielo-stronnej, w ramach całego bloku. Miało to prowadzić nie tylko do szybkiego rozwoju potencjału gospodarczego państw komunistycznych, ale również do integracji gospodarczej bloku, przeprowadzanej poprzez rosnącą współzależność.

W okresie rządów Stalina handel w ramach bloku był ograniczony ponieważ Związek Sowiecki dążył do samowystarczalności gospodarczej, a kraje uzależnione politycznie od Moskwy kopiowały wiernie do najmniejszych detali wzory sowieckie. Nie licząc się ani z możliwościami gospodarczymi, ani z warunkami na-

turalnymi kraje Bloku Sowieckiego rozbudowywały w pierwszym rządzie przemysł stalowy i maszynowy. Prowadziło to w konsekwencji nie do integracji, lecz dezintegracji.

Handel między poszczególnymi krajami komunistycznymi polegał wówczas na umowach dwustronnych i wymianie towarowej: za maszyny płacono węglem, za ropę naftową statkami i żywnością. Ceny ustalane były dowolnie, a raczej narzucane przez silniejszego partnera i utrzymywane na tym samym poziomie przez wiele lat bez względu na wahania na rynkach światowych. Znałe są dobrze fakty niezwykłego wzrostu Polski i innych krajów przez Sowiety.

Pierwsze zmiany tego stanu rzeczy przyszły wraz z polskim „Październikiem“ i rewolucją węgierską. Były więc wynikiem wydarzeń politycznych, ale miały również głębokie podłoże gospodarcze.

Wzrost ogólnego uprzemysłowienia poszczególnych krajów powodował, że prymitywne formy wymiany towarowej już nie wystarczały. Nowe fabryki, a nawet nowe gałęzie przemysłu wymagały poszukiwania zarówno lepszych dostawców, jak i nowych rynków zbytu. Jednocześnie Sowiety, zawiedzione w swych nadziejach załamywania się krajów „kapitalistycznych“ patrzyły z niepokojem na nienotowany w historii rozwój gospodarczy Zachodu, a w szczególności Wspólnego Rynku.

„Wielki Plan Chruszczowa“ miał być odpowiedzią zarówno na Plan Schumana, jak i „Grand Design“ prezydenta Kennedy'ego.

Bank bez walut

Przystawienie gospodarki całego bloku sowieckiego na system specjalizacji w poszczególnych krajach wymagało utworzenie odpowiedniej maszynierii finansowo-bankowej, która miałaby ułatwić przepływ towarów w handlu międzynarodowym.

22 października 63 roku kraje RWPG podpisały porozumienie w sprawie rozliczeń wielostronnych w t.zw. rublach transferowych i utwo-

żenia Międzynarodowego Banku Współpracy Gospodarczej.

W teorii rubel transferowy miał pokrycie w złocie — za jednego rubla — 0,987412 grama złota. W praktyce Banku, który powstał w 64 roku rubel transferowy był jednostką obliczeniową i niczym więcej.

Bank Międzynarodowej Współpracy Gospodarczej składa się z trzech wydziałów: walutowo-gospodarczego, kredytowo-planowego i operacyjnego. W teorii bank ma przeprowadzać rozliczenia wielostronnych kontaktów handlowych, kredytować transakcje handlowe i inwestycyjne, przeprowadzać operacje walutowe z krajami nienależącymi do Bloku i w ogóle ułatwiać współpracę gospodarczą nie tylko w ramach RWPG lecz również z krajami zachodnimi.

W praktyce wygląda to inaczej. Bank przeprowadza rozliczenia w ramach RWPG, ale nie wychodzi poza nie i nie obejmuje swą działalnością handlu z Zachodem. Powodem tego jest fakt, że rubel transferowy nie jest walutą wymienną na rynkach światowych. Po prostu Bank RWPG prowadzi rachunki rublowe, ale nie dysponuje ani złotem, ani „twardymi“ walutami, dolarem czy funtem.

Propozycje polskie

Prowadziło to niejednokrotnie do absurdalnych sytuacji, np. Polska, która ma poważne nadwyżki w handlu z Sowiecami nie zawsze mogła wydać zarobione ruble np. w Czechosłowacji. Wynikało to z tego, że jeśli jakiś kraj bloku sowieckiego miał towary na które istniało zapotrzebowanie, to na ogół znajdował na te towary nabywcę na Zachodzie, który płacił w walucie, za którą można było wszystko kupić na rynkach światowych. Natomiast ruble można było wydać tylko w Sowieciech. Jeśli więc Czechosłowacja potrzebowała akurat rubli, to Polska mogła zarobione ruble wydać w Czechosłowacji — i Bank to załatwiał, ale jeśli Czechosłowacja potrzebowała dolarów, czy funtów, to oczywiście do transakcji z Polską czy innym krajem dysponującym nadwyżkami rublowymi, nie dochodziło.

W związku z tą sytuacją Polska wystąpiła z żądaniem wymiany rubla transferowego na złoto lub dolary. Żądanie to wysunął po raz pierwszy dyrektor generalny Ministerstwa Finansów H. Kotlicki w kwietniu tego roku.

Propozycje polskie były zresztą bardzo umiarkowane i ograniczone. Rzecznicy polscy proponowali, by Bank RWPG wymieniał przynajmniej 10% nadwyżek rublowych na złoto lub dolary. Miałyby to być stopniowo zwiększane, tak by po kilku latach doprowadzić do pełnej wymienialności rubla.

Polacy argumentowali, że nawet częściowa możliwość takiej wymiany byłaby olbrzymim bodźcem do zwiększenia obrotów handlowych w ramach RWPG i wpłynęłaby na poprawę jakości eksportowanych towarów. Importer, który wie, że przynajmniej częściowo będzie musiał zapłacić za towary złotem czy dewizami, będzie oczywiście żądał produktów najwyższej jakości.

Sprawa ta poruszana była przed kilku tygodniami na posiedzeniu Banku RWPG w Sofii, a 18 października, na posiedzeniu w Budapeszcie zapadła decyzja zamiany części kapitałów w rublach na złoto i waluty zachodnie. Jest to niewątpliwym sukces bankowców polskich.

W ubiegłym roku Polska dysponowała w handlu z krajami komunistycznymi nadwyżkami w wysokości około 16 milionów funtów szterlingów, a jednocześnie miała deficyt w handlu z Zachodem. Zrealizowanie choć części nadwyżek rublowych w walucie zachodniej lub złocie powinno wpłynąć na poprawę polskiego bilansu płatniczego.

Powstaje jednak pytanie zasadnicze skąd Bank RWPG weźmie złoto i dolary na pokrycie rubla?

Dotychczasowy kapitał Banku składa się z wkładów poszczególnych krajów, których wysokość dostosowana jest do ich potencjału gospodarczego. Tak więc dla przykładu Związek Sowiecki wpłacił 116 milionów rubli, Czechosłowacja 45 milionów rubli, Polska 27 milionów a Rumunia 16 milionów rubli. Należy więc przypuszczać, że obecnie część tych wpłat będzie musiała być dokonana w dewizach. Nie wiemy je-

szcze jaki będzie „rozdzielnik“ tych wpłat.

Następne pytanie dotyczy uprawnień Banku wobec tych kapitałów dewizowych. Czy zgoda na częściową wymianę rubla na złoto lub dewizy zachodnie oznacza przyjęcie propozycji polskiej, czy też może związana jest z inną propozycją np. przyznawania pożyczek dolarowych krajom członkowskim, pożyczek odpowiednio oprocentowanych? Czy Bank będzie miał prawo pokrywania swych własnych wydatków z funduszy dewizowych?

Na te pytania nie ma jeszcze odpowiedzi. Wydaje się jednak, że decyzja przynajmniej częściowej wymienialności rubla uwzględni polskie postulaty i prawdopodobnie przewiduje nową formę otwarcia kredytów.

Londyński Financial Times podaje, że Bank RWPG złożył ostatnio poważne depozyty dolarowe na kontach zachodnich. Financial Times nie wyklucza, że celem tych transakcji jest uzyskanie w przyszłości od Zachodu kredytów dolarowych, czy funtowych. Poszczególnym państwom Europy Wschodniej, szczególnie mniejszym byłoby trudniej uzyskać kredyty na Zachodzie, zwłaszcza większe i długoterminowe. Międzynarodowy Bank działający w ich imieniu miałby o wiele łatwiejszą sytuację.

Z polskiego punktu widzenia wszystkie te wydarzenia są w zasadzie korzystne. Uniezależniają bowiem finansowo, choć w bardzo ograniczonym stopniu Polskę od Sowieców i dają większą swobodę manewru na rynkach zachodnich. Może to doprowadzić do poprawy bytu społeczeństwa.

Jan Krok-Paszowski

Józef Garliński „Z I E M I A“

Już jest w sprzedaży nowa książka popularnego autora, który dał się poznać społeczności emigracyjnej dwoma tomami wspomnień z okresu ostatniej wojny, Armii Krajowej i niemieckich więzień i obozów („Dramat i Opatrzność“ i „Matki i żony“).

Cena 12/6

GRYF PUBLICATIONS LTD.
171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11

i we wszystkich kioskach i księgarniach polskich

Zorza. Na wschodzie słońce wschodzi.
To Mao-tse-tung.

Przychodzi by nas uszczęśliwić.

On jest naszym zbawicielem.

(Zwrotka z popularnej piosenki chińskiej.)

* * *

Ta oto piosenka rozbrzmiewa dzisiaj po całych Chinach komunistycznych. Śpiewają ją dzieci w szkołach i studenci na uniwersytetach, chłopi w kominach i dziesięć milionów żołnierzy, pracujących na roli. A od czasu, gdy partia chińska przypomniała Sowiecom, że Chiny nie zapomnieli o ziemiach zagrabionych im przez rządy carskie, pieśń rozbrzmiewa wzdłuż całego pogranicza, z szczególnym zaakcentowaniem słów „Mao-tse-Tung przychodzi.“

O jakie tu terytoria chodzi? Kiedy i w jaki sposób zostały zagrabione przez Rosję?

Zagadnienie, które od czasu konfliktu sowiecko-chińskiego zaczyna nabierać charakteru sporu międzynarodowego pragniemy dziś naświetlić ze strony historii, szczególnie wydarzeń z połowy 19 wieku, bowiem podobnie, jak po ostatniej wojnie, tak i wówczas, grabież cudzych ziem Rosja uzasadniała koniecznością obrony ograbionego państwa przed jakimś wrogiem, który czyhał by pozbawić ograbionego jego suwerenności.

„PRIMORSKIJ KRAJ“ — AMURSKAJA OBLAŚĆ

Nazwa „Primorskijski Kraj“ datuje się od połowy ubiegłego stulecia, kiedy Rosja, na podstawie traktatów, zawartych z Chinami, wzięła w posiadanie nie tylko dzisiejszą administracyjną część amurskiej oblasti, ale i ogromną część „kraju chabarowskiego.“ Ziemi te stanowiły część Mandżurii, a źródła historyczne, m. in. Encyklopaedia Britannica, określały te terytoria, jako rozległą część północno-wschodniej Azji zarządzaną przez imperium chińskie. Literatura rosyjska, jeszcze w pierwszej połowie 19 wieku, nazywała dolny basen rzeki Amur, jako najdalej na wschód położone terytorium Chin.

Poprzez wspomniane terytorium, na przestrzeni 4,500 kilometrów płynie rzeka Amur, z czego na długości 3,000 kilometrów stanowi granicę między Związkiem Sowieckim a Chinami, zaś po zagrabieniu tych ziem, poprzez pozostałe 1,500 kilometrów, płynie wyłącznie poprzez terytorium rosyjskie.

* * *

W połowie 17 wieku, Rosja rozpoczęła po raz pierwszy penetrację rejonu Amuru. W okresie między 1634 a 1652, zaczęły na te ziemie napływać pierw-

KRÓTKA HISTORIA INTRYG, FAŁSZU I GRABIEŻY ZIEM MANDŻURSKICH

sze ekspedycje Kozaków. Jednak już po 40 latach, wojska chińskie wyparły intruzów kozackich z granic Mandżurii.

Historyk rosyjski Dawidow określił w 1911 roku ekspedycje Kozaków, jako oburzającą. Kozacy, według Dawidowa, zachowywali się wobec ludności zdradziecko i okrutnie. Ludność miejscową cechowała dobroć i pragnienie pokoju, zaś Kozaków rabunek i zabijanie ludzi.

Dopiero traktat w Nerczyńsku z 1689 roku zakończył inwazję. Rosja wycofała się z zajętych terenów, a przez półtora wieku, terytoria, zajęte dziś przez Sowiety, stanowiły część Mandżurii, zarządzanej przez Pekin.

OD PIOTRA WIELKIEGO DO ALEKSANDRA II

Już Piotr Wielki (1689-1725) nie tań się z planem opanowania całego biegu rzeki Amur i rozciągnięcia władzy Rosji aż po wielki mur chiński, przy czym przyświecała mu myśl otwarcia drogi do Indii. Również i Katarzyna II (1763-1795) marzyła o zawojowaniu tych ziem, a tylko wojna z Turcją, grabież ziem polskich i powstanie Pugaczewa wstrzymały ją od ekspansji w kierunku Morza Ochockiego. Nie próbował jej również jej następca Aleksander I (1825-1855), zawikłany w wojnę z Napoleonem, ze Szwedami, Turcją i Persją. Zato jego następca Mikołaj I (1825-1855), powrócił do planu Piotra Wielkiego, otwarcia drogi na Pacyfik. W roku 1846, wysłał on na tereny przyamurskie porucznika Gawryłowa dla zbadania sytuacji, a po jego powrocie wybrał osobiście 38-letniego generała Murawiewa, ówczesnego gubernatora Tuły i zamianował go gubernatorem wschodniej Syberii. Wbrew opozycji premiera, hrabiego Nesselrode, car powierzył Murawiewowi misję penetracji brzegów Amuru.

W wrześniu 1848, Murawiew mianował kierownikiem tej ekspedycji kapitaną Niewielskiego, po czym ten, nie bacząc na wiążące Rosję zobowiązania z traktatu nerczyńskiego, dotarł w połowie 1849 roku do ujścia rzeki Amur, do zatoki tatarskiej, gdzie zatknął flagę rosyjską i założył osadę, którą dla uhonorowania cara nazwał Nikołajewskim. Na placówce pozostawił oddział żołnierzy.

Premier Nesselrode, dla uniknięcia

sporu z Chinami, polecił zlikwidowanie placówki i wycofanie załogi. Wtedy jednak car, nie bacząc na umowę oświadczył, że „tam, gdzie raz podniesiono flagę rosyjską, tam jej się nigdy już nie opuszcza“.

MURAWIEW WYŚLAŁ SIŁĘ ZBROJNĄ

W tym samym czasie, Murawiew, pod pretekstem obrony Chin przed inwazją W. Brytanii i Francji, zmobilizował dwanaście batalionów Kozaków, które wysłał „dla obrony brzegów Amuru.“ Niewielski zaś, na rozkaz cara dokonał w 1853 r. okupacji wyspy Sahalin.

Wojna Krymska (1854-1856) dała Rosji wolną rękę dla ustabilizowania dokonanych już zdobyczy na wschodzie. W tym czasie Murawiew wysłał „dla obrony Amuru“, 16,000 piechoty, 5,000 kawalerii oraz 20 dział. Po zupełnym opanowaniu terytorium, zawiadomił on rząd w Pekinie, że zamierza się ułożyć w sprawie obrony brzegów Amuru. Odmiennie stanowisko premiera Nesselrode, Murawiew i tym razem zignorował, ponieważ rozkazy zagarnięcia tych terytoriów otrzymał on bezpośrednio od samego cara.

W maju 1856 Murawiew wysłał na tereny Amuru trzecią z rzędu ekspedycję, złożoną ze stu statków i kilku dalszych batalionów wojska, a wtedy publicznie oświadczył, że Amur jest już w całości rzeką rosyjską.

W obliczu grożącego niebezpieczeństwa, użycia przez Murawiewa sił zbrojnych, rząd chiński zawarł w dniu 16 maja 1858 r. traktat w Aigunie, który przewidywał, że ostatni odcinek rzeki, tj. około 1,500 kilometrów miał być zarządzany przez oba kraje łącznie.

W dniu 26 sierpnia 1858 roku, car Aleksander II nadał Murawiewowi tytuł hrabiego Amurskiego, a bezpośrednio po nadaniu mu szlachectwa, Murawiew objechał całe wybrzeże od ujścia Amuru aż po granice Korei i również, pod pretekstem obrony Chin, zajęł cały dzisiejszy administracyjny teren nadmorski, razem z Władywostokiem dla Rosji.

W tym samym czasie, Chiny zagrożone od południa przez blisko 50-ciotysięczną armię brytyjsko-francuską, a osłabione wewnętrznie przez rebelię

T'ai Pinga, znalazły się w sytuacji bez wyjścia. Wtedy, nie zwlekając ani chwili, ambasador rosyjski w Pekinie, Putiatin, przedłożył rządowi chińskiemu traktat pokojowy, który jednak, poza terytorium Amuru obejmował również i cały teren nadmorski z Władywostokiem. W dniu 14 listopada 1860 roku, bezbronny rząd chiński traktat podpisał.

W całej Rosji dzień ten obchodzono, jako wspaniałą kartę w historii rządów Aleksandra II.

W miesiąc później, Chiny zawarły traktat z Anglią i Francją, a wtedy okazało się, że w okresie przed zajęciem Pekinu przez wojska sprzymierzonych, Rosja, zgodnie z jej tradycją podstępnie i fałszem, z jednej strony namawiała aliantów, by grozili zajęciem Pekinu, zaś w tym samym czasie dostarczała rządowi w Pekinie broń dla obrony stolicy przed siłami anglo-francuskimi.

JAK POTRAKTOWAŁY SOWIETY GRABIEŻ TYCH ZIEM?

Wspomnieliśmy już wcześniej, że inwazje na ziemie mandżurskie spotkały się z krytyką wielu historyków rosyjskich, a na dowód przytoczyliśmy krytykę Dawidowa. Zachodzi jednak pytanie, w jaki sposób potraktowały ten zabór Sowiety, które każdy zabór i administrację kolonialną potępiają i domagają się zwrotu takich ziem narodom, którym objętnie kiedy i w jakich okolicznościach te ziemie zabrano. Jak za tym odnosiły się Sowiety do grabieży ziem, należących do kraju, z którym jeszcze do niedawna Sowiety podkreślały wieczystą przyjaźń. Dla czego więc nie oddały braterskim Chinom ziem, zagrabionych przez rządy carskie? Jak te zabory potraktowali historycy sowieccy?

Oto np. historyk Pokrowski, w swojej „Krótkiej historii Rosji“, która już do roku 1934 doczekała się pięciu wydań, poświęcił sporo miejsca wojnie z Turcją i wojnie krymskiej. Za to sprawie kraju nadmorskiego poświęcił tylko same fakty włączenia tych ziem do imperium rosyjskiego, pomijając wszystkie okoliczności, które tym zaborom towarzyszyły.

Widocznie takie przedstawienie zaborów odpowiadało Leninowi. bo udzielił

on książce pełnej aprobaty i polecił używać jej w szkołach, jako podręcznik do nauki historii.

Podobnie wydana w 1947 roku przez Antoszkina, pod auspicjami syberyjskiego oddziału sowieckiej akademii nie wspomina wcale o traktatach w Aigunie i Pekinie, a książka Szwarcewa „Daleki wschód — 40 lat rządów sowieckich „pomije zupełnie szczególności aneksji. Wydana w 1955 roku „Wielka Encyklopedia sowiecka“ ogranicza się tylko do opisu gospodarczego znaczenia tych ziem, zaś ekspedycje rosyjskie na te ziemie określa, jako konieczność zdobycia podstaw dla negocjacji, celem ustalenia granicy z Chinami.

Wydany w 1959 przez Kutiatina „Podręcznik o ZSSR“ oraz Żukowa „Międzynarodowe stosunki na Dalekim wschodzie — 1840-1849“ podkreślają, że zarówno rola jak i rozwój tych ziem „niczyi“ przypadła całkowicie Rosji. Autorzy pomijają cały okres 150 lat, tj. od traktatu nerczyńskiego, zaś w tekście w ogóle nie wyjaśniają w jaki sposób terytoria nadmorskie stały się częścią Rosji. Oddają cześć oficerom carskim, którzy te ziemie odkryli i skrzętnie pomijają istotne zasługi Murawiewa, za które car nadał mu szlachectwo. Za to w Encyklopedii jest o nim taka oto wzmianka:

„Nikołajewicz, hrabia Amurski. Hrabia rosyjski, mąż stanu. Od roku 1840 do 1860 gubernator wschodniej Syberii. Zawarł w Aigunie pokój, za co otrzymał tytuł hrabiego. Wzbudził zainteresowanie inteligencji oraz politycznych sojuszników dla głębszego przestudiowania Syberii.“

A JAK PRZEDSTAWIAJĄ TĘ SPRAWĘ CHINY?

Wydana w 1959 r. książka pt. „Pytania i odpowiedzi z nauki historii dla użytku szkół oraz robotników i chłopów“ nie zawiera żadnych szczególnych wzmianek o inwazji rosyjskiej. Za to wydany „Zarys historii Chin“ podręcznik dla uniwersytetów kobiecych, naprowadza bliżej fakty. Rozdział zatytułowany „Agresywna akcja Stanów Zjednoczonych i Rosji“ zawiera m. in. taki ustęp:

„W maju 1858 r., korzystając z ataków brytyjskich i francuskich sił zbrojnych na Tiensin, carska Rosja zmusiła Chiny do zawarcia traktatu w Aigunie. W następstwie traktatu, terytoria na północ od rzeki Amur i Usuri miały być pod wspólnym zarządem chińsko-rosyjskim.“

Ale i tu nie ma jeszcze wyraźnego stwierdzenia o zagrabieniu ziem przez

Rosję, nie tylko ziem na północy, ale i całego terytorium z Władywostokiem, aż po Koreę.

Za to wydana w 1958 roku przez Ting-Man-Nan'a „Historia imperialistycznej agresji na Chiny“ nie ukrywa już zupełnie prawdy. O wydarzeniach na terenach chińskiej Mandżurii autor mówi:

„W okresie wojny krymskiej, carska Rosja rozszerzyła na terenach chińskiej Mandżurii znacznie swoje wpływy. W 1850 roku, po szeregu ekspedycji, Murawiew założył na tych terytoriach bazę, którą nazwał Nikołaiewskiem, zaś w 1853 oświadczył on, iż gdyby Rosja była silniejsza, to mogłaby nawet wystąpić jako protektor Chin...“

...Pod pretekstem zapobieżenia atakom na terytoria na Dalekim wschodzie przez wojska angielsko-francuskie, Rosja wbrew chińskim protestom, przeforsowała transporty jej wojsk wzdłuż całego brzegu Amuru. Pod innym pretekstem, udzielenia pomocy rządowi Manchu dla zduszenia rebelii T'ai-P'ing-Tien, Rosja zdołała uzyskać zgodę rządu Manchu na cesję rozległych terytoriów północnych oraz wyspy Sahalin.“

Jak za tym wynika z treści wydanych w latach 1958-59 książek, to jeśli chodzi o tzw. masową konsumpcję, partia chińska starała się unikać wywołania wśród szerokich mas nastrojów antysowieckich. Zato jeśli chodzi o szkolnictwo wyższe, to agresja, grabież i wymuszanie przez Rosję cesji ziem chińskich, w czasie gdy Chiny były słabe i bezbronne, przedstawione są w właściwym świetle.

Jednak tu należy przypomnieć, że od 1958 roku datuje się zapoczątkowanie sporu sowiecko-chińskiego. W ciągu ubiegłych siedmiu lat spór ten osiągnął stopień niezwyklej gwałtowności i w tym właśnie okresie, Chiny przypomniły Sowiетom, po raz pierwszy, grabież tych ziem i dały im do zrozumienia, że sprawa ta nie została przez Chiny zapomniana.

Nie ulega więc żadnej wątpliwości, że nowe wydanie „Pytań i odpowiedzi o historii Chin“, przeznaczone dla szkół i szerokich mas, przedstawi w zupełnie innym świetle historię grabieży i wymuszenie cesji ziem chińskich. Ostatnio, wypowiedzenie przez Sowiety wieczystej przyjaźni z Chinami, zwolniło Chiny od ostatnich, słabych już tylko względów wobec sąsiada, którego historia wobec Chin była pełna intryg i fałszu. O tym szerokie masy chińskie teraz się dowiedzą.

Tadeusz Radwański

PO PRZECZYTANIU książki Barbary Cartland o kobiecie i jej losach poprzez wieki pod powyższym, jakże obiecującym tytułem, zamysliłam się nad tym, czy o kobiecie, lub — jak chce autorka owej najświeższej nowości literackiej — o enigmie — pisać powinna kobieta czy mężczyzna. Po pewnym wahaniu doszłam do przekonania, że pisać powinna kobieta, a to dlatego, iż żaden mężczyzna, nawet ten najmądrzejszy, oświecony, dobry, sprawiedliwy, cierpliwy i wyrozumiały po prostu nie potrafiłby napisać o nas prawdy. Prawda o kobiecie jest dla mężczyzny tak samo nieuchwytna, jak dźwięki supersoniczne, których nie chwyta ludzkie ucho, a które słyszy doskonale na przykład pies. Mężczyzna może — jeśli jest bardzo wnikliwy i intuicyjny — odkryć fragmentaryczne części mechanizmu, który rządzi kobietami, całości jednak nie zdoła ani dojrzeć, ani zrozumieć, ani wytłumaczyć. Może tak się dzieje dlatego, że droga mężczyzny do tajemnic Boga, zagadnień istnienia, praw natury czy zasad etyki jest o tyle mniej skomplikowana od naszej kobiecej, zaiste enigmatycznej i zawilej drogi. W mężczyźnie poszukiwanie Boga, intelekt, moralność czy nawet fanatyzm, biegną prostymi ścieżkami — od początkowej idei do celu, po linię możliwie najkrótszej. Wzloty ascetów, widzenia świętych, nowe religie, wielkie dzieła sztuki, czy prądy polityczne są w pierwszej mierze wynikiem żelaznej konsekwencji ich twórców, którzy od początku swej myśli filozoficznej, mistycznego objawienia, fresku, sonetu czy rzeźby — mają koncepcję tego, czego pragną dokonać. Kobieta koncepcji takiej zwykle nie posiada. Koncepcja kobiety w większości jej poczynać powstaje niejako „po drodze“ i zależna jest wraz z jej mózgiem, w którym powstaje, od faz księżycy, cyklów natury — a może nawet i od całego kosmosu, z którym kobieta żyje w rytmie o tyle ściślejszym, niż mężczyzna i spod którego wpływu nie zdoła się nigdy wyrwać.

Jeżeli jednak całą prawdę o nas miałyby napisać kobieta — to, aby dzieło takie było absolutnie prawdziwe i szczerze — musiałaby chyba napisać, że kobieta stojąca od dawna już poza prawami nie tylko księżycowych okresów, ale i menopauzy, czyli ta smutna i „uspokojona“ już istota, którą najchętniej nazywamy kobietą-człowiekiem, bo wyskoczywszy wreszcie z orbity swoich kosmicznych przeznaczeń

*) „Woman — The Enigma“ by Barbara Cartland — The witty history and savage survey of The Eternal Eve, Leslie Frewin, London, 25/-.

„ENIGMA“

zbliża się wreszcie — na starość — do wizerunku mężczyzny czyli istoty z pomiędzy dwóch płci sprawiedliwszej. Ale nawet i tu nie miałabym pewności, że mądra matrona po menopauzie napisałaby całą prawdę o sobie i swoich siostrach. Bo jakże można mieć pewność, że nie drzemiamy w niej jeszcze jakieś stare porachunki z własną płcią, których nie zapomni nawet na łożu śmierci?

Nie wiem ile ma lat Barbara Cartland i czy moglibyśmy ją już nazwać „kobietą sprawiedliwą“. Wiem tylko tyle, że pod znakomitym tytułem ukrywa się na kartkach jej książki, jeśli nie zupełna myślowa pustka, to najwyżej czytanka dla panienek z Modern Secondary School, aby dowiedzieć się mogły w potoczyście i „łatwo“ napisanym, a ubogim skrótce — o ambi-cjach, zmaganiach, prześladowaniach czy wywyższaniach kobiet poprzez wieki. W książce Barbary Cartland nie ma ani analizy, ani próby syntezy. Jest to zbiór wiadomości mniej lub więcej zręcznie przemieszanych: o kobiecie przedhistorycznej, babilońskiej, egipskiej, greckiej, rzymskiej, anglosaskiej, średniowiecznej i tak dalej i tak dalej — bez jednej oryginalnej myśli autorki, bez jednego własnego wniosku, chyba, że głębokim wnioskiem nazwiemy takie powiedzenie — kiedy powołując się na greckiego pisarza Atheneusa, Barbara Cartland stwierdza, że: „mężczyźni greccy bali się miłości do kobiet, ponieważ miłość ta jest pasją, która każe opanowanemu mężczyźnie postępować w sposób szaleńczy i jest karą bogów za ich pychę i arogancję. Tak więc Grecy zaczęli kochać chłopców...“ Wydaje mi się, że w świecie, w którym żyjemy pospołu z panią Cartland wiadomo już jak straszliwą i potępieniącą nieraz pasją, skłonną do zdrady najwyższych ideałów, a nieraz i zahaczającą o zbrodnię jest miłość homoseksualna.

I tak autorka przebija się beztrąsko przez strony i strony opisów, komunałów, bajeczek, pół-prawd i zupełnej nieprawdy. Możemy z jej książek nauczyć się na pamięć nazwisk wszystkich sufrażystek i antysufrażystek, jakie niepokoiły ziemię Albionu, możemy dowiedzieć się jakimi konkokcjami barwiły włosy kobiety w dobie elżbietañskiej, jakie nosiły stroje na Krecie i dlaczego, ale nie dowiemy się ani słowa o kobiecie-enigmie, o tym stworze związanym z ziemią i przez ten związek wysublimowanej w groźną, zaskakującą i niezwykle osobowość, o tej

CZYLI KIM (A MOŻE CZYM?) JEST KOBIETA

Klara Evans

niewiadomej, której na pewnych odcinkach uczucia czy instynktu nie dorówna nigdy mężczyzna. Gdyby Barbara Cartland była już nie tylko sumienną autorką, ale po prostu bystrą kobietą, to chyba wysnuła jakieś najskromniejsze choćby wnioski na podstawie swojej własnej, kobiecej osoby.

Możeby wówczas napisała, że kobieta tak często zadaje ból i moralne cierpienia mężczyźnie, którego kocha, gdyż chce być przez niego zapamiętana na zawsze, wbrew i ponad inne kobiety, które po niej mogłyby wejść w jego życie? Możeby także napisała, że o ile mężczyźni kochają swe własne ideały i nieraz giną za nie — to kobieta z o tyleż większym bohaterstwem potrafi ginąć za ideały mężczyzny, dlatego tylko, że to on, jej mężczyzna, je stworzył? Może wspomniałaby i o tym, że i ona i wszystkie jej siostry w podświadomości snu tworzą swe własne „Dziesięcioro Przykazań“, zaczynając je od słów: „Nie będziesz miał bogów innych przede mną — twoją kobietą“, a kończąc na „Cudzołóż, ale tylko ze mną“, lub „Kradnij i zabijaj — ale tylko dla mnie“.

Gdyby autorka „Enigmy“ chciała napisać o tych kobietach-prawdach, byłaby w jej książce i próba syntezy i doza szczerości. A raz napisawszy te oczywiste dla kobiet aksjomaty, mogłaby pisać dalej, że łatwiej jest przejść po za próg życia z tkliwością kobiecej dłoni na czole, że wierna miłość kobieca sięga często po za granicę śmierci, że do łona kobiety w jakimś kosmicznym instynkcie-objawieniu należą wszystkie dzieci wszystkich jej sióstr, że potrafi oddać życie, tyle łatwiej i spontaniczniej niż mężczyzna? Że dla swojego mężczyzny potrafi zabić i krzywoprzysięgać, upokarzać się i głodować i kraść? Że poświęcenie jej nie ma granic, jeżeli chodzi o uratowanie od zagłady jej własnego, prywatnego wszechświata, którym jest jej samiec, jej potomstwo i jej dom? Że sama jest częścią wszechświata, niepojętym i nieodgadnionym elementem natury a więc częścią Boga, który w niej — przez irracjonal-

ny mechanizm jej pobudek i instynktów ujawnia się chwilami zrywem najwyższego miłosierdzia — wyraźniej niż w dobrze ustawionym, logicznym pionie męskich poczynań.

Aby napisać całą prawdę o kobiecie trzeba mieć nielada odwagę, a także i wiele wyrozumiałości dla tych wszystkich, któreby autorkę takich zwierzeń wyklęły ze swego grona, za zdradę tajemnic. Kto wie jednak? Może już nasz kobiecy ród dojrzał do tego, aby wbrew własnej logice zrozumieć, że w całej naszej jakże częstej, bezwzględności czy okrucieństwie, w naszych małościach, wahanach, kapryśkach i nastrojach — leży nasza niezaprzeczalna wielkość?

Jesteśmy jak drzewa w lesie, jak kwiaty na łące, jak chmury na niebie — codzienne, a niezwykle w wymiarze cudu, do którego świat się przyzwyczaił, ale którego wciąż nie zgłębił. Ozdabiamy świat i tworzymy go pospołu z naszym partnerem i widocznie wszystkie nasze odruchy i instynkty, intuicje, małości i wzloty są konieczne dla harmonii tego świata, tak jak potrzebna jest burza wiosenna, aby powstał plon, jak trująca jagoda czy lek ukryty w skromnym ziele i jak życiodajny owoc? A może jesteśmy po prostu jak chleb, jak pszenica egipska, która zamknęła w sobie sekret życia, po to, aby odradzać życie? Może dlatego tylko, aby być glebą świata musimy być jednocześnie okrutne i bezmyślne, żachłanne i miłosierne, pokorne, piękne i dziecinne, instyktowne i mądre? Nie wiem, jestem kobietą, wiem nie mam koncepcji.

Pani Barbara Cartland podjęła się zadania ponad swoje siły. Przed nią i przed wieloma innymi sprawę uczciwego przeanalizowania kobiety podjęły w naszym stuleciu tylko dwie autorki: jedną z nich była nasza Gabriela Zapolska, a druga — Colette.

Czekamy na siostrę prawdową, na siostrę odważną, któraby za nas wszystkie powiedziała prawdę o nas. Swoją spowiedzią zaoszczędziłaby na pewno nam wszystkim wiele łez i „kosmicznych“ nieporozumień z mężczyzną. Ale czy taka się znajdzie? Przecież, my, kobiety należymy do najtajniejszego z tajnych zakonów — większość z nas nie zna swych własnych tajemnic.

Klara Evans

Drzazgi

POEZJA I ŻYCIE

*Ach, ci poeci! Im starsze z nich byki
Tym płomienniejsze piszą erotyki.
Każdy z nich tygrys i amant wspaniały.
Dziwne, że żony o tym nie wiedziały.*

SKARGA DYREKTORA TEATRU

*Na dramat nie chce się iść nikomu.
Szkoda fatygi. Każdy ma w domu.*

OKRADZONA ŚPIEWACZKA

*Okradli śpiewaczkę. Sopran jej zabrali.
Nic nie zauważyła. Wydiera się dalej.*

KOBIETA NORMALNA

*Każda kobieta normalna
(Bo chodzi tylko o te)
Uważa swego męża
Za ostatniego idiotę.
A kiedy nie uważa,
Gdy taką perłę się spotka,
To ta kobieta-perła
Jest sama ostatnia idiotka.*

ST. KOTWICZ

Gdy tylko mam po temu okazję, chętnie rozmawiam ze smokami. Choćbym nie wiem jak był zajęty, choćby się piętrzyły sprawy, kłopoty i prace, dla takiej gawędy odsuwam to wszystko na bok, na potem. Bo rozmowa z nimi lśni urokiem, mieni się pięknym smętkiem, chwilami rozbłyskuje nawet wyszukany humor. A przy tym jest pouczająca. Dużo można się z niej dowiedzieć. Przede wszystkim o smokach właśnie.

WIELE złego wynikało dotąd z niewiedzy o smokach. Niewiedza ta jest stosunkowo świeżej daty, a przecież zdążyła już poczynić nie lada spustoszenia. Zrodziła bowiem trzy plagi: pierwsza — to obłędny strach przed smokami, druga — niewiara w smoki, a trzecia, najgroźniejsza, bo podważająca tak umiłowane w średniowieczu podstawy zdrowego sensu — to niewiara w istnienie smoków, połączona z panicznym przed nimi strachem. Strachem, w którym przecież tkwi także przecucie czegoś nieodparcie niemal pociągającego.

Trzeba więc — nie tylko dla uniknięcia niebezpieczeństw i hazardów nieświadomości, ale i z bezinteresownej miłości ku światłu wiedzy — zając się smokami, by choć w części odzyskać informacje, a nade wszystko jasne zrozumienie całej sprawy, która przecież niegdyś nie była obca żadnemu rycerzowi, żadnemu oświeconemu mnichowi, nie mówiąc już o legionie specjalistów, którzy zajmowali się opracowywaniem „Zwierzyńców“, w których naturalnie smoki zajmowały honorowe miejsce.

W swym zamierzczłym dzieciństwie smok był po prostu dużym wężem. Takim znali go starożytni: Wirgiliusz mówiąc o bestii, która zaatakowała Laokona, raz nazywa ją „smokiem“, kiedy indziej „wężem“ — uważając najwidoczniej, że obydwa terminy określają to samo stworzenie. Jeszcze pod koniec XV wieku Pierro della Francesca przedstawia zabitego smoka u stóp Michała Archaniola właśnie w postaci węża.

Z czasem, przyczajonemu na kartach „Zwierzyńców“ i w czeluści ludzkiej

KALENDARZYK KOMBATANTA NA ROK 1966

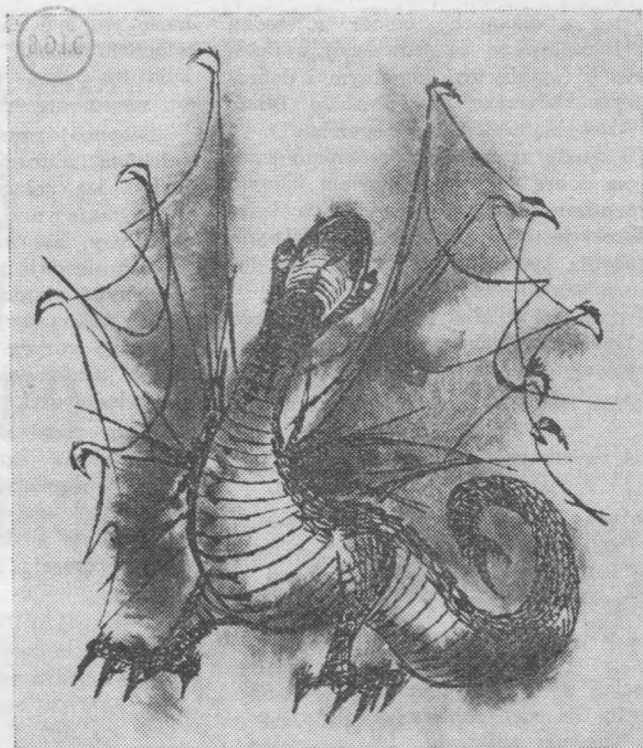
W oprawie reksynowej 5/-, w oprawie skórkowej 9/-

Zamówienia przyjmuje: GRYF — KSIĘGARNIA S. P. K.

20, Queens Gate Terrace, London, S.W. 7.

O NATURZE SMOKÓW czyli O NIEPOKOJU

Rysunki Stanisława Niczewskiego



wyobraźni, wyrosły skrzydła. Było to we wczesnym Średniowieczu, w czasach, gdy świat dla wszystkich jeszcze, nie tylko dla wybranych, pełen był dziwów, bajki, niepokoju, lęku. Leku przed tym czego — jak się to dziś mówi — „nie ma“. Oczywiście smoki były, są. Potrzeba szukania na to dowodów jest zawstydzająca, świadczy bowiem o upadku wiedzy, o rozpanoszeniu się ciemnoty i zabobonu. To co niegdyś było oczywiste dla bałkacza ze szkółki parafialnej, nie jest dziś znane profesorom uniwersytetu.

O tym jak zabobon groźnie szerzy się właśnie w środowiskach naukowych i jak fatalne mogą być skutki świadczy przykry wypadek, który zdarzył się pewnemu znanemu historykowi sztuki (nazwisko przemilczam, na prośbę rodziny), wysoko cenionemu wykładowcy na wydziale porównawczej historii sztuki.

Profesor ów stojąc w cieniu wczesno-gotyckiego portyku, wskazał studentom z prowadzonej przez siebie wycieczki na smoka zwiniętego u stóp św. Jerzego: „Ten kamień proszę Państwa jest doskonałym przykładem chorej, anty-realistycznej imaginacji Średniowiecza: przedstawia on istotę, której nigdy nie było...“

Smok natychmiast runął całym swym ciężarem na profesora, rozgniatając go jak pluskwę. Surowo strofowany przez studentów za brak taktu, bronił się twierdząc, że nie można przecież wymagać od istot, których nigdy nie było przestrzegania form dobrego wychowania.

W wyniku tego zdarzenia, studentów odesłano do szpitala, jako ofiary masowej hysterii, a wejście do katedry przez południowy transept zamknięto i zagrodzono, zaopatrując w napis: „Niebezpieczeństwo! Obrywające się kamienie grożą śmiercią! Uprasza się o składanie ofiar na naprawę zabytkowej budowli!“ Smok trochę poturbowany, wrócił łagodnie na swoje miejsce u stóp św. Jerzego.

O kilka wieków wcześniej, 21 stycznia 1530 r. ukazanie się smoka nad Paryżem wywołało powszechne poruszenie i zostało uwiecznione w ulotnym druczku, czymś w rodzaju pra-pra-dziadka naszej dzisiejszej gazety. Jedyny chyba, znany dziś egzemplarz tego nieperiodycznego pisma znajduje się w Biblioteque Nationale. Drużek zdobi ilustracja.

Drzeworyt ów przedstawia na pierwszym planie bohatera wydarzenia, tj. samego smoka, a w głębi piękne miasto Paryż. Ciekawy też i pouczający jest opis: „La terrible et Merveilleux signe qui a este vue sur la Ville de aris...“ „Straszny i nadzwyczajny znak, który oglądano nad miastem Paryżem, wśród wichury, wielkiej jasności i światła, burzy i piorunów... o dziesiątej godzinie przed północą, dwudziestego pierwszego stycznia, tysiąc pięćset trzydziestego roku“.

Warto zwrócić uwagę, że opis zgadza się z tym, co mówi o smokach autor „Zwierzyńca“ z XII wieku, angielski mnich, zapewne z cysterskiego opactwa Revesby, Lincolnshire: „Gdy smok ten wychodzi ze swej jaskini,

często wlatuje w niebo, a powietrze wokół niego staje się rozpalone...“

Zgodność dwóch, niezależnych od siebie, odległych w czasie i przestrzeni źródeł przekonała by chyba wspomnianego profesora i uchroniła go od przykrego wypadku, któremu uległ — rzecz by się chciało — „z braku dowodów“.

A dowodów tych szukać można dwójako: albo w sztuce, w literaturze, albo we własnym, człowieczym sercu. To owym drugim sposobem przekonany być musiał Henry de Montherlant, gdy mówił o smokach (ukrytych pod kryptonimem „potworów“) w „Le Maître de Santiago“: „... Ciągłe jeszcze istnieją potwory. Nigdy nie było ich tak wiele. Jesteśmy otoczeni, przywaleni nimi...“

Jeżeli chodzi o dowody istnienia smoków zachowane w sztuce lub ściślej, o istnienie smoków w sztuce, to, doprawdy, trudno znaleźć lepiej „udokumentowane ikonograficznie“ (jakby to powiedzieli moi przyjaciele, zawodowi historycy sztuki): Rzeźbiono je w kamieniu, drzewie, rzezano w szkłe i kryształach, kuto w metalach, cięto w drzeworytniczym klocku, tkano złotem i jedwabiem, ale przede wszystkim malowano.

Przy tym właśnie w malarstwie najłatwiej zauważyć rozmiary krzywd wyrządzonych smokowi od pradawna: zawsze jest zabijany, gnębiony, upokarzany, przebijany włócznią lub ścinany mieczem, deptany nogami Cnoty. Tylko księżniczka z legendy o świętym Jerzym obchodzi się z nim czasem łagodnie, odprowadzając go, pokonanego

zdjętej z własnych bioder w słodką ale szczęśliwego na jedwabnej wstążce niewolę („jakby był łagodnym i dobrotliwym zwierzem“ — powiada Jakub de Voragine w „Złotej Legendzie“).

To wtedy zapewne zaprzęgnięto smoka na dobre do pracy. Bowiem jednym z wrodzonych talentów pięknych księżniczek jest wyszukiwanie właściwych zajęć dla tych, którym trafiło się dostać w ich niewolę.

I tak smok służył za szczególnie użytecznego na bitewnym polu wierzchowca:

„... Na lwa srogięgo bez obawy
siedziesz
I na ogromnym smoku jeździć
będziesz...“

powtarza, może trochę niedokładnie, za Psalmistą Jan z Czarnolasu, a jeszcze Konfederaci Barscy (w wersji u Słowackiego) śpiewali:

„... Więc choć się spēka świat i
zadrży słońce,
Chociaż się chmury i morza naszożą,
Choćby na smokach wojska latające
Nas nie zatrwożą...“

dostarczają oczywistego dowodu, że, mimo Diderota, Encyklopedystów i „Wieku rozumu“ smoki używane były, przynajmniej w niektórych armiach zupełnie regularnie.

Jak domyślać się można na podstawie przytoczonego tekstu, owe „na smokach wojska latające“ są szczególnie groźne, skoro to o nich właśnie z pominięciem wszelkich innych formacji, mówi pieśń (czemu i dziwić się zresztą trudno). A jakież pochwałę godzi się bardziej wierzyć, niż pochwałę przeciwnika, wroga?

Ale przydatność smoków, ich praktyczne zalety, nie ogranicza się wyłącznie do dziedziny wojskowości. Używano ich — jak powszechnie wiadomo — do pilnowania skarbów i to takich, dla strzeżenia których nie wystarczały zwykle sposoby: mury warowne, wymyślne zamki i pancerne skrzynie, tajemne schowki. Musiały więc smoki odznaczać się wyjątkową odwagą, obok siły sprytem, inteligencją, a w dodatku lojalnością, jeśli obdarzano je zaufaniem, jeśli zlecano im trudne zadania i powierzano ich pieczy wszystko, co szczególnie ponętne i cenne. Na przykład: złote jabłka w sadzie Hesperyd.

Obok jednak swego fizycznego istnienia — któremu chwalebnie przyświadcza plastyka, wiodą smoki swój byt w świecie o którym wiadomości — jak się już rzekło poprzednio — szukać trzeba we własnym sercu. Trudno tu już przy tym mówić o „pożyteczności“, a natomiast można i należy o niezbe-
dności.

Nikt nie wie czy smok, smok niepokoju, który się w człowieku gnieździ

może mu być na cokolwiek przydatny, wiadomo jednak, że życie bez niego było by puste, wstrętne i bez sensu; że, wręcz, żyć nie moglibyśmy wcale.

„Niepokój graniczy z jednej strony z lękiem, z drugiej z ciekawością, jest jakby ich połączeniem. Zbożny lęk wstrzymuje nas przed odkrywaniem tajemnicy, ale świecka, nieznośna ciekawość nie daje spokoju. Sięgamy więc, by uchylić zasłonę, ale z młodym upojeniem odkrywcy łączy się zazwyczaj nie tylko gorycz zawodu, ale i strach, że oto przekraczamy bezpowrotną granicę wiadomości.

Wtedy rodzi się niepokój. A że w samej istocie jego natury leży zmaganie się sprzecznych sił, więc nie znosi on sytego zadowolenia, bezruchu. Dlatego znaleźć go łatwo u podłoża wszelkiej twórczości...“



Tak, lub podobnie — długo i nieprzekonywująco — mówi by można o niepokoju jeśliby ktoś uparł się, by nie nazywać go własnym imieniem i odmawiać mu oczywistej, smoczej samoistności.

Ale gdy nagle, wśród powszednich zajęć, bez wyraźnego powodu, chwytą nas lęk; gdy wśród zabawy, wśród bez troskiego lenistwa coś każe nam wyjść na ulicę i łązić wśród ciemności i po mokrych trotuarach na wskroś nieprzystępnego przedmieścia; gdy jakaś siła chwytą za gardło i dławi, i jeży włosy na głowie, gdy coś w nas zaczyna zadawać pytania, na które nie ma odpowiedzi (lub jest ich zbyt wiele) — wtedy nie trzeba szukać dowodów i argumentów. Wtedy wiemy, jesteśmy pewni, że mieszkający w nas smok

zbudził się i próbuje swych zębów, pazurów, ogona (w którym ponoć — jak twierdzą autorzy uczonych traktatów — jest źródło jego siły).

Mówimy o „smoku niepokoju“, ale dodać by należało: „i dziwności“. Oczywiście bowiem wszystko co dziwne, co niezwykłe — niepokoju. A także z ciekawia, pociąga. On — który zrodził się w zmroku, wśród gorączkowego snu o potworniejących gadach, ale wlatuje w kurzawie światła, On — żyjący w jaskiniach, gdzie strzeże skarbów, ale przelatujący równocześnie nad zaleźnionym miastem jak kometa, On — pomawiany o wszelkie zdrożności samotnik, jest wprost uosobieniem dziwności.

Ale nie trzeba zapominać i o tym, co w smoku jest ze smutku. Ciekawość i niepokój pchają nas ku poznaniu, ale, jak słusznie przestrzega Wilhelm Davenant:

„... But ask not bodies doom'd to die
To what abode they go;
Since Knowledge is but Sorrow's spy
It is not safe to know.“

„... Nie pytaj istot nad zagłady
brzegiem
Do jakich zdążają siedzib
Gdy Wiedza jest tylko Smutku
szpiegiem
Nie jest bezpiecznie wiedzieć.“

Smok, to smutek zrodzony z niepokoju i z wiedzy po którą sięgamy nieco samowolnie. Cóż dziwnego, że taką istotę najczęściej utożsamiano z diabłem? „Zwierzyńce“, których celem było przecież nie tylko pouczać umysły, ale również krzepić serca morałem, wniosła parabolą, nie mogły zaprzepaścić tak znakomitej okazji:

„Szatan, który jest największym ze wszystkich gadów, podobny jest właśnie smokowi. Często wlatuje w powietrze ze swej nory, a powietrze wokół niego płonie, bo Szatan wznosząc się z niższych rejonów przekształca sam siebie w anioła światła i sprowadza na manowce głupców fałszywą nadzieją chwafy i ziemskiej szczęśliwości.“

U podłoża identyfikowania smoka z diabłem leży niefrasobliwa wiara w prostotę, prostoliniowość świata duszy: „Smutek jes złem; radość, wesołość — dobrem“. Ale taka uproszczona, na poły franciszkańska interpretacja nie jest zgodna z rzeczywistością. Upraszczać — fałszuje. Zakrawa na herezję.

Równie dobrze wiedział o tym św. Augustyn, co Pascal. Jakże bowiem, ktoś wierzący w zbawienną rolę akrzyżowania może smutek utożsamiać ze złem? A autorzy „Zwierzyńców“ byli chrześcijanami. Ba! najczęściej byli mnichami!

200
LAT
TEATRU
POLSKIEGO



UROCZYSTOŚĆ TEATRALNA: Uroczystości otwarcia nowego gmachu Teatru Wielkiego w Warszawie zbiegły się z obchodami 200-lecia istnienia polskiej sceny narodowej. Z tej też okazji Związek Artystów Scen Polskich Zagranicą urządził w sali teatralnej „Ogniska Polskiego“ w Londynie „Spotkanie towarzyskie publiczności i aktorów“ połączone z toastami i występami artystycznymi. Wzięli w nim udział przedstawiciele kół intelektualnych Polskiego Londynu, jak również społecznych i politycznych z gen. Andersem i ks. prał. K. Sołowiejem na czele. Konferensjerem był obecny prezes ZASP reż. dr L. Kielanowski. Jako prolog para taneczna L. i E. Biedrzyccy w strojach rokokowych odtńczyli menueta, do którego akompaniowała p. M. Druć. Scena przystrojona była trzema portretami: króla Stanisława-Augusta Poniatowskiego, Wojciecha Bogusławskiego i S. Moniuszki, jako twórców polskiej sceny narodowej. Dekoracje J. Matyjaszkiewicza i J. Smosarskiego.

Szereg toastów rozpoczął dr Kielanowski, kreśląc początki dziejów teatru polskiego, podnosząc jego patriotyczny charakter. Z kolei amb. E. Raczynski dzielił się wspomnieniami z swoich zetknięć z teatrem, zwłaszcza krakowskim, życząc mu dalszego rozkwitu. Pra-nestor teatru Wacław Grubiński mówił, jak pojmuje teatr i jakiego przyjęcia doznawały jego własne sztuki, a zwłaszcza „Kochankowie“.

Ze szczególnym humorem mówił Juliusz Sakowski, podnosząc uznanie z jakim spotykali się w społeczeństwie polskim wielec aktorzy i aktorki oraz wznosił kielich na cześć teatru i aktora, jako emisariusza mowy polskiej.

Następnie Stanisław Baliński wygłosił krótki wykład na temat dziejów pol-

skiej opery, uważając wystawiony po raz pierwszy przed stu laty „Straszny Dwór“ S. Moniuszki za najbardziej charakterystyczną polską operę narodową. Ona właśnie będzie grana na otwarciu nowego gmachu Teatru Wielkiego w Warszawie.

Jako ostatni, zabrał głos Marian Hemar, wskazując na szczególne zapóźnienia początków polskiego teatru w stosunku do teatru na zachodzie i rozwijając tezę, że wielkość polskiego teatru politycznego zaważyła na jego odgródnieniu się i wyodrębnieniu od zachodniej sztuki teatralnej. Na zakończenie wznosił toast na cześć teatru romantycznego, który najgorsze klęski narodowe zmienia w niebotyczne zwycięstwa sztuki polskiej.

Przed częścią widowiskową wieczoru adept studium teatralnego Krzysztof Jakubowski odczytał telegramy gratulacyjne otrzymane od p. J. Jundziłł-Balińskiego, Sir Laurence Olivier i od prezesa filii ZASP w Australii, Gwido Boruckiego. Poprzednio dr Kielanowski odczytał tekst depezy, jaką ZASP Zagranicą wysłał do kolegów w Kraju w 200-lecie teatru.

W części widowiskowej Krystyna Dygat wygłosiła prolog do sztuki Józefa Bielawskiego „Natręci“ danej na otwarcie teatru w 1765 r., a pp. H. Kitajewicz, S. Skoczylas i W. Majewska wykonał wiązankę piosenek Mariana Hemara do parafrazy „Natrętów“, (których oryginał się zachował) i która ma być wystawiona po zakończeniu obecnie granej sztuki S. Mrożka „Tango“. Bogumiła Klakówna ze studium teatralnego wystąpiła z inwokacją muzy komedii Talii. Wreszcie Z. Terné odśpiewała piosenkę Hemara „Pamiętam ja...“, a Paweł Prokopieni wykonał kilka pieśni S. Moniuszki. Całość była interesującym przejawem żywotności teatru dla dorosłych.

CZARODZIEJSTWO DLA DZIECI: Bo jeśli idzie o teatr dla dzieci, to sezon jego był już także rozpoczęty. Okazało się przy tym, że nasz teatr jest zupełnie nieobliczalny, jak zresztą chyba każda sztuka. W momencie kiedy ulotka „Studium Teatralnego ZASP“ dołączona do programu „Czarodziejskiego Ptaka“ głosi, że teatr nasz „staną w obliczu groźby wymarcia i zaniku“ zdoła się on raz po raz na śmiało i udane eksperymenty, stawiające go — przy jego skromnych środkach — w rzędzie żywych, rozwijających się i przodujących placówek artystycznych.

„Czarodziejski Ptak“ autorki angielskiej M. Melwood doskonale przyswojony polszczyźnie przez Reginę Kowalewską i przez nią wyreżyserowany dla teatru „Syrena“ dla dzieci i mło-

I tak smok staje się niemal sobowtorem szatana. Występuje — na zmianę z wężem — jako kusiciel pierwszych rodziców i jego właśnie pokonuje i zabija Michał Archanioł. Utożsamienie to wyda się nam może mniej dziwne, gdy przyjrzymy się uważnie naturze smoka w nas samych: kardynalną cechą jego charakteru jest nienasycenie. To nienasycenie, które rzeźbiarzowi w dłoń wciska dłuto, kłóci i godzi kochanków, konkwistadorom każe opuszczać rodzinne osiedla i szukać pod obcym, nieprzyjaznym niebem śmierci i chwały.

Jeden z piękniejszych, legendarnych wątków sztuki romańskiej ilustruje — a ilustrując wyjaśnia — tę stronę natury smoka: Oto, gdy Chrystus wstępuje w wody Jordanu, by przyjąć chrzest z rąk Jana, Księżę Ciemności w postaci smoka podkrada się, by wypić wody rzeki „i w ten sposób przeskadzać dziełu zbawienia“ — dodaje nabożny komentator. Być może. Ale chyba przede wszystkim potę, aby zaspokoić palące pragnienie, nienasycenie. Scena ta przekonywująco jest przedstawiona na głowicy kolumny w romańskim kościółku w Adel, Yorkshire.

Legenda musiała być popularna skoro jakby uproszczoną jej wersję stanowi smok pełzający ku brzegowi romańskiej chrzcielnicy: takim go widzimy w Youlgreave, Derbyshire — wpijającego zęby w chłodny, wilgotny kamień. I nikt chyba kto, raz choćby w życiu, miał wargi spieczone i usta jakby pełne gorących trocin nie odmówi mu litości i sympatii. Szczególnie, że jest on przecież rodzonym bratem tego, który porusza się już niespokojnie, niecierpliwie, w naszej piersi. A choć przysparza nam więcej bólu niż rozkoszy, więcej kłopotów niż zadowolenia, przecież nie próbujemy go wygnąć. Przeciwnie: karmimy co najdojrzałszymi owocami marzeń.

Może zresztą i dlatego, że smok nie przestał do dziś być także stróżem: on, którego bajka wyhodowała i wypieściła jak dobra niania — strzeże teraz bajkę w jaskini naszej wyobraźni.

I dlatego właśnie, że smok niepokoju, tęsknoty, pokus znalazł w nas schronienie patrzymy ciekawie, z czułością w jego oczy. Niekiedy wydaje się, że są one studnią o niezbadanym dnie, kiedy indziej, że zaczarowanym zwierciadłem: takim, w które spojrzawszy nie widzi się własnej twarzy, lecz odległe, pełne ciekawości, nieledwie dziecięce, a przecież już niebezpiecznie dojrzałe, spojrzenie Ewy — takie jakie odbiło się w nich niegdyś, pod drzewem wiadomości.

Mieczysław Paszkiewicz

dzieży, jest sztuką nawskróś nowatorską. Odbiega od wzorców sztuk typowych dla dzieci i nawiązuje raczej do teatru nowoczesnego, na raz abstrakcyjnego i realistycznego, wyobraźniowego i absurdałnego, w którym elementy „kitchen sink play“ i „Jonesco dla małych“ łączyły się z fantastyką mózgową. „Alicji w krainie czarów“ i nurtem uczuciowym „Serca“ Amicisa. Krótko mówiąc sztuka poetycka z nikłą akcją, tak iż mogłaby służyć za przykład udanego antyteatru. Tak się ona przedstawia rozumieniu człowieka dorosłego.

Tymczasem dla dzieci jest to po prostu kalejdoskop wyobraźni, życie jak je widzi dziecko wtopione w rzeczywistość dorosłych. Życie tak różne w swych składnikach alogicznych i w swej barwie od konwencji obyczajowej i rzeczywistości starszych pełnej napięć walki. Na drugim londyńskim przedstawieniu „Ptaka...“ (tak dobrze nam znanego z tradycji teatru Szaniawskiego) można było się przekonać, jak żywo dzieci reagują, jak orientują się szybko w rozwijanych wątkach i współdziałają w widowisku, gdzie tego tekst wymaga i kiedy aktorzy się do nich odwołują.

Rzecz rozgrywa się w wynędzniałej dawnej gospodzie, której gospodarze właściwie stale się z sobą sprzecykają. Rola przyziemnego gęderła przypada żonie, a z męża uczyniono przedstawiciela wiary w serce i fantastykę życia. Sztuka napisana przez Angielkę dla angielskich dzieci, okazała się po spolszczeniu zdolna do przemówienia do dziecka polskiego, tworząc w jego duszy tak potrzebny łącznik między tym co polskie i tym co angielskie, chroniąc ją od problemów rozdzielenia lub jednostronnego wyobcowania się.

Z całą właściwą jej werwą zagrała Żonę Janina Jakubówna, a wiele prawdy było w oddaniu przez Romana Ratschka roli steroryzowanego Męża. Z młodocianych wykonawców doskonale wypadł w swych epizodach Żeglarz Andrzej Maryniak i reżolutnie zachowywał się Ptak, uosobiony przez Olka Guluka, który się jeszcze z czasem lepiej roztańczy. W tej sztuce wszystko musi być jakoś inaczej, niż zazwyczaj. Dlatego zapewne szczególne trudności mieli do pokonania scenografowie J. i F. Matyjaszkiewiczowie, starając się godzić wymagania realizmu z atmosferą czarodziejstwa. Skupiwszy ten drugi element na kostiumie Ptaka, resztę potraktowali w nazbyt może sciszonych tonach konwencjonalnej banalności.

Cały sztab inscenizacyjny z reżyserką i kierowniczką artystyczną teatru na czele, R. Kowalewską, wywiązał

się z zadania bardzo dobrze. Piosenka Żeglarza pióra Ref-Rena była właściwie opracowana wokalnie przez p. H. Kamińską, tańce, jak zwykle, były pomysłowo ułożone i wykonane w większości przez J. Jakubównę, efekty dymne czy świetlne pod nadzorem A. Gołębiowskiego i J. Jasika nie zawiodły, a dr Cz. Hałskiemu rzeczywiście należy się szczególne uznanie za dobór tła muzycznego. Zarząd „Syreny“ pokonawszy trudności wewnętrzne, sprawnie przygotował warunki do wystawienia tego widowiska, a O. Lisiewiczowa wytrwawszy na stanowisku administratora odniosła nowe sukcesy organizacyjne uzyskując dużą frekwencję na pierwszych już przedstawieniach.

W przemówieniu ze sceny prezes Zarządu „Syreny“ p. T. Sulatycki przypomniał doświadczenia z urzędowego latem Festiwalu Teatrów dla Młodzieży i zapowiedział wystawienie z kolei nagrodzonej na konkursie sztuki Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej pt. „Bazyliśzek Warszawski“ apelując o poparcie „Czarującego Ptaka“, aby można było zebrać potrzebne środki finansowe dla wystawienia następnej sztuki, która wymaga dużej obsady i aby należycie wypadł wkład Teatru „Syrena“ do Roku Milenijnego. Apelen niewątpliwie znalazł już pozytywny odzew u obecnych na widowni przedstawicieli polskich funduszy i organizacji społecznych. Młodocianym widzom i ich rodzicom wreczono blankiety ankietowe z prośbą o wypowiedzenie się w sprawie granej sztuki i repertuaru teatralnego. Z zaciekawieniem wypada zacheć na ogłoszenie ankiety przez jej organizatorów.

WIECZORY LITERACKIE: Oficjalnie zorganizowane życie literackie ostatnio zamarło. Wystrzelują natomiast niespodzianki na jego marginesie. Do nich zaliczamy „Wieczór Literacki“ w sali wystawowej Polskiej YMCA urządzony z okazji ukazania się zbioru nowel pt. „Nowe Życie“ pióra Heleny Żurkowskiej-Ostrowskiej. Zebraniu temu z udziałem 60-kilkusetni-ków przewodniczył p.o. prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie gen. Z. Bohusz-Szyszko. W swym zagajeniu podniósł on żywość narracji, którą sprawia, że książkę czyta się jednym tchem, oraz jej zalety, jako utworu artystycznego a nie dokumentarnego tylko. Omówienie książki przez Stanisławę Kuzzelewską-Rayską, której stan zdrowia nie pozwolił na wzięcie osobistego udziału w wieczorze, odczytała art. dram. p. Władę Majewską. P. Kuzzelewka podkreślała cenny wkład literacki „Nowego Życia“ do ogólnego obrazu wydarzeń z lat 1939-

1948, proponując w swych wnioskach tylko drobne poprawki do drugiego wydania, którego szczerze życzyła autorce. Następnie zabrał również głos kierownik Oficyny Poetów i Malarzy i poeta Czesław Bednarczyk, który mówił o motywach, które skłoniły go do wydania książki i uznania jej za dobrą.

W drugiej części wieczoru autorka na przemian z p. Władę Majewską odczytywała fragmenty opowiadań, szczególnie charakterystyczne dla ówczesnych czasów w Polsce i dla ich literackiego ujęcia przez autorkę. Wszystkie przemówienia i recytacje były gorąco oklaskiwane przez wypełniających salę słuchaczy.

W części dyskusyjnej, w której brał m. in. udział pp. S. Przebój-Stawicki, gen. Z. Bohusz-Szyszko, C. Bednarczyk, nawiązano do wspomnianych w opracowaniu p. Kuzzelewskiej wątpliwości wysuwanych przez „historyków AK“, co do wierności takich szczegółów faktycznych, jak przechowywanie dynamitu w prywatnym mieszkaniu, przenoszenie broni, nie w ciężarówkach lub noszenie opasek przez sanitariuszki na prawym przedramieniu. Wszystkie fakty te jednak zostały potwierdzone, jak mające miejsce, przez uczestników walk AK.

Zamykając zebranie gen. Bohusz-Szyszko w imieniu autorki i własnym dziękował wszystkim uczestnikom za udział w zebraniu. Wśród nich była również p. Irena Ludwigowa, ilustratorka „Nowego Życia“.

Związek Pisarzy organizuje obecnie kilka kolejnych wieczorów. Jeden z nich poświęcony będzie poezji Polski Podziemnej, drugi prozie i poezji lwowiaków, a trzecim będzie „Dyskusja Podłużnego Stołu“ o powieści w Polsce. Na razie bliższych szczegółów brak.

SPOŁECZNOŚĆ USB: Na tradycyjnej Inauguracji Roku Akademickiego Społeczności Uniwersytetu Stefana Batorowego w Wilnie, odbytej w „Ognisku Polskim“ w 386-ym roku od powstania Wszechnicy Batorowej, pod przewodnictwem prezesa Rady B. Podoskiego, (w zastępstwie seniora rektora C. Jędrzejewiczowej), uczczono pamięć zmarłych ostatnio członków: poetki Zofii Bohdanowiczowej (1898-1965), i malarzy: Heleny Śliwińskiej oraz Zygmunta Kłossia. Przewodniczący zapowiedział przy tym wydanie 3 tomowej pracy dawnego seniora prof. S. Kościakowskiego o Antonim Tyzenhausie.

Na wykład inauguracyjny złożyło się opracowanie mgr. red. Kazimierza Okulicza „Epilog heroicznego okresu 1920-1922“ zawierający obraz wydarzeń związanych z powstaniem tzw. „Litwy Środkowej“ po tzw. buncie gen. Lucjana Żeligowskiego i zajęciu Wilna przez

wojska polskie, złożone z żołnierzy pochodzących z ziemi wileńskiej i kresów. Był to fragment niezrealizowanego projektu federacji z Litwą, w skład której wchodziłby Kanton Litwy Północnej ze stolicą w Mińsku i Litwy Zachodniej ze stolicą w Kownie. Niezrozumienie tej idei przez państwa sojusznicze i tzw. mikropatriotyzm w Polsce i na Litwie udaremniły tę ideę Józefa Piłsudskiego.

W drugiej części prof. M. Bohusz-Szyszko po pożegnaniu zmarłych członków Studium Malarstwa Sztalugowego wręczył nowe dyplomy pp. K. Berens, Polce i Francis Prattowi, Anglikowi. Ogółem Studium wydało 62 dyplomy, z tego 10 cudzoziemcom, 9 Anglikom i 1 Włochowi. W części artystycznej p. O. Rymaszewska wykonała kilka pieśni i arie z „Aidy“ przy akompaniamencie p. B. Czaplickiego, a młodzianka p. Basia Oziębło, ze studium teatralnego, wygłosiła „Mój Testament“ Słowackiego i Mickiewicza „W pamiętniku“ oraz Bohdanowiczowej wiersz „My“, zyskując sobie gromkie oklaski za doskonałą dykcję i bezpośredniość interpretacji.

FILOZOFIA W POLSCE: Równocześnie z przygotowaniem do „Kursu wiedzy o Polsce współczesnej“ Instytut Badania Zagadnień Krajowych rozpoczął akcję odczytową. Rozpoczęto ją od tematu leżącego u podstaw życia umysłowego. W obecności członków Zarządu Instytutu z presem dr W. Czerwińskim na czele i szerszego grona zaproszonych gości z kół historyków, ekonomistów i techników oraz księży. Zebranie zajął kierownik sekcji odczytowej Instytutu inż. arch. O. Stepan przedstawiając prelegenta red. mgr. J. Ostrowskiego i temat referatu: „Polska filozofia współczesna (w Polsce)“. Odczyt ten bowiem stanowił uzupełnienie obrazu filozofii polskiej na obczyźnie, drukowany w t. I. „Literatury Polskiej na Obczyźnie 1940-60“. Tym razem jednak prelegent musiał objąć nie tylko rozszerzony okres od 1939 do 1965 r., ale i przedstawić również w najogólniejszym zarysie dwa okresy poprzednie: Jeden — od powstania szkoły lwowsko-warszawskiej zapoczątkowanej wykładami K. Twardowskiego w r. 1895 na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, i drugi — okres niepodległego międzywojnia od 1919 do 1939, który stanowi szczytowy punkt rozwoju tzw. polskiej szkoły filozoficznej.

Prelegent wykazywał ciągłość współczesnej tradycji filozoficznej w Polsce na przestrzeni ubiegłych 70 lat, reprezentowanej głównie przez takich filozofów, jak J. Łukasiewicz, S. Leśniewski, T. Kotarbiński, K. Ajdukiewicz,

CZESŁAW DOBEK

KOLEDZY TEODORA BAKAŁARZA

O prozie Jana Rostworowskiego

Jana Rostworowskiego spotkałem na jednym z wieczorów „monstre“ Związku Pisarzy. Po występach kilku — prawie kilkunastu — autorów, gdy godzina pochyliła się ku zmęczeniu, wstał Jan Rostworowski, przybysz z prowincji kielbasianej, a poeta dobrze znany ogółowi z lat wojennych.

Przez długi czas Rostworowski milczał borykając się z popekapeerską biedą emigracyjną i oto przybył z wielkim poematem pod pachą.

Było tak późno, że wieczorowi groziła katastrofa. Czy publiczność wytrzyma czytanie wiersza długości półgodzinnej? Wytrzymała.

Zasługa w tym wielu czynników — przyziemnych, jak magia imienia, jak

dawna znajomość poety, jak kilka słówek nieprzyzwoitych, którymi okraszony został poemat; czynniki bardziej wzniosłe, to rytm prawdziwej poezji w jakim opowiedziane były dzieje Teodora Bakałarza, naszego kolegi żołnierza, bliskiego każdemu z siedzących na sali.

Wydaje mi się, że właśnie gdzieś w tym samym czasie, gdy przeżywał uniesienie poetyckie nad Bakałarzem, Jan Rostworowski spisywał prozą swoją obserwacje codzienne. Z nich to powstała książeczka pt. „Nasi Ludzie“, wydana obecnie przez Polską Fundację Kulturalną.

Ktoś powiedział o tych opowiadaniach, ni to prozą, ni to liryką, że kiedyś już napisano podobne opowiadania emigracyjne i to lepsze.

O lepsze, czy gorsze trudno się spierać, bo to rzecz opinii. Ale na pewno opowiadania Rostworowskiego są niepodobne do żadnych innych.

Przed wszystkim pisane są przez poetę i to wyciska na nich specjalne piętno. Brak w nich płynnej epiki, zwiezłego dramatu, za to jest nastrój, ciągła metafora i pełno kalamburków nie tylko słownych ale i sytuacyjnych.

Pierwsza część opowiadań to dzieje „Czysto wieprzowej inicjatywy“. Wielu z nas już zapomniało te czasy, gdy uganiał się w dobie racjonowania mięsa i chudził przy jedzeniu kawałkiem czysto wieprzowej kielbasy przez przedsiębiorczych rodaków wyrabianej i przez wariackich sklepikarzy na kółkach rozwieszanej po hostelach.

Londyn tego nie znał, ale czyż nie pamiętają tutejsi ludzie składów kielbasianych Białego Orła, Fregaty i innych? Napędzanie żołądków zgłodniałych rodaków kielbasą zdawało się wielce intratnym przedsiębiorstwem, mogącym trwać całe wieki, tak długo aż staropolski gust nie zmieni się w naszych dzieciach karmionych „spammem“ i „saucage'ami“. Dziś po tej wieprzowej inicjatywie pustki. Handel kielbasą i to „reżymową“ sprowadzaną z PRL prowadzą sklepiki zwane delikatesami.

W jednym z takich sklepów za ladą przy nowoczesnych lodówkach, przy automatycznej kasie i wielkiej maszynie do krajania szynki stoi poeta Jan Rostworowski, członek Akademii Wiadomości i pisarz, ceniony przez dużą część emigracji.

W jego wspomnieniach okres rozjeżdżania się po hostelach i handlowania

T. Czeżowski W. Tatarkiewicz, L. Chwistek i szereg innych, również i z młodszego pokolenia, z których wielu pozostało poza Krajem. Dzielną rolę w wojennym na cztery podokresy: 1) odbudowy, 2) prześladowań, 3) liberalizacji i 4) skądowania ruchu filozoficznego w Polsce. Prelegent podniósł zjawiska zaatakowania czołowych przedstawicieli szkoły polskiej przez Twardowskiego. Temu towarzyszy trwający do dziś proces inwentaryzacji ich dorobku naukowego. Jednocześnie następuje luzowanie umierających lub idących na emeryturę profesorów siłami marksistów, czemu towarzyszy przesuwanie zainteresowań filozoficznych ku sprawom bliższym w nauczaniu akademickim i pracach naukowych. Niemniej daje się zauważyć także zjawisko poszerzania się widnokręgów wszystkich czterech głównych kierunków myślowych w Polsce: neopozytywizmu, przez zmianę stanowiska w stosunku do metafizyki, fenomenologów przez zbliżenie się do egzystencjalizmu. Podobne zbliżenie następuje też u neotomistów. Wśród marksistów zaś, przeważają tendencje rewizjonistyczne na skutek wchłaniania dorobku analitycznej i lingwistycznej filozofii polskiej. Podkreślona też została szczególna rola w obecnym ruchu filozoficznym filozofii chrześcijańskiej skupionej w środowisku Kallickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

W dyskusji brali m. in. udział dr S. Bagiński, ks. J. Mirewicz, inż. mgr. S. Kalina, przyczyniając się do rozwinięcia różnych wątków przez referenta.

J. Ostrowski

kielbasą nabiera barwy niezwyklej przygody, pełen jest żywości spotkań z niezwykle ludźmi i swobody poruszania się po całym kraju.

„Za kierownicą starej ciężarówki można było się i z nogą na gazie, emigracyjnym szusem polecieć w przepaść, albo prosto do nieba, jak ci było w danej chwili wygodnie.“

Tak brawurowo, szaleńczo, niezależnie i podniebnie opisuje poeta swe przygody walki z konkurencją i władzami hosteli. To co jest obecnie przedstawia bardzo smutno:

„...z takiego sklepu powrotu nie ma — pisze w tym samym akapicie.

— Tu jest kapota kolego emigrancie. Tu, gdzie letnie powietrze przesiąknięte jest bladym światłem, a ludzie ni źli, ni dobrzy chodzą w butach średniego numeru.“

Kiedyś chyba historyk naszej literatury odgrzebie wspomnienia Rostworowskiego jako unikat w naszej poezji. Brutalność konkurencji, trywialność samego handlu kielbasą, przyziemność przygód owiane zostały poezją i przenośniami w rodzaju owego „szusu emigracyjnego“. Stanowią one przyczynek do życia poety. Szkoda trochę, że, nie napisane przez zimnego epika, nie są pełnym świadectwem epopei emigracyjnej, rozdział: Handel kielbasą po hotelach polskich w Wielkiej Brytanii.

Druga część książki to sylwetki ludzi, „ani złych, ni dobrych, chodzących w butach średniego numeru.“

Tu epika jest szersza, opis płynniej-

szy. Opowiadanie o księdzu Banasiu, który nawiedzony przy ołtarzu wspomnieniami, nie potrafił wypowiedzieć kazania, jest majstersztykiem na miarę Sienkiewicza — język, Tetmajera — nastrój i Żeromskiego — wydzwięk tragiczny.

Ale i tu też poeta popycha epika do czynów niegodnych, podpowiadając mu metafory, podrzucając słowa przyprawiające o zawrót głowy czytelnika, przed którym wspaniała postać emigracyjnego księdza już zaczęła żyć i działać, aby za chwilę wznieść się w chmury cudowności poetyckiej.

Albo prezes Jan Nepomucen, biedny robotnik fabryki plastiku, wspominający dni chwały prezesowskiej w pachnącym rybami klubie polskim na prowincji. Nieszczęśliwa Antonina Pokusa nad której trumną płakał brzydki, ponury syn.

Rostworowski nazwał swe opowiadania „Nasi ludzie“. Nasi zdaje się w szerszym znaczeniu emigracyjnym. Widać chciał przedstawić nam kilka typów emigrantów, powtarzalnych i pospolitych. Wprowadzając jednak do swych opowiadań uczucie, miłość człowieka, zrozumienie małości na równi z wielkością, autor dał nam ku zapamiętaniu kilka postaci, które nie tylko widzimy i rozumiemy, ale które kochamy. „Handlowaliśmy tą naszą kielbasą, jak gdyby to było opium, a my szajka szmuglerów.“

To zdanie nasuwa mi na myśl porównanie, że Rostworowski właśnie do

swych opowiadań o rodakach szmugluje opium poezji i to ten szlachetny gatunek trucizny, od którego kocha się ludzi, więcej i lepiej się ich rozumie.

Poezja Rostworowskiego zebrała wiele pochwał wspaniałych i wiele krytyk często zgryźliwych. Jest ona obfita, wylewająca się poza wręby współczesnych naczyń estetycznych, czasem szalona, czasem odwracająca się w przeszłość, wiążąc się sznurami konwencji polskiego romantyzmu.

Jednak nikt nie zaprzeczy, że Jan Rostworowski może najlepiej ze wszystkich poetów obok Wierzyńskiego utrafia w nasz nastrój nieustającej drogi żołnierzy-tułaczy.

„I poniesiesz mił setkę czy tysiąc
Każdym morzem, pod każdy południk,
Więc, gdzie staniesz żołnierzu — nad
głową
Niebo ci się OJCZYZNĄ zaludni“

Dla takich bliskich nam strofek słuchaliśmy na owym wieczorze długiego poematu w nabożnym milczeniu. Bo na to nikt nie poradzi, szukamy dziś nowych dróg, próbujemy zmieścić się w szkaradnych, ostrych kształtach rzeczywistości, ale wszyscy wyrosliśmy z patosu.

O tym przypomina nam Rostworowski w swych wierszach i w swych opowiadaniach.

Mając powiedzieć kazanie o końcu świata ksiądz Banaś uprzytamnia sobie, że kiedyś już widział bestie apokalipsy wyzwolone i szalejące, że ci ludzie „robiący w plastiku i linoleum od piętnastu lat“, też je widzieli.

„I cóż im powiem? Że się Preston pali? Że Bolton się pali? Że Manchester się pali? Jezu, koniec świata może być tylko raz, tylko raz.“

Pisarz emigracyjny, rozumiejący swe powołanie i patrzący na czytelników, tak jak ksiądz Banaś na parafian, męczy się chcąc odnaleźć właściwe słowa trafiające do ludzi, współbraci.

Jakże niewielu dzisiejszych poetów chce iść tą drogą? Oslaniają się płaszczem elitaryzmu, szukając czytelników za tysiąc lat. Wierzą w wielkość nierozumianą — po prostu nie kochają swych czytelników-bliźnich.

Rostworowski wybrał inną drogę. Bardziej ją zrozumiemy przeczytawszy te kilka obrazków, jakimi maluje swoje otoczenie.

Teodor Bakalarz był synem karczmarza, lecz nim poległ na tarczy, napił się poezji. Tego napoju nie wolno nikomu odmawiać.

Czesław Dobek

WIELKI WYBÓR PREZENTÓW GWIAZDKOWYCH

Księgarnia Polska ORBIS

38, KNIGHTSBRIDGE, LONDON, S.W.1

KSIAŻKI, PŁYTY, KARTY ŚWIĄTECZNE
WYROBY ARTYSTYCZNE (również z Polski)
KOLEĐY NA PŁYTACH

Szczegółowe katalogi książek i płyt wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

WIELE OKAZJI ZAKUPÓW
PO ZNIŻONYCH CENACH

100 tytułów książek — wiele ilustrowanych i w pięknych oprawach.

Płyty standartowe 78 obrt. po sh. 5/-, aż do wyczerpania zapasu.

SKLEP OTWARTY CODZIENNIE do 7-ej (również w soboty).

DOJAZDY: Piccadilly Line i autobusy: 9, 14, 30, 52, 73, 74, 137, stacje Hyde Park Corner i Knightsbridge, około 300 kroków od sklepu.

KAMIKAZE — BOHATERSCY SAMOBÓJCY

NIE ma chyba narodu, którego dzieje nie byłyby upiękkszane, jak diademy klejnotami, opisami bohaterских czynów indywidualnych lub zbiorowych. Im dramatyczniejsze były te dzieje, tym więcej w nich symboli czy przykładów ofiarności i męstwa i tym głębszy ich kult.

Takim z pokolnia w pokolenie przekazywanym nimbem mogą być otoczono zarówno jednostki i oddziały zawsze zwycięskie, jak i jednostki czy oddziały, które, walcząc niestępliwie, ostatecznie uległy przemocy lub przypadkowi. Jakakolwiek gradacja ich waleń i zasług jest oczywiście niemożliwa. Nie sposób przecież rozstrzygnąć, czy na największą chwałę i sławę zasłużyli tacy czy inni bohaterowie legendarni, czy piechurzy trwający niestępliwie w huragowym ogniu nad Sommą albo szturmujący Monte Cassino, czy lotnicy rzucający się na przeważającego nieprzyjaciela lub w jego straszliwy ogień zaporowy, czy ułani spod Samosierry, Balaklawy, Marsla-tour lub Rokitna, czy też marynarze obsługujący do ostatniej chwili działa lub maszyny ich tonących okrętów.

Wszyscy zdobyli „szczybel do sławy grodu“, ale bądź jak bądź mieli pewną, choć znikomą szansę wydostania się z piekła, w które skierował ich rozkaz. Była jednak podczas ostatniej wojny światowej jedna formacja, składająca się wyłącznie z ochotników, którzy wiedzieli z góry, że z wyprawy na nieprzyjaciela nie wrócą, bo muszą w niej, jako „żywe torpedy“ zginąć.

Tą formacją, zresztą bardzo liczną, a nawet masową, byli japońscy „kamikaze“, lotnicy-samobójcy, dosłownie „rzucający swe życie na stos“.

Nazwę „kamikaze“, czyli „boski wiatr“, nadano im w nadziei, że odegrają tak samo zbawienną rolę — jak ów „przez litościwego Boga zesłany“ tajfun, który w 1273 roku zniszczył doszczętnie potężną flotę mongolską u wybrzeży japońskich. Gdy na wiosnę 1944 roku admirał Onishi przedstawił sztabowi imperialnemu konkretny projekt tworzenia eskadr „kamikaze“, inspirowany przez admirała Arime, sytuacja Japonii była już tak krytyczna czy nawet rozpaczliwa, że uchwycono się go jak ostatniej deski ratunku.

Wydana po zatwierdzeniu projektu odezwa Onishi, zakończona sloganem „jeden samolot za jeden okręt amerykański“, znalazła wśród lotników bezprzykładny odzew. Z miejsca zgłosiło

się do mających powstać eskadr samobójców „popelniających akt bardzo wielkiej miłości“ aż 5.000 przeważnie już wyszkolonych pilotów. Początkowy brak odpowiedniego sprzętu uniemożliwił oczywiście natychmiastowe wykorzystanie wszystkich, jednak stopniowo niemal wszyscy do eskadr „Kamikaze“ trafili, o czym świadczy fakt, że do końca działań ich straty wyniosły 4.615 pilotów, w tym 2.630 morskich i 1.985 z lotnictwa lądowego.

Piewsze skrzydło „kamikaze“, przeniesione w styczniu 1945 na Formozę, zaczęło tworzyć na Filipinach, a dalsze cztery głównie w południowej części Japonii. Pierwszy nalot tych „desperados“ na okręty amerykańskie nastąpił 25 października 1944. Choć nie był masowy i należycie skoordynowany, wyrządził zaskoczonym Amerykanom poważne straty i szkody i zmusił ich do gwałtownego wzmacniania przeciwlotniczej obrony okrętów. Zwłaszcza, że samobójcze naloty „kamikaze“ coraz częściej się powtarzały.

Zagrożenie ze strony „Kamikaze“ wzrosło szczególnie, gdy zaczęły pojawiać się wśród nich małe samoloty „Baka“ o minimalnym zasięgu, ale mające dodatkowy napęd rakietowy i półtony materiału wybuchowego w głowicach, a podwożone przez bombowce w pobliże upatrzonych okrętów amerykańskich. Gdy tym pilotowanym odpowiednikom niemieckich „V-1“ udało się poprzez ogień zaporowy dotrzeć do celu ich eksplozje bądź powodowały zatonięcie trafionych okrętów, bądź przynajmniej zadawały im ciężkie uszkodzenia i straty w personelu. Na szczęście dla Amerykanów zaczęto je zbyt późno produkować, wobec czego zaledwie 135 spośród 5.000 przygotowywanych weszło do akcji, nie mówiąc już o tym, że naczelné dowództwo japońskie nie zgodziło się na wyposażenie ich w jeszcze potężniejsze głowice.

Niemniej „kamikaze“, atakujące z rosnącą furią i skutecznością, zadały flocie amerykańskiej dotkliwie ciosy. Szczególnie podczas walk na Filipinach i Okinawie. W samym tylko styczniu 1945 uszkodziły poważnie, przez uderzenie o burty, pokłady lub superstruktury, między innymi 2 pancerniki, 4 krążowniki, lotniskowiec „Franklin“, na którym zginęło około 800 marynarzy i lotników, wreszcie 9 kontrtorpedowców i 3 wielkie transportowce. W sumie od końca października 1944 do połowy czerwca 1945 dokona-

ły 2.550 wypraw, spośród których aż 475 czyli blisko 19 procent było skuteczných. Nie udało się im wprawdzie zatopić ani jednego lotniskowca, pancernika czy krążownika, ale bądź jak bądź uszkodziły, w tym czasie 12 lotniskowców, 15 pancerników i 16 krążowników i dużych eksportowców oraz ponad 110 niszczycieli, fregat i innych mniejszych jednostek. Niezależnie od tego zatopiły 45 eskorterów, niszczycieli i fregat, a lotniskowiec „Bunker Hill“ zamieniły w bezużyteczny wrak.

Straty zadane flocie amerykańskiej w dwu ostatnich miesiącach wojny nie są mi znane.

Straty „kamikaze“, poniesione w szaleńczych atakach na coraz skuteczniej broniące się okręty, przytoczyłem już powyżej. Były one tak ogromne, że można mówić o masowym „harakiri“ najdzielniejszych lotników japońskich.

Jak wiadomo, ta ich hekatomba też nie zdołała uchronić Japonii przed ostateczną klęską. Już 16. lutego 1945 spadły pierwsze bomby na Tokio, 6 i 8 sierpnia legły w gruzach Hiroszima i Nagasaki, zniszczone jedynymi dwoma bombami atomowymi, jakie Amerykanie wówczas posiadali, a 14. sierpnia cesarz japoński zgodził się na bezwarunkową kapitulację.

Na wiadomość o tym dowódca 5-go skrzydła „kamikaze“, wiceadmirał Ugaki, popełnił harakiri, a twórca i dowódca całości tej groźnej broni, admirał Onishi, polecił ku zajętej przez Amerykanów Okinawie, by w nierównej walce zginąć. Z drogi nadał przez radio odezwę, w której zapewnił, że szuka śmierci dla ekspiacji daremnych ofiar, a nie celem dania przykładu młodszym, którzy powinni żyć, by jedyną w swoim rodzaju tradycję „kamikaze“ pielęgnować.

Po zaprzestaniu walk jeden z pozostałych wyższych dowódców „kamikaze“ odwiedził w ciągu czterech lat niemal wszystkie rodziny tych bohaterских samobójców i stwierdził, że byli oni bez wyjątku również najlepszymi synami, przyjaciółmi i uczniami. To też kult ich daremnej ofiary był ze szczególną dumą po domach i świątyniach pielęgnowany.

Niewątpliwie zasłużyli na to. Wzbu-dziili także u wroga nie tylko respekt, ale także podziw, bo stali się uosobieniem najszczytniejszego i najbardziej bezinteresownego umiłowania ojczyzny.

Znany angielski pisarz wojskowy,

gen. Fuller, stwierdził w swej monografii o II. wojnie światowej słusznie, że ta ich próba wyrównania niższości technicznej absolutną pogardą śmierci nie ma sobie równych w dziejach ludzkości i zasłużyła na nieśmiertelną chwałę i pamięć.

Jak dobrze było, gdyby przyszłe pokolenia potrafiły zdobyć się na podobnie gorącą bezinteresowną miłość ojczyzny i mogły ją jedynie w ofiarnej i zgodnej pracy pokojowej manifestować.

Niestety nie tylko krwawe dzieje ludzkości, ale także ostatnie powojenne dwudziestolecie, podczas którego było już 40 wojenek między państwowych, wyzwolenicznych lub domowych, nastrojają nas pod tym względem sceptycznie i każą raczej liczyć się z tym, że najlepszą będą nadal ginać w imię miłości ojczyzny.

Masowa ofiara „kamikaze“ z pewnością nie była „słodką“, ale była bezsprzecznie „zaszczytną“ i nie daremna, bo nie tylko nienawiścią, lecz także miłością zrodzona.

K. Glabisz

APEL O POMOC DLA CHORYCH

Komisja Koordynacji Opieki Społecznej organizuje dorocznym zwyczajem akcję paczek gwiazdkowych dla chorych Polaków, przebywających w czasie świąt Bożego Narodzenia w szpitalach w W. Brytanii oraz osób w podeszłym wieku, żyjących na obczyźnie w samotności.

Fundusze na zrealizowanie akcji gwiazdkowej i opieki nad chorymi pochodzą częściowo od organizacji społecznych, a częściowo z ofiarności publicznej. W związku z tym Komisja w czasie od 15 listopada do 15 grudnia br. przeprowadza zbiórkę, apelując o składanie ofiar bezpośrednio do Komisji, bądź na listy, które rozsyłamy zarówno do organizacji i instytucji, jak i do poszczególnych osób z uprzejmą prośbą o poparcie akcji przez przeprowadzenie tej zbiórki. Zbiórka i jej termin są uzgodnione z władzami duchownymi i organizacjami społecznymi.

Ofiary przekazywać można czekiem przekreślonym, wystawionym na: WELFARE COORDINATION COMMITTEE lub P.O. wystawionym w ten sposób, bądź gotówką (w liście poleconym) na adres:

WELFARE COORDINATION COMMITTEE,
55, Princes Gate,
London, S.W. 7.

A. JANUSZAJTIS
Sekretarz
Komisji K.O.S.

Ks. M. WALCZAK
Wiceprzewodniczący
Komisji K.O.S.

P. HĘCIAK
Prezes
Zjednoczenia Polskiego

Setna rocznica urodzin Józefa Piłsudskiego

Z INICJATYWY Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie odbyło się 5 listopada w sali „Ogniska Polskiego“ licznie obsesane zebranie przedstawicieli stowarzyszeń instytucji, celem powołania komitetu uczczenia setnej rocznicy urodzin Józefa Piłsudskiego.

Zebranie zagał prezes Instytutu gen. T. Alf-Tarczyński, proponując gen. dr R. Odzierżyńskiego na przewodniczącego zebrania, co zostało przyjęte przez aklamację. Referat programowy

wygłosił płk. dypl. T. Schaetzel, podając w zarysach tezy programowe dla Komitetu Wykonawczego. Są nimi: 1) Treść programowa obchodu musi odpowiadać wymiarowi rocznicy, 2) dokonania powinny mieć przede wszystkim charakter trwały, 3) musi być żywą myślą o tych co przyjdą po nas... Ważnym zadaniem stojącym przed Komitetem jest inspiracja ośrodków światowych emigracji i współpraca z nimi. O skali dokonań zadecydują możliwości finansowe.

Z dyskusji podkreślić należy apel red. Z. Racięskiego, przedstawiciela Związku Dziennikarzy, by postać i działalność Józefa Piłsudskiego przedstawić w historycznej prawdzie jego wielkości.

Następnie zebranie uznało się za „Ogólny Komitet Uczczenia Setnej Rocznicy Urodzin Józefa Piłsudskiego“ i powołało prezydium Komitetu w składzie: przewodniczący — gen. S. Skwareczyński, członkowie: T. Alf-Tarczyński, płk. A. K. Gabszewicz, red. K. Okulicz, marsz. B. Podolski, gen. K. Sawicki, gen. K. Ziemiński, sekretarze: ppłk. A. Płońska i mjr. A. Dąbrowski.

Z kolei dokonano wyboru Komitetu Wykonawczego i jego prezydium w składzie: przewodniczący — płk. dypl. K. Iranek-Osmecki, członkowie: płk. R. Beill, płk. dypl. S. Kuniczak, ppłk. S. Otwinowski, mec. A. Urbański, sekretarze: ppłk. M. Siwiński, mjr. L. Naminski i mjr. J. Szeremeta.

Zgłoszone następujące wnioski przyjęto jednomyślnie: 1) Zwrócić się do gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego z prośbą o przyjęcie honorowego przewodnictwa Komitetu, 2) Zebranie upoważnia Prezydium Komitetu Ogólnego do pobierania decyzji — w razie potrzeby — w ramach przyjętego programu. 3) Komitet Wykonawczy po przeprowadzeniu programu obchodu przedstawi wnioski Prezydium Komitetu Ogólnego.



BIURO PODRÓŻY

ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S.W. 7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNET.



SUTANNY NA PARNASIE

Dawniej poetyckie uniesienia religijne — poza może Salomonową „Pieśnią nad Pieśniami” — ujawniały się w hymnach, modlitwach, antyfonach, litanjach, pieśniach religijnych. Wzniosłe i czasami sztucznie utrzymywane w chmurkach nastawienia duchowieństwa nie dopuszczało w poezji katolickiej żadnego „zapanbratyzmu” z Bogiem.

Pierwszy wyłamał się z tych rygorów katolicyzm amerykański, ułatwiając pracę poetycko-mistyczną konwertycie Tomaszowi Mertonowi, zakonnikowi najpierw z klasztoru Benedyktynów, potem Trapistów, który wydał w 1952 r. „The Elected Silence” („Cisza Wybrana”). Książka ta stała się bombą w świecie literackim. Poza ogromną ilością czytelników, zajęli się nią nie tylko krytycy, ale i poeci. Gerard Manley Hopkins, czolowy poeta amerykański, m. in. tak o niej mówi w „The Seven Storey Mountains”:

„Elected Silence“ sing to me
And beat upon my whoreled ear
Pipe me to pastures still and be
The music that I care to hear.

„Wybrana Cisza“ śpiewa mi
I wpada w me nierządne ucho
Sprowadza mnie do cichych pól
Muzyką, którą chciałem słuchać.

W Polsce w 1959 r. wydali swe poetyckie zbiorki: Ks. Jan Twardowski „Wiersze“ i Ks. Paweł Heintsch „Niepowrotne godziny“ (wyd. Pallottinum, Poznań, 1959. Patrz recenzja niżej podpisanej „Kasydy, przekłady, poezje niezauważone“ w „Orle Białym“ nr. 1/1069 z 3.I.1963). Są one wyrazem nowoczesnego spojrzenia zarówno na istotę Boga, jak i zjawisk otaczającego świata, wizją nieortodoksyjnej religijności. Oba te, bliźniaczo wydane zbiorki zostały zauważone i aprobowane przez władze duchowne (imprimatur kancelarii Prymasa Polski), ale zlekceważone przez krytykę oficjalną w kraju, ze zrozumiałych względów.

Zupełnie innego przyjęcia doznał zbiorek wierszy „Madonny“ o. Wacława T. Chabrowskiego, wydany przez „Oficynę Poetów i Malarzy“ w Londynie.

Pierwszy nakład tej książki jest już na wyczerpaniu i Oficyna nosi się z myślą rozpoczęcia drugiego. Coś, czego się tej pożytecznej instytucji nie zdarzyło od lat. Wprost przeciwnie: w

swej recenzji z „Kufra na Plecach“ K. Wierzyńskiego w „Kontynentach“ (nr. 73-74, styczeń-luty 1965), skarży się C. Bednarczyk, właściciel i główny pracownik Oficyny, sam parający się sztuką poetycką na inercję czytającej publiczności i jej niechęć kupowania tomików poetyckich.

Skąd więc taka zmiana postawy czytelników, opornych nawet wobec tak wielkich nazwisk jak K. Wierzyński?

Poza ogólnym podłożem i szerzącą się powszechnie modą na pan-katolicyzm, utrafił o. W. T. Chabrowski w gust miłośników poezji. Przez swoje niezaprzeczone rozkołysanie poetyckie, swoją komunikatywność wyrazu, utrzymaną — chwilami bardzo pięknie — na granicy modnego białego wiersza, a nade wszystko przez swój bardzo ziemski, chwilami najzupełniej zmysłowy charakter odczuwania zjawisk abstrakcyjnych. Brak tu wszelkiego rodzaju uduchowienia, nie tylko w deprecjonalnie płaskim zbliżeniu na klęczkach do wizerunku Bóstwa, ale i w sensie odczucia mistycznego. Brak mędrkowania, ale i brak filozoficznej i teologicznej głębi, tak pociągającej u Mertona.

Może dla tej postawy obrazowania jest o. Chabrowski tak zrozumiały i bliski J. Rostworowskiemu. Freud doszukiwałby się tutaj braku przypadkowości w samym doborze tematu: są to Madonny — i bardzo kobiece przy tym: „...malowane w maki ręką jakiegoś nieznanego Gauguina“ ... „... z pogodną główką, oświetloną koroną ostatnich gwiazd“ ... „... złotoruda, przypruszona smutnym kolorem słońca“ ... „... z białą różą na ulicach Waszyngtonu... spokojna i piękna...“

Epoka krzywdy i łamania godności ludzkiej, wojen i ucisku przebiegła w czasie przeszłym przez psychikę poety-kapłana, ale przelamuje prawie każdy z wierszy tego zbiorku. Nie jest jednak rozpamiętywaniem — na to o. Chabrowski jest za młody, nie przeżył okrucieństw wojny jako człowiek dojrzały — jest zaledwie odbiciem dawno minionej grozy i błaganiem o zabliznienie ran i ochronę przed kataklizmami mogącymi nadejść.

Tak jak w poezji ks. ks. Twardowskiego i Heintscha jest w wierszach o. Chabrowskiego nowy nurt, świeży, bezpośredni, gorący w uczuciu, nieortodoksyjny. Potoczność, muzykalność i obrazowość jego strof jest pociągająca dla oka i ucha. Ich „świeckość“ czyni je powszechnymi i łatwymi do przyswojenia.

Paradoksalnym zbiegiem okoliczności, zupełnym przeciwieństwem tej świeckości (— u księdza —) jest teologiczna poezja świeckiego poety Michała Sambora-Chmielowca, wydana przez tąż Oficynę, o niecały rok wcześniej.*)

O ile religijność o. Chabrowskiego wylewa się w mocnych, soczystych obrazach doczesnego życia, filozoficzno-mistyczne rozważania M. Sambora rozświetlają mroki i głębie duszy ludzkiej, dopracowującej się mozolnie swego Boga i swojej z nim łączności. Każdy z 27 wierszy składających się na ten zbiorek jest odmianą tego tematu, spojrzeniem na świat doczesny poprzez oczy nasycone Bogiem, katechizmem człowieka uduchowionego, pragnącego żyć wedle wskazań wiary, jak we wstrząsającej „Modlitwie przed pracą“, rozpoczynającej zbiorek: „... Abym mówił tylko wtedy, gdy nie mogę milczeć, a nie milczał jedynie wówczas, kiedy nie mam nic do powiedzenia... abym nigdy nie miał zasad, a wiecznie ich szukał... abym w sprawach ciała mówił językiem ducha, a o sprawach ducha — językiem ciała“. Pomimo ostatniej próby wyrażonej w „Modlitwie...“ poeta krąży stale w eterycznej przestrzeni ponad-rzeczywistej, po orbicie przenośni: „Latać łatwo. Zawodowy sekret: oderwać obie stopy od ziemi równocześnie i spadać w górę, łbem w księżyc, jak w przerebłę...“

Nie jest to poezja łatwa i powszechna. Wymaga smakoszoństwa opartego na dyscyplinie filozoficznej, pewnego wyćwiczenia w abstrakcyjnym myśleniu. Autor usiłuje te abstrakcje, według wyrażonego w „Modlitwie...“ błagania ubrać w myśli powszednie „językiem ciała“: „... tak jak u nas pogoda i ulewa czasem występują razem, kiedy to „deszczuk pada, słońce świeci, czarownica masło kleci“, opis dziecka: „kremowy, pulchny i głęboko mądry“, starego robotnika w kolejce, który „chrząknął, splunął i pociąg zaraz ruszył“, szewca, który zapytany, co robi dla zbawienia duszy, odparł: „buty“ — ale są to raczej wstawki umyślne, umieszczone dla poetyckiego kolorytu obrazów oderwanych.

Poeci obecni są wyraźnie zafascynowani Gauguinem. — Wspomina o nim, zarówno jak o. Chabrowski (— przypadkowo —) i M. Sambor (— pomiędzy innymi —): „... ciałochwalca — opierając pierś żółtej dziewczyny o tacę czerwonych owoców, im daje smak piersi — ich mięsistość“. Pomimo kolorowości tej charakterystyki jest to tylko opis obrazu, podziw estety dla twórczości innego artysty. O. Chabro-

*) „Chwile“, Michał Sambor, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1963, str. 29 i 6 nl.

wski wspomina o Gauguine ubocznie, ale czuje się, że owoce, dziewczyna, żółtość i czerwień przeleciały mu przez wyobraźnię i zabarwiły na makowo pokazany obraz Madonny.

Forma poezji zawartych w zbiorze M. Sambora jest w swej większości formą pół-poetycką, refleksjami mistycznej natury, kresłonymi tak, jak się nasuwały: czasami o rytmice wewnętrznej, czasami nawet bez niej, prozą poetycką, a miejscami wierszem rymowanym. W tematyce nie pominął autor ani „Wspomnień spod Workuty“, ani „Opowiadania Więźnia“.

W swej abstrakcyjnej „Litaniu do Jezusa mało znanego“, gdzie Bogu przysługują w lwiej większości pojęcia oderwane: pogody, wesela, wdzięku, beztroski, przyjaźni oraz przymioty mało mówiące: czarujący, dowcipny, niewymuszony, wyrozumiały, przystępny — usiłuje poeta wstawić obrazy z rzeczywistego życia: „uczujący z jawno-grzesznikami i śpiący twardo wśród burzy“ — ale i one są jedynie odbiciami ze znanych obrazów sztuki dewocjonalnej. Jakaż przepaść między takim odczuciem Boga, a podejściem o. Chabrowskiego, który: „wargami całując powietrze dotykam Cię... rękami wymachując uderzę o Ciebie, o sękatę dłoń Ojca zimy, lata, wiosny...“

H. Żurkowska

GRAŃICA francusko-hiszańska podczas minionej wojny trudna była do przebycia — z obu stron strzeżona była starannie. Ale nawet po jej szczęśliwym przebyciu trzeba było wielkiej pomysłowości i przysłówowego łutu szczęścia, aby uniknąć obozu Miranda del Ebro. Bardzo nielicznym się to udawało. Do tych nielicznych należał podchorąży Wacław Siennicki, któremu po wielu przygotowaniach udało się do poselstwa polskiego w Madrycie, skąd już bez większego trudu został wyekspediowany do Wielkiej Brytanii.

Rzadko który z Polaków ma za sobą tak niezwykle przeżycia, jak podchorąży Siennicki. Są one tak niezwykle, że w pełni zasługują na upamiętnienie w druku. Oto jak barwnie i interesująco snuje się jego opowiadanie.

— Płynąłem z Indii do W. Brytanii na pokładzie dużego transportowca. Okoliczności w jakich znalazłem się w Indiach są tylko drobnym szczegółem, niezbyt interesującym i w moim opowiadaniu pomijam go. Na pokładzie transportowca znajdowali się sami wojskowi, zaledwie kilkanaście osób cywilnych — przeważnie kobiet i dzieci. Płynęliśmy w konwoju, który składał się z dwóch transportowców i kilku statków towarowych pod eskortą pięciu czy sześciu torpedowców.

— Nudy na statku piekielne. Aby jakoś zabić czas, bez przerwy, wyliczając okresy na posiłki, graliśmy w bridża. Krytycznego dnia, po kolacji, partia zebrała się w mojej kabinie. Około godziny 23-ej, gdy kończyliśmy któregoś tam z kolei robra, potężny huk wstrząsnął statkiem. Rzuciliśmy się do kamizelek ratunkowych, które zawsze każdy miał pod ręką i wybiegliśmy na pokład. Po chwili rozległa się nowa potężna detonacja. Zrozumieliliśmy: — torpedy...

— Statek tonął tak szybko, że nie było czasu na spuszczenie wszystkich łodzi ratunkowych czy tratów. Na namysł też nie było czasu; zacinąłem pasy u kamizelki i, w ślad za innymi, skoczyłem w wodę. Gdy wypłynąłem na powierzchnię, wokół mnie pełno było ludzi. Rozdzierające krzyki i nawoływania tak zlewały się ze sobą, że trudno było zrozumieć, kto kogo woła.

— Był to koniec lipca 1941 roku. Woda nie była zimna. Uruchomiłem umocowaną przy kamizelce lampkę sygnalizacyjną, jednak po chwili przestała działać. Zacząłem krzyczeć, ale widocznie mojego głosu nikt nie usłyszał. Głosy ludzkie cichły coraz bardziej, w mroku nocnym światła lampek sygnalizacyjnych nikt nie usłyszał. Czulem, że dość wysoka fala spycha mnie coraz bardziej od łądu na otwarty ocean. Zostałem sam...

— Byłem tak oszołomiony tym wszystkim co się stało, że nie zdawałem sobie w pełni sprawy z grozy niebezpieczeństwa dla mnie. Grzywacze fala co chwila zalewała mnie zupełnie. Byłem na to zupełnie bezradny. No bo i cóż ja mogłem zrobić w celach samoobrony?

— Zmęczony i wycieńczony zapadałem co chwila w jakiś nieznany mi dotychczas stan odrętwienia i wówczas było mi najzupełniej obojętne co się ze mną dzieje i co się ze mną już za chwilę stać może. Nie byłem pewien, ale zdaje mi się, że chwilami zasypiałem. Co jakiś czas odzyskiwałem pełnię świadomości i wówczas w zmęczonej głowie raz po raz zaczęły się rodzić jakieś przedziwne zjawy wraz z uczuciem potwornego lęku. Coraz częściej prześladowała mnie myśl, że jakiś nieznany, a potworny stwór morski uchwyci mnie za nogi i wciągnie w głębinę. Wprost nieludzko tego się bałem i podciągałem nogi tak, że kolana dotykały brody. W takiej pozycji nie mogłem długo trwać, gdyż zaczęły mnie chwytac bolesne kurcze. Ponowne prostowanie nóg stawało się coraz większą męczarnią.

— Gdy raz ocknąłem się z takiego snu czy odrętwienia — był już dzień. Ocalały na rękę zegarek dawno odmówił posłuszeństwa. Nie mogłem się zorientować, która jest godzina. Widząc słońce dość wysoko na niebie, wywnioskowałem, że jest już około południa. Nogi ciążyły mi jakby były z ołowiu; usiłowałem podciągnąć je pod siebie — nie udało się. Wcale mnie to nie zmartwiło, zobojętniałem na wszystko.

— W pewnej chwili zdawało mi się, że usłyszałem za sobą ludzkie głosy i śmiechy. Byłem tak osłabiony i otepiał, że nie chciało mi się zrobić ruchu rękami, aby odwrócić się w kierunku, skąd te głosy dochodziły. Zresztą byłem zupełnie przekonany, że te głosy to jakieś chorobliwe złudzenie. Głosy powtórzyły się. To mnie już zelektryzowało. Kilkakrotnie ruch rękami, wykonany zresztą z olbrzymim wysiłkiem,

**SZYBKO I TANIO!**
Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą
ZAKŁADY GRAFICZNE
GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.
171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

BIBLIOTEKA „KULTURY“
Tom XCIX
Wincenty Witos
MOJE WSPOMNIENIA
*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*
Trzy tomy o łącznej objętości
1.325 stron
Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00
W Wielkiej Brytanii do nabycia w
GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S.W. 11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich

NA

ŁODZI

PODWODNEJ

NIEPRZYJACIELA

i... zobaczyłem w dość bliskiej odległości kadłub jakiegoś statku i kąpiących się ludzi. Trudno wyobrazić sobie moją radość, która jednak szybko zgasła, gdy do moich uszu dotarły słowa wypowiedziane po niemiecku. Zorientowałem się, że jest to niemiecka łódź podwodna i może nawet ta, co zatopiła statek na którym płynąłem. Czy mogłem u tych korsarzy spodziewać się ludzkiego przyjęcia? Czy zechcą okazać mi pomoc?...

— Kąpiący się marynarze początkowo nie zauważyli mnie. Fale spychały mnie stale na kadłub łodzi. Nie mogłem, a może nawet nie chciałem wydobyc z siebie głosu, aby zwrócić na siebie ich uwagę. Gdy znalazłem się od łodzi w odległości dwudziestu czy trzydziestku metrów, jeden z marynarzy zauważył mnie; krzyknął i wskazał ręką w moim kierunku. Kilku z nich podплыnęło natychmiast do mnie i zaczęło holować w kierunku łodzi. Wyciągnięto mnie z wody i już zupełnie wyczerpanego i nawpół przytomnego. Nie bardzo zdawałem sobie sprawę co się ze mną dzieje. Nie mogło być mowy, abym o własnych siłach zszedł do wnętrza łodzi — spuszczone mnie tam na sznurze, jak bezwładny tłumok.

— Zabrał się do mnie jeden z marynarzy, widocznie sanitariusz. Rozebrał mnie do naga, owinął w ciepły koc i ułożył w koi. Pierwszym środkiem leczniczym była szklanka rumu i dwa kubki mocnej kawy. Nie wiem co się dalej ze mną działo. Pamiętam jedynie, jak mój opiekun z wielkim zainteresowaniem oglądał napisy „Poland“ na rękawach kurtki mojego battle dress'u i podchorążowskie odznaki na naramiennikach. Poza nim nikt z załogi mną się nie interesował, nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, tak jak by mnie tam nie było.

— Leżałem zupełnie zobojętniały na wszystko i nawet na moje przyszłe losy, prawie już nieprzytomny, do czego chyba w pewnej mierze przyczynił się wypity rum. Chciałem zasnąć, starałem się o to usilnie, ale jakoś nic z

tego nie wychodziło. Niepokojąca myśl ciągle świdrowała mi w mózgu: „Co też dalej oni ze mną zrobią?“. Z tego letargicznego rozmyślania wyrwały mnie nagle głosy komendy, tak bardzo typowe dla Niemców. Odgłosy marynarskich butów zaczęły dudnić po pokładzie, a gdy to ucichło, łódź jak by dostała drgawek, które zaczęły przebiegać wzdłuż całego kadłuba, — motory zaczęły pracować. Plusk fal o boki łodzi powiedział mi, że łódź płynie na powierzchni, a gdy to się skończyło, domyśliłem się bez trudu, że łódź płynie już w zanurzeniu.

— Nie wiem jak długo to trwało. Znowu padła jakaś komenda. Plusk fal, tak bardzo charakterystyczny, oznajmił mi, że znowu jesteśmy na powierzchni morza. Praca motorów ustała. Po jakimś czasie podeszło do mnie dwóch marynarzy, wyciągnęli mnie z koi i zaczęli szybko ubierać mnie w mój battle dress, a następnie wywindowali mnie na pokład łodzi. Podczas tych wszystkich czynności nie zamienili ze mną ani jednego słowa.

— Blask słońca prawie, że oślepił mnie. Tuż obok łodzi ujrzałem duży statek, w porównaniu z którym łódź podwodna wyglądała jak dziecinna zabawka. Na statku powiewała francuska flaga. Szybko przetransportowano mnie na statek. Ruch, świeże morskie powietrze, powiew wiatru — otrzeźwiły mnie. Już bardziej przytomnie zastanawiałem się nad moją nową, a zupełnie nieoczekiwaną sytuacją. Bądź co bądź znalazłem się na francuskim statku. Po raz pierwszy otucha wstąpiła we mnie, a nawet nabrałem pewności, że ta cała morska przygoda już nie może dla mnie źle się skończyć.

— Ta niczym nieuzasadniona pewność szybko się skończyła. Gdy statek ruszył w drogę, kapitan zakomunikował mi, że jest mu bardzo przykro, ale na ządanie dowódcy niemieckiej łodzi podwodnej musi mnie wydać w ręce władz niemieckich w Bordeaux, dokąd właśnie płynie. Cóż mu mogiem na to powiedzieć? Protestowanie, stawianie się okoniem nie miało by najmniejszego sensu, bo i tak by nie dało najmniejszego rezultatu. A prosić go nie chciałem, bo zrobił na mnie niesympatyczne wrażenie. „Ha trudno, widocznie niewoli nie uniknę“ — powiedziałem sobie i machnąłem na wszystko z rezygnacją ręką.

— Zupełnie inaczej odnieśli się do mnie francuscy marynarze po wysłuchaniu całej mojej przygody. Okazywali mi na każdym kroku i przy każdej okazji wiele nieklamanej serdeczności, w przeciwieństwie do swojego kapitana, który moją osobą wcale się nie interesował. Marynarze wykazali

również wiele troski o moją najbliższą przyszłość. Jeden z nich, gdy znaleźliśmy się sami, powiedział do mnie: „Nas stary nie jest taki zły, na jakiego wygląda. On sam nie w pana sprawie zrobić nie może, ale z pewnością przymknie oczy, gdy my będziemy chcieli panu pomóc“. I rzeczywiście, przymknął oczy wtedy, kiedy było trzeba.

— Po trzech dniach podróży zawinęliśmy do portu w Bordeaux. Marynarze natychmiast skontaktowali się z robotnikami portowymi. Ci w ciągu bardzo krótkiego okresu czasu dostarczyli mi cywilne ubranie, to jest ubranie robotnika portowego i chociaż wszędzie pełno było posterunków niemieckich, wiadomymi sobie przejściami bez trudu wyprowadzili mnie z terenu portu na miasto. U jednego z nich znalazłem schronienie na kilka dni. Gdy schodziłem ze statku na ląd, wtedy to właśnie kapitan „przymknął oczy“.

— Dalsze moje losy są już mniej ciekawe.

Z Bordeaux przedostałem się na teren Francji nieokupowanej, skąd przy pomocy sprawnie działającej polskiej placówki przerzutowej dotarłem do Hiszpanii. Tu już wyraźnie szczęście mi dopisało, bo ominął mnie zażywający ponurej sławy obóz w Miranda del Ebro. Z Hiszpanii przez Portugalię i Gibraltar dotarłem do Wielkiej Brytanii. Pamiętką tej niecodziennej przygody jest zegarek, który mi po dzień dzisiejszy służy, no i dokuczliwe bóle w nogach. Przymusowa kąpiel, która trwała aż 14 godzin, nie mogła pozostać bez śladu.

— W trzy lata później odwiedziłem (już w mundurze) swoich francuskich przyjaciół w Bordeaux, by im jeszcze raz złożyć podziękowanie za okazaną mi pomoc. Na moje powitanie zbiegła się cała dzielnica portowa, wśród której o mojej przygodzie było kiedyś bardzo głośno.

Stanisław Błaszczak

Doskonała książka na nagrody dla dzieci w szkołach przedmiotów ojczyстых

ICH MŁODE LATA

JADWIGI OTWINOWSKIEJ

Opowieść o chłopcach z Legionów

Cena: 9/-

„GRYF“ — 171, Battersea Church Rd.

London, S.W. 11.

KTO nie przyczłapał, jak ja, do 9-ej dywizji w Margielanie, ten nie wie co znaczy luksus życia. Nie zaimponują mi, już żadne Ritz, Crillon, Negresco czy Dorchestery. Co światowe pętażki i pętaiki wiedzą o luksusie? Mnie trzeba zapytać. Takiego łóżka na przykład, jakie dostałam w dywizji, nie miał sam dowódca, płk. Bolesławicz. Inna rzecz, że na pewno by nie chciał. Człowiek o gronostajowym sercu, ale Spartanin. Pewne względy okazywał jeszcze ochotniczkom, które w postaci strażców co dnia dociekały do wojska. Umieścił je bowiem w budyneczku na terenie sztabu, a nie jak mężczyzn, w namiotach.

Zresztą kto w 1942-im w Rosji Sowieckiej dotarł wreszcie do własnych Polaków, temu wszędzie było już wspaniale. A mnie? Nie działo się najgorzej. Kwatermistrzem był mjr. Adam Mostowski, znajomy ze Lwowa, a jego prawą ręką podchorąży Sawicki. Też ze Lwowa, jak i szef sztabu, mjr. Tadeusz Link. Gdzie lwowianie, tam lwowianinowi źle być nie może, a cóż dopiero lwowiance!

Z podchorążym Sawickim zetknęłam się przy pobieraniu ekwipunku. Zmrużył oczy, popatrzył na mnie uważnie i powiedział: „Pamięta pani, jak w kasynie lwowskim, razem z zespołem radiowym, ciągnęła mnie pani za poły fraka?” Co? Ta twarz, z której został tylko nos i kości policzkowe, bo reszta nie wyłoniła się jeszcze z nicości, to Władek Sawicki? Mógł kiedyś chodzić we fraku, a ja w sukni balowej? Śmieszne. „A ostatni raz”, ciągnął „spotkaliśmy się na sekundę w Brygidkach, pod celą 62. Pamięta pani?” Naturalnie. Takie spotkanie należało do realnych. Pamiętałam. Tak, to musiał więc być Władek Sawicki.

Przyszedł do dywizji nieco osłabiona. I poraniona od wszy i szkorbutu. Organizm przy tym nie przyjmował już żadnego pokarmu. Zwłaszcza „łapszy” i grysiku, jakże doktor zaraz kazał mi aplikować. Organizm, pobudzony nieprzytomną, szczenięcą radością, domagał się mięsa. „Nie ma mowy” doktor tłumaczył, „mięso mogłoby spowodować skręt kiszki”. „Panie doktorze”, ja znów tłumaczyłam. „Nie ma we mnie już niczego, co mogłoby się skrócić” Ale przy tym stanie kiszki mięso miało być podobno zabójcze. Słabłam tymczasem coraz bardziej, a tu całe moje „ja”, wołało: mięsa!

Wtenczas Sawicki z Mostowskim wzięli sprawę w ręce. Po paru dniach powiedzieli żebym wieczorem przyszła do kwatermistrzostwa. Przyszłam, Bielona izba, stół, biurko, ława, dwa krzesła i dwie prycze, aż buchały od woni. Na maszynie spirytusowej smażyły się na patelni befsztyki baranie. Zdumie-

TEODOZYJA LISIEWICZ

...I MAHOMET PROROK

wające, chociaż bardziej prawdopodobne aniżeli frak i suknia balowa — zjadłam dziesięć za jednym zamachem. O niczym nie myślałam, nic mnie nie obchodziło. Przypięłam się do patelni i jadłam. Strach ogarnął opiekunów. Odprowadzili mnie do sanitariatu. Czuwała nademną siostra, zaglądał lekarz. I co? Prócz snu, niczego już nie chciałam.

Okazało się później, że była to zmo-wa. Ciotka żąda mięsa, znaczy że organizm sam wie, czego mu trzeba, więc dać mięso. „Ale na waszą odpowiedzialność”, zastrzegł się doktor, „Bo może zachorować i trzeba ją będzie natychmiast zawieść do szpitala, a wiecie co to znaczy”. Nie zawiózł. Moje zdrowie zaczęło się od tego wieczoru poprawiać.

W tym okresie, żeby szczęśliwości było po uszy, postanowiliśmy spróbować jak mieszka się na prawdziwym gospodarstwie. Adam Mostowski, Władek Sawicki, kpt. Piotr, bardzo miły wilnianin (niestety, nie pamiętam nazwiska). Chatę uzbecką znalezione łatwo, szef sztabu dał pozwolenie; kwatermistrzostwo żyło z łącznością jak brat z siostrą, więc kpt. Ślusarczyk (pseudonim: nie znam nazwiska) zaprowadził nas elektryczność. Komfort. I tam to, do izdebki przeznaczonej dla mnie, wjechało łóżko składające się z elementów znalezionych w sowieckim magazynie. Materac na siatce, na to pierzyna, tak pokaźna, że chyba pobojarska, a na nią materacyk, lekki, ot takj sobie wojłoczek, dwa angielskie koce wojskowe i prześcieradło. Autentyczne. Do przykrycia koldra uzbecka i mała pierzynka. Całość osłaniał parawan, za parawanem stał piecyk, a na piecyku od samego rana zawsze coś bulgotało, żeby było pod ręką. „Za co tacy dobrzy jesteście dla mnie!” pojękiwałam. „Żeby potem we Lwowie nie powiedzieli, żeśmy w Rosji zmar-nowali ciotkę Bańdziuchową”, padała odpowiedź.

Zacnie się żyło. Dawaliśmy nawet przyjęcia. Goście walili hurmą.

Często zachodził do nas gospodarz chaty. Tatar, że tylko nóż w zęby, suszone mięso pod siodło i hajda z ordą na Lechistan. Lechistan istotnie wciąż był magnesem, bo przecież wiekowe wojny zrodziły przyjaźń i poszanowanie. Tak jak państwo otomańskie upomniało się o Polskę, kiedy Polski nie stało, tak Tatarom, mającym tradycję we krwi, Polacy też stali się swoi. Niedługo było z nimi „kęsim, kęsim” i to jakie! warto było łuku nie żałować, ale

teraz, w wspólnej niedoli, przeciwko wspólnemu nieprzyjacielowi, to bliscy. Zresztą, w obecnych warunkach, zwłszcza w Uzbekach, kołacze się nadzieja, głęboko ukryta w labiryntach skośnookiej duszy, że jeżeli niewierni doczekali się wyzwolenia, Allah na pewno będzie miłosierny i dla tych, którzy go nie odstąpili; zamkniętych w sobie, zagorzałych, chociaż dziś utajonych wyznawców Proroka.

Gospodarz mieszkał z rodziną w drugiej chacie obok. Liczną.

Palonkę przyjmował oględnie, natomiast do zaufania przyczyniła się raczej herbata, na której wojsku nie zbywało. Siedział więc czasem do późnej nocy i opowiadał coraz więcej.

— Nie boicie się represji? — zapytałam raz, wysłuchawszy zwierzeń o tatarskich marzeniach.

— Co więcej mogą nam zrobić? — wrzucił ramionami —. W 1922 zdawało się, że wybili nas doszczętnie, a żyjemy. Sami wiecie, że jak wasze wojsko stawiało namioty na polu, natrafiało tylko na kości i czaszki. To kości naszych. A jesteśmy. Uwierzyć? W 1922, z mojej ulicy, ja jeden zostałem, bo byłem jeszcze mały i schowałem się do wieży. Długo szukałem, aż znalazłem potem jakąś starszą i dwie dziewczyny. Z czasem zebrało się nas kilkanaścioro. Z całego Margielanu! A w drodze do Fergany coście widzieli? Ot, pustkowia. A ja pamiętam jak tam od bogactw domy pękały, wielbłądy ciągnęły dzień i noc, i tłustego barana każdy mógł mieć na wieczór i południe. Teraz niczego nie ma, głodzą nas, aresztują, mimo to Uzbeki rodzą się i dzieciom opowiadają jak było. Dużo naszych zdołało jeszcze w 1918 przedostać się do Ameryki. Do czasu wojny przysyłał nam paczki. I teraz, niech się tylko uspokoi, znów zaczną przysyłać. Bo nasi nie zapomna. Allah jest wielki...

— Powiedźcie, czy w Turkiestanie zdołano wypenić religię?

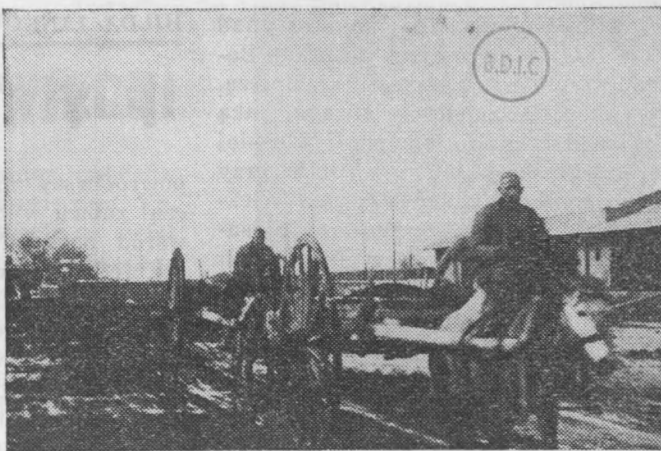
— Widzieliście, że w każdej chacie jest wgłębienie w ścianie. Na garnki i to, co kto ma. Ale przypatrzyć się. Każde zawsze zwrócone w stronę Mekki. Nie byliście jeszcze w piekarni? To idźcie. Tam teraz chleb pieką dla wojska. To dawna cerkiew, a przedtem był meczet. Bardzo święty. To grób Dżingis-Chana, wiecie? I co wam powiem, to prawda. Nie ma Uzbeka, który przechodząc tamtędy nie schyliłby głowy. Na kopule jest napis. Taki stary, że nikt nie umie go odczytać, ale

JEGO...

WSPOMNIENIE

O

UZBEKACH



każdy wie co znaczy: to grób Dżingis-Chana.

Przed samym odjazdem dywizji dosiadłam się do naszej ciężarówki. Jechała do piekarni po chleb na drogę. Inaczej bym się tam nie dostała. Wysokie sklepienie gineło w mroku. Tylko żar bijący od coraz to otwieranych pieców rzucał blask na uciekające wżwyż żłobienia kolumn. Kapitele, pokryte malowidłem bizantyńskim, rozczapierzały się w kamienne wiązania orientalnych siatek. Dwa style narosły jeden na drugim, ale nowszy, choć bogatszy w barwie, nie zdołał pokonać pierwotnego. Tuż przy ziemi, usunięto z muru parę potężnych kamieni i otwory zamieniono w piece. Nic, tylko trzask żelaznych drzwiczek, blask żaru, zgrzyt szufli wsuwającej surowe bochny, czy wyciągającej upieczone. Rozglądałam się ciekawie. Ktoś zaraz stanął koło mnie.

— Szukacie czego? — zapytał.

— Nie, towarzyszu. My po chleb, to czekam i patrzę. Ładny budynek.

— Ot, chlebozawod jakich wiele.

— Można pójść głębiej?

A pozwolenie macie? ... To i nie można.

Pracujący przy chlebie Uzbek, zgarbiony, o kościstej twarzy, w połatanym kaftanie i wystrzępionej czapeczce, rzucił na mnie baczne spojrzenie skośnych oczu.

— Coście chcieli widzieć? — szepnął, kiedy tamtego odwołano.

— Tu zdaje się są ciekawe podziemia. Skośne oczy zamigotały. Twarz nie drgnęła.

— Podziemi żadnych nie ma, a gdyby były, to wejście zamurowane, że nikt nie znajdzie.

— Mogą być jakieś stare groby...

— Tych, którzy odeszli, należy zostawić w spokoju — i schylił głowę; wsuwał właśnie do pieca surowy bochen.

Po załadowaniu chleba na ciężarówkę, w czym jakoby pomagałam, wraca-

łam do obozu pieszo. Chciałam przypa-
trzeć się meczetowi. Przeszłam na dru-
gą stronę drogi. Potężnych murów, z
ciosanych olbrzymich bloków kamien-
nych bez ozdób, nie przygniatała kopu-
ła, jak to zdarza się w tego rodzaju
budowlach, bo całość stanowiła jedną
kopułę. W górze, istotnie biegł wokół
jakby ornament, z punktu widzenia
zdobniczego nielogiczny, bo tylko pe-
wne motywy, kreski i prostokąty, po-
wtarzały się w niesymetrycznych od-
stępach.

Blotnistą drogą wlokła się arba, cią-
gniona przez chudego, wyleńskiego osia.
Obok szedł stary, suchy Uzbek. Mija-
jąc piekarnię, zatrzymał arbę, pochylił
się, jakby badając kopyta osła, poczym
ruszył. Po chwili nadeszło dwu Uzbe-
ków. Twarze bez wyrazu, spojrzenie
obojętne, powieki leniwie opadły. Do-
szedłszy do piekarni, młodszemu nagle
coś wypadło z kobiałki. Schylił się żeby
podnieść, ale starszy go ubiegł. Wy-
prostowali się zaraz, poprawili czape-
czki na głowach i, obojętni na wszyst-
ko, szli dalej. Złożyli swój pokłon. Allah
jest wielki.

Teodozja Lisiewicz

HISZPANIA OGROMNIE FANTASTYCZNA

POKAZANY w ramach dziewiątego
festiwalu filmowego w Londynie
film polski „Rękopis znaleziony w Sa-
ragossie“ jest w historii polskiej powo-
jennej kinematografii bodaj że jedy-
nym przykładem filmu komediowo-
fantastycznego. Reżyser filmu, Woj-
ciech Has, znany nam z wyświetlono-
go w r. ub. w Narodowym Teatrze Fil-
mowym filmu „Pożegnania“, oparł sce-
nariusz rękopisu na powieści Jana Po-
tockiego, napisanej w r. 1814. Film
Hasa oczekiwany był w Londynie z
dużym zainteresowaniem wobec sukce-
sów, odniesionych na festiwalach w
San Sebastian, Montrealu i Edynburgu.
I chociaż część krytyki londyńskiej uża-
ła się nad zbytym zawikłanym wą-
tkiem, „Rękopis“ nie zawiódł pokłada-
nych w nim nadziei.

Treść filmu — istotnie skomplikowa-
na — opiera się na fantastycznych
przygodach młodego kapitana gwardii
w osiemnastowiecznej Hiszpanii, w gó-
rach, obfitujących w przejrzyście ubra-
ne piękności, w duchy powieszonych
bandytów, demony, i w kolekcję naj-
bardziej nieoczekiwanych w podobnym
otoczeniu postaci. Czaszki ludzkie i wole
leżą stosami przy drogach, w powietrzu
rozlegają się ponure zawodzenia i wy-
cia, jedynym odgłosem życia jest tę-
tent kopyt końskich na wysuszonym
gruncie; ale za drzwiami skromnej kar-
czmy otwierają się wrota do wspania-
łych pałaców, a napotkani przechodnie
są albo wysokiej rangi arystokratami,
albo emirami czcigodnych plemion
arabskich. Słowem, tło dla fantazji
znakomite i niewyczerpane, które reży-
ser wykorzystuje bardzo umiejętnie.

Największym urokiem filmu jest je-
dnak potraktowanie wszystkich przy-
god i wydarzeń, najbardziej nawet

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biuro Podróży: *ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.*

przeróżających i fantastycznych w formie żartu i to dobrego żartu. Nieprzewyciężona skłonność wszystkich ważniejszych postaci do przerywania wątku wydarzeń opowiadaniem swoich własnych przeżyć prowadzi do misternego wbudowywania opowiadania w opowiadanie, zakończonego zupełnie nieoczekiwanym wspólnym rozwiązaniem. Zaloty, pojedynki, opętania, nawet morderstwa potraktowane są niepoważnie, troszeczkę w stylu opowiadań diderotowego Jakuba Fatalisty. Kolosalny zespół aktorski z Cybulskim w roli kapitana gwardii (bez ciemnych okularów!) na czele, wywiązuje się ze swego zadania doskonale; a że ogniści Hiszpanie i zalotne Hiszpanki mają w swych rysach coś słowiańskiego, to już sprawa czysto etnograficzna. Okolice Ojcwca tworzą znakomite i rdzennie pirenejskie tło, które dekoratorzy wypełnili hiszpańską i mauretańską architekturą. W sumie pierwszorzędny film rozrywkowy, dający się porównać z „Pięknościami Nocy“ René Clair'a, które odrobinę (ale tylko odrobinę!) przypomina ujęciem.

Jak to się często zdarza, tempo filmu, doskonale utrzymane w pierwszej części, trochę słabnie w części drugiej. Przydałoby się trochę cięć, skracających trwanie filmu do dwóch godzin z bez mała dwóch i pół; ale to są usterki do naprawienia. „Rękopis w Saragossie“ ma wszelkie szanse powodzenia komercyjnego na terenie międzynarodowym i należy mieć nadzieję, że znajdzie on drogę na ekrany. Warto ten film zobaczyć.

Wojciech Stefański

ZBIÓR NOWEL HELENY ŻURKOWSKIEJ „NOWE ŻYCIE“

Ukazał się zbiór nowel Heleny Żurkowskiej pt.: „Nowe Życie“ w pięknej szacie graficznej Oficyny Poetów i Malarzy w Londynie (Str. 212, cena 15/-). Książkę zdobi dwubrawna okładka i 5 plasz rysunkowych sępią Ireny Ludwigowej, a przedmowę napisał O. Paweł (ks. Józef Warszawski, T.J.), duszpasterz „Starówki“ podczas Powstania Warszawskiego 1944 roku.

Tych 20 nowel osnutych na prawdziwych wydarzeniach z lat 1939-1948 w Kraju, ujętych w artystyczną formę literacką zahacza niejednokrotnie o tematykę Akowską. Napisane są one żywą, kolokwialną polszczyzną.

Książka doskonale nadaje się na podarunek okolicznościowy lub świąteczny.

JÓZEF Sułkowski, bohater znad Zelwy, późniejszy adiutant Bonapartego, był postacią tajemniczą. Wprawdzie szaleńcza odwaga, jaką wykazał w czasie kampanii włoskiej oraz egipskiej, jak też udział przy zdobywaniu Valetty czy też Aleksandrii, zostały szczegółowo opisane przez najznakomitszych polskich i francuskich historyków, ale jego tło rodzinne i uczuciowe przeżycia są do dziś przedmiotem sprzecznych domysłów i przypuszczeń.

Nic też dziwnego, że ten splot legend jak też jego niezwykła uroda, pasowały Sułkowskiego na romantycznego bohatera wielu powieści i dramatów. Jednak wzięte pod mikroskop prawdy historycznej, wszystkie te wprowadzone przez Żeromskiego czy też innych autorów księżniczki włoskie oraz egipskie sułtanki okazują się tylko wytworem ich twórczej fantazji, bez żadnego oparcia o rzeczywistość.

Już sam początek życia Józefa Sułkowskiego jest jednym wielkim znakiem zapytania. Mamy wprawdzie do wyboru trzy matki i dwóch ojców, ale właśnie ta obfitość utrudnia jeszcze rozwiązanie zagadki. I nawet docieklivy Marian Brandys, autor niedawno wydanej książki o Sułkowskim, nie dał nam zdecydowanej odpowiedzi.

Spośród toczących się od wielu dziesiątek lat dysput, najciekawszą dla nas będzie chyba polemika pomiędzy trzema luminarzami historiografii polskiej, a mianowicie profesorami Skalkowskimi, Askenazym i Konopczyńskim. Trzeźwo w literę prawa wierzący Skalkowski, opierając się na księgach metrykalnych twierdzi, że przyszły bohater urodził się 1773 r. w węgierskim miasteczku Raab, gdzie ojciec jego, Teodor Sułkowski, stacjonowany tam jako pułkownik austriacki, ożenił się z córką miejscowego pastora. Tej prostej teorii przeciwstawia Askenazy historię bardziej romantyczną i wielce skomplikowaną.

Zanim jednak zapoznamy się z jej treścią, musimy cofnąć się wstecz o dwa pokolenia, t.j. do czasów panowania Augusta II, który dał początek książęcej linii Sułkowskich.

Cicho i skromnie dożyła ta rodzina w swej szlacheckiej miernocie aż do 1709 r., kiedy to król saski

P Y T A N I A

powróciwszy na tron Rzplitej, zaczął znowu wybierać sobie kochanki wśród bardziej dostępnych piękności. Jedną z tych wyszczególnionych łaską królewską była uroczą żonę burgrabiego Stanisława Sułkowskiego, której pierwszy syn Aleksander był uderzająco podobny do swego królewskiego ojca. August II, mimo całej nieprawości, był szczodrym ojcem dla licznej gromadki swych pozamażeńskich dzieci. Toteż Aleksander, po dojściu do pełnoletności, otrzymał nie tylko tytuł księżęcy ale też liczne dobra i synkury. Trzej młodszy synowie królewskiego potomka Aleksander, Franciszek di Paola i Antoni odziedziczyli po nim bogaty spadek a czwarty i najstarszy z nich, pyszny mimo swej ułomności ks. August, pozostał jako ordynat w pięknym, niedaleko Leszna położonym majątku Rydzyna. Reszta zaś rodu Sułkowskich, wraz z oficjalnym ojcem naszego bohatera, wiodła dalej swój szary łaską księżęcych kuzynów łatany żywot.

A teraz, doszedłszy źródła rozdwojenia rodu Sułkowskich, możemy zapoznać się z teorią prof. Askenazego. Według niego, istotnym ojcem Józefa był Franciszek di Paola, najbardziej frywolny z księżęcych braci, matką zaś francuska emigrantka, Zofia de Fleville. Aby ukryć to niepożądane ojcostwo przed zazdrosną narzeczoną Franciszka, ten urodzony w 1770 r. synek został wpisany na miejsce zmarłego zaraz po urodzeniu syna pułkownika i jego węgierskiej żony. Ponieważ jednak ten nieksiążęcy Sułkowski urodził się i umarł w 1773 r. nasz bohater musiał być odmłodzony o całe trzy lata.

Zresztą owa Zofia de Fleville została w 1789 r. żoną będącego już wówczas na emeryturze pułkownika Sułkowskiego a po jego śmierci w 1791 r. Józef opiekował się nią i posyłał zapomogi ze swojej skromnej pensji porucznikowskiej. I właśnie ten fakt oraz w tonie synowskiego przywiązania utrzymana korespondencja, umacnia prof. Askenazego w przekonaniu, że nawet Józef uważał ją za swoją prawdziwą matkę.

BEZ ODPOWIEDZI

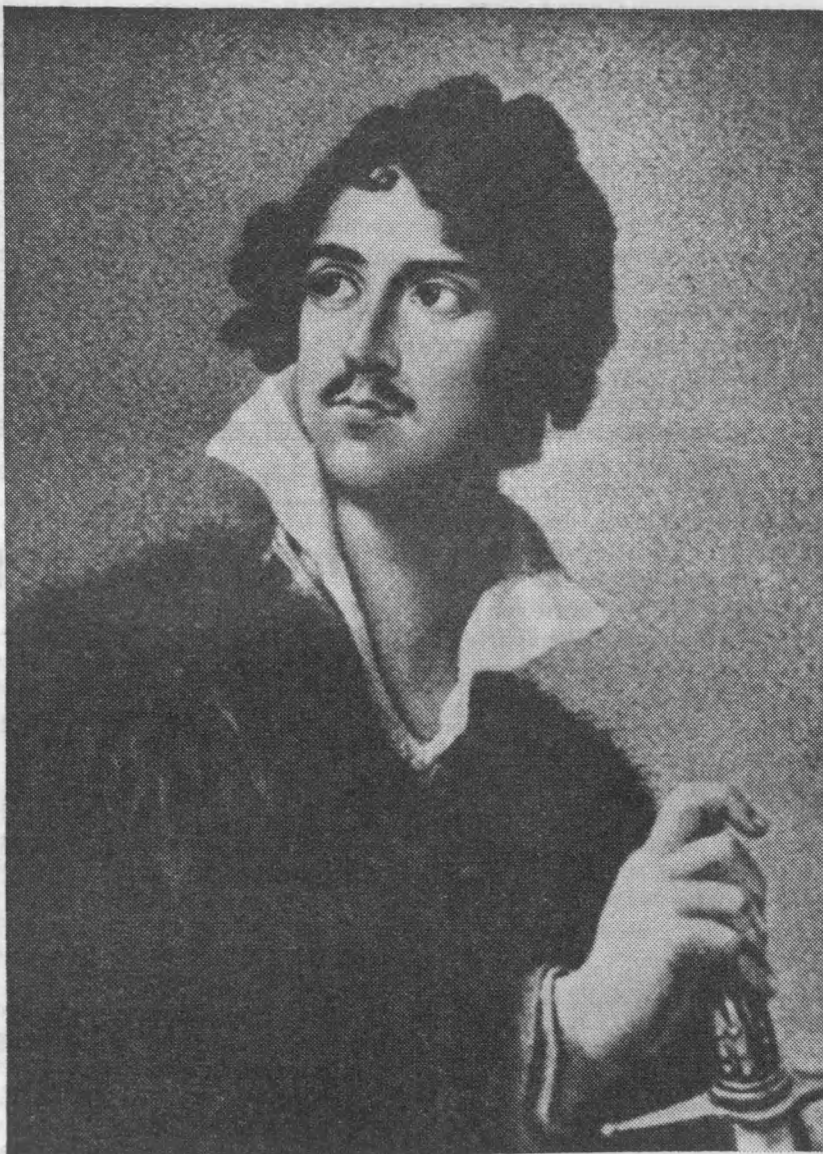
Jeśli do tej gmatwaniny rodziców i dat, dodamy jeszcze teorię prof. Konepczyńskiego, że przyjście na świat Józefa było wynikiem zbyt gorącego flirtu pomiędzy Franciszką a żoną księcia Radziwiłła „panie kochanku“, to chyba nikt nie może się skarżyć na brak urozmaicenia w przypuszczalnym rodowodzie Sułkowskiego.

Kiedy w 1778 r. mały „Pepi“ po śmierci swej oficjalnej matki został przez pułkownika przywieziony do Rydzyny, książę August był tak zachwycony niezwykłą urodą chłopca oraz jego ponad wiek rozwiniętą inteligencją, że postanowił nim się zaopiekować. Równocześnie przyjechała też jego starsza siostra Teodora. Oddana do warszawskiej szkoły klasztornej, zniknęła z kręgu naszych zainteresowań. Możemy ją więc zostawić jej wczesnej śmierci.

Tymczasem „Pepi“, oddany w doświadczone ręce najlepszych guwernerów, robi tak szybkie postępy we wszystkich gałęziach wiedzy, że dumny ze swego pupila książę August, postanowił go zabrać w długi objazd po Europie, gdzie mały geniusz, chętnie witany po królewskich dworach miał nabrać dobrych manier i zapoznać się z kulturą światową.

Po powrocie do Rydzyny w 1783 r. „Pepi“, który w czasie podróży nie zaniedbał normalnych nauk, zaczął okazywać tak gorące zamiłowanie do wiedzy wojskowej, że coraz bardziej przywiązany do swego wychowanka ordynat zrobił go honorowym chorążym rydzynskiego pułku.

To życie dobrobytu i magnackich łask skończyło się wraz ze śmiercią ks. Augusta w 1786 r. Ks. Antoni, który objął po nim opiekę nad dorastającym chłopcem, mało się o niego troszczył. W 1789 r. opuścił Józef na zawsze Rydzynę i zamieszkał w Warszawie, gdzie w stopniu porucznika zaciągnął się do pułku Działyńskich. Skromny był pokoik, który dzielił ze starszym nieco kolegą, Michałem Suchodolcem i skromna pensja oficerska, rzadko tylko zasilana z kasy książęcej. Dzięki



PORTRET JÓZEFA SUŁKOWSKIEGO Z OK. 1790 R.

temu przyjacielowi dowiadujemy się o pierwszym cieniu kobiety, jaki w owym okresie przesunął się poprzez życie przyszłego bohatera. Chociaż nie znamy nawet imienia owej tajemnicznej kochanki, musiała ona jednak być istotą realną, gdyż Suchodolec, długo po wyjeździe Sułkowskiego, był łącznikiem ich korespondencji.

Krótkie rozpoczliwe walki 1792 r. zakończone przystąpieniem króla do Targowicy, przyniosły Sułkowskiemu stopień kapitana oraz zaszczytne odznaczenie krzyżem Virtuti Militari za bohaterską obronę mostu na Zelwie.

Dla tego bezkompromisowego żołnierza nie było już miejsca w Warszawie. Uzyskawszy urlop zdrowot-

ny, wyjechał z zalanej rosyjskimi wojskami Polski i wiosną 1793 r. znalazł się w samym ogniu rewolucyjnego Paryża. Jego jakobińskie przekonania doznały gwałtownego wstrząsu, na widok krwawych okrucieństw popełnianych w imię wolności. Nadzieja dostania się do armii okazała się zawodna i nasz kapitan byłby pewnie zatonał w tym wirze rozkrzyczonej nienawiści, gdyby nie pomoc młodego uczonego, którego poznał przed samym wyjazdem ich obu z Warszawy. Piotr Maliszewski, który już przed kilku laty przyjął obywatelstwo francuskie, wprowadził Józefa do domu swego teścia, Michała Venture'y wybitnego znawcy spraw wschodnich oraz długoletniego agenta dyploma-

tycznego. Podczas jego misji w Egipcie, urodziła się starsza z jego dwóch córek i ta była żoną Maliszewskiego. Druga z nich — równie bezimienna, jak urodzona w cieniu Piramid „Egipcjanka“ — wchodzi w sferę naszych zainteresowań, jako przypuszczalna miłość a może nawet żona Sułkowskiego. Na poparcie tej teorii wysuwa historyk Jan Choquet fakt uzyskania przez Sułkowskiego obywatelstwa francuskiego a w konsekwencji stanowiska emisariusza i później przydział do armii.

Po licznych i bardzo burzliwych przygodach w Turcji oraz zakonspirowanym wypadzie do Polski, wrócił Sułkowski 1796 r. do Paryża. Tu czekał już na niego rozkaz stawienia się w kwaterze Bonapartego, którego armia walczyła wówczas w północnych Włoszech.

Spotkanie z przyszłym cesarzem w Ferrarze, jest początkiem nowego i już ostatniego rozdziału w życiu młodego kapitana. Zostawszy przybocznym adjutantem Bonapartego, zaczął Sułkowski — poprzez San Giorgio, Valettę i Aleksandrię — wyrąbywać sobie stopnie do szczytów przyszłej sławy.

Krótki okres ciszy po pokoju w Campo Formio 1797 r. wypełniał Sułkowski wykańczaniem jednej ze swych najbardziej wybitnych rozpraw wojskowych p.t. „Filozofia Wojny.“

Entuzjazm, z jakim przyjął wiadomość o wyprawie na Egipt, przyciemniało przecucie czekającej go tam śmierci. Toteż odwaga z jaką rzucił się na najbardziej zagrożone pozycje, była rozpaczliwą odwagą człowieka, który nic już nie ma do stracenia.

Zwycięski pochód armii Bonapartego zatrzymała pod Piramidami wieść o rozgromieniu floty francuskiej przez Nelsona pod Aboukir. Całe wojsko ogarnęło przyglębienie. Na domiar niepowodzeń, okoliczna ludność zaczęła coraz częściej burzyć się przeciw obcym najezdźcom.

21 października 1798 r. wybuchł gwałtowny bunt na przedmieściu Kairu. Bonaparte, nie chcąc pogarszać sytuacji, kazał trzymać armaty w pogotowiu a na razie wysłał swego adiutanta na rekonesans, dodając mu tylko zaledwie 15 żołnierzy eskorty. Sułkowski przyjął ten roz-

kaz jak wyrok śmierci. Ciężko ranny w bitwie pod Selheyah, był jeszcze pokryty niezagojonymi cięciami i ledwo trzymał się na nogach. Wysyłanie z tak niebezpieczną misją człowieka w ostatecznym stanie osłabienia było — zdaniem niektórych historyków, — po prostu brutalnym zlikwidowaniem tego bezkompromisowego republikanina, z nim on, Bonaparte, były jakobin i przewodca wojsk rewolucyjnych, sięgnie po koronę cesarską. Czy tak

było istotnie?... Oto jeszcze jedna z tajemnic otaczających życie Józefa Sułkowskiego.

Ciało jego poszarpane na strzepy przez rozwścieczony tłum, zostało tylko krwawą plamą na egipskich piaskach. Ale pamięć tego „oficera najlepszych nadziei“, zostanie na wieczne czasy zapisana złotymi literami w księdze polskich bohaterów, którzy złożyli swe życie na ołtarzu obcej sprawy.

Hilda Jankowska

STEAN WÓYCICKI

POKÓJ LUDZIOM DOBREJ WOLI (A TAKŻE PANI KOWNACKIEJ)

Opowiadanie świąteczne

— Ty zawsze masz jakieś dziwne pomysły! — zirytował się Zygmunt — Od lat obchodzimy wilię w rodzinie, a tobie akurat musiało przyjść do głowy sprowadzić nam na głowę jakąś babę, której nikt z nas nawet nie zna! Co też ci do głowy strzeliło?

— Ależ Zym — tłumaczyła mu cierpliwie Anna — Przecież ci już wspominałam poprzednio, że Zuza, wyjeżdżając do Kanady, prosiła mnie, żeby się nią zająć.

— Wspominałaś już o tym? Kiedy? Niczego sobie nie przypominam!

— Mój drogi — Anna przeszła do ofensywy — Skoro zawsze masz nos wetknięty w gazetę, kiedy do ciebie mówię, nie dziwnego, że potem o niczym nie wiesz.

— To nie ma jedno nic do drugiego. Pytałem się, dlaczego zaprosiłaś tę przyjaciółkę Zuzy właśnie na wilię? Jeżeli chcesz się poświęcić, nie zmuszaj do poświęceń innych.

Z kolei Anna oburzyła się:

— A może właśnie wilia jest najbardziej odpowiednim czasem do spełniania dobrych uczynków? Korona ci z głowy nie spadnie, jeżeli ta nieznaną siadzie razem z nami do stołu. A poza tym to nie jest żadna przyjaciółka Zuzy. Zuza po prostu zapraszała ją od czasu do czasu, wiedząc, że tamta jest zupełnie samotna i, naturalnie, uważała, że po jej wyjeździe my się możemy trochę nią zająć.

— Popsujesz wilię dzieciom — bronił się zbity z tropu Zygmunt.

— Jeżeli dzieci mogą co roku wytrzymać wuja Ludwika i ciotkę Karolinę, wytrzymają i panią Kownacką.

— Jak sobie chcesz — wzruszył ramionami — Skoro już zaprosiłaś tę Kownacką, będziemy się z nią męczyć.

Uśmiechnęła się do niego, jak do dużego dziecka.

— Okropnie się będziemy męczyć — powiedziała, przedrzeźniając jego ton — Ach, ty nieszczęśliwy człowieku! Nie bój się, nie posadzimy ciebie przy pani Kownackiej. Niech się wuj Ludwik męczy.

Pocałował żonę i poszedł do biura.

* * *

Pani Kownacka zjawiała się na wilię punktualnie. Była wysoka, szczupła, ubrana na czarno. Zygmunt ocenił ją na pięćdziesiąt kilka lat. „Kiedyś musiała być ładna“ — pomyślał — „Ale nie dba o siebie. I okropnie surowo wygląda. No, ta na pewno nie ożywi naszego zebrania“.

Na szczęście był przecież wuj Ludwik, który pokaszując od nadmiernego palenia, natychmiast zaczął bawić zebranych szczegółami swego chronicznego bronchitu. Właśnie zatrzymał się dla nabrania oddechu, kiedy pani Kownacka po raz pierwszy odezwała się z własnej inicjatywy. Karcąco patrząc na wuja Ludwika, powiedziała:

— Ludzie za dużo zajmują się własnymi dolegliwościami. Gdyby mniej o nich myśleli, byłiby znacznie zdrowsi.

B.D.I.C.

Wuj skamieniał z oburzenia. Ciotka pośpieszyła mu z pomocą:

— Trudno, żeby Ludwik nie zajmował się swoim bronchitem. Pani nie słyszy, jak on co rano kaszle. Po prostu rzeź! Jego to jeszcze zabije!

— Pan zwyczajnie za dużo pali — odparowała pani Kownacka — Gdyby pan przestał palić, od razu by się pańskie zdrowie poprawiło. I pańska kieszeń — dodała po znaczącej pauzie.

Wuj odzyskał utraconą mowę.

— Proszę pani, ja palę już bezmała pięćdziesiąt lat. Czy pani sobie wyobraża, że to tak łatwo przestać?

— No, to będzie pan kasłał dalej. Decyzja zależy wyłącznie od pana samego — zamknęła sprawę Kownacka.

Niespodziewany atak przygasił dobrego humor wuja Ludwika, który od tej chwili całą swoją uwagę skoncentrował na talerzu. Aby ratować sytuację, pani domu zwróciła uwagę na drobne niedociągnięcia w przygotowaniu wieczerzy wigilijnej, motywując to reperacją kuchni gazowej, niewłaściwie wykonaną przez pracowników gazowni.

— Przy dzisiejszym robotniku i cenach posiadanie domu jest właściwie nonsensem — podtrzymał ją Zygmunt — Kiedy chciałem przebudować garaż ot, niewielka przeróbka, ale konieczna, bo mój nowy Jaguar ledwo-ledwo przeciska się przez drzwi — to wiecie, ile taki lokalny przedsiębiorca za to zażądał? No, kto zgadnie?

Ale zanim ktokolwiek z obecnych zdążył pomyśleć o odpowiednio przerażającej cyfrze, znowu odezwała się pani Kownacka.

— Ludzie, mający domy, powinni zdawać sobie sprawę z tego, jak są szczęśliwi. Są przecież setki tysięcy takich, ba — miliony! — co nie mają w ogóle dachu nad głową.

Anna na wszelki wypadek przydeptała stopę męża pod stołem. Spojrzał na nią i opanował się.

— No, oczywiście, z tego punktu widzenia wszyscy są szczęśliwsi — od kogoś na tym świecie — powiedział — Ale trudno nam żyć porównaniami z milionami Hindusów, Chińczyków, czy murzynów w Afryce. Tu w Anglii sytuacja posiadacza nieruchomości staje się nie do zniesienia. Podatki, koszt reperatury, utrzymanie domu w przyzwoitym stanie spychają go do dziś rzędu obywatela drugiej kategorii. Czasem mam wrażenie, że rząd najchętniej widziałby całą ludność skoszarowaną w domach samorządowych, czy państwowych.

Głos pani Kownackiej nie nie stracił na surowości. Patrząc Zygmunтови prosto w oczy, odpowiadała:

LWÓW
1782
WIEDEŃ

J. A. BACZEWSKI

WÓDKI I LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI
ST. BERNHARD
Likier ziołowy



KRUPNIK
STARKA

WIŚNIAK
WIŚNIÓWKA

J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W.7.
Tel. FRE 5808
(Koło stacji kolejki podz. Gloucester Road)

— Nie mówię o murzynach, czy Chińczykach. Tu, w tym kraju, są miliony ludzi, którzy mają cotygodniowe trudności z zapłaceniem komornego. Tacy ludzie na pewno bardziej zasługują na współczucie, niż posiadacze domów.

Zygmunt spojrzał bezradnie na żonę. Wyczytała w jego wzroku niemy, ale wymowny wyrzut. Zerwała się od stołu:

— Czas na następne danie. Mogę panią poprosić o jej talerz?

— Jeszcze nie skończyłam — chłodno zauważyła pani Kownacka, dobierając z półmiska.

Wilia ciągnęła się w raczej przygnębiającym nastroju. Nawet dzieci, trochę spłoszone obecnością obcej osoby, zachowywały się ciszej i spokojniej, niż zazwyczaj. Dorośli przestali rozmawiać, bo nieugięta surowość pani Kownackiej uciniała, jak nożem, każdy obiecująco rozpoczęty temat. Nawet interesująca opowieść ciotki Karoliny o niewłaściwie wydanej jej reszcie w sklepie urwała się nagle po oschłym komentarzu:

— Trudno oczekiwać uczciwości, gdy jedni mają za dużo, a innym brakuje na rzeczy niezbędne.

Zakrawało na to, że pani Kownacka po prostu zawzięła się, aby popsuć humoru biesiadnikom. Chwile milczenia wydłużały się beznadziejnie. Już przy orzechach Anna nagle przypomniała sobie:

— Zapomniałam ci powiedzieć, Zym, że dzisiaj dzwonili Orzechowscy. Zapraszają nas na Sylwestra do siebie. — Co ty mówisz? No, to świetnie. U nich zawsze każda zabawa się udaje. Znakomici gospodarze. Bardzo się cieszę.

Anna spuściła oczy na talerz.

— Tak, tylko...

— Co takiego? Nie chcesz iść?

— Chcę, tylko dzieci.

— Dzieci? Coś się wymyśli. A mo-

żeby ciocia? — pytając spojrzał na ciotkę Karolinę.

Oburzyła się.

— Ja z moją nerwicą serca? Co ci do głowy przyszło! Ledwo sobie daję radę z samą sobą, a ty chcesz, żebym pilnowała dwóch dzieciaków. Wykluczone, mój drogi!

— No, to możesz zatelefonować do znajomych. Ktoś się chyba znajdzie.

— Skąd? Na Sylwestra? Mowy nie ma.

Wzruszył ramionami. Stanowczo nie miał ochoty dzisiaj na dalsze dyskusje. Kownacka go wykończyła.

— No, to nie pójdziemy.

Podniósł się od stołu i zaczął zapalać świeczki na choince. Dzieci, podniecone oczekiwaniem ciągnęły go za marynarkę:

— A prezenty, tata?

— Poczekajcie, zaraz będą i prezenty — zapewnił je bez zwykłego zapału. Miał już całej uroczystości dosyć. Najchętniej poszedłby spać i zapomniał o nieudanej wili. Ale przemógł się i zaczął wyjmować paczki z pod choinki, czytając wypisane na nich imiona adresatów. Podniósł się radosny pisk dzieciarni. Dorośli rozwijali swoje paczkę powoli, udając wielkie zaskoczenie ich zawartością, ale ich zapewnienia o wielkiej radości z powodu otrzymania pantofli, szlafroka, krawata i tym podobnych okolicznościowych darów nie brzmiały przekonująco. Cała zabawa była popsuta. „Wszystko przez tę Kownacką“ — pomyślał z zalem Zygmunt i wyciągnął rękę po ostatni pakiet.

— Pani Kownacka — przeczytał i podał paczkę adresatce.

Pani Kownacka zaczerwieniła się:

— Dla mnie — zapytała — Ale dla czego? Przecież ja nie należę do rodziny, ani bliskich?

Wetknął paczkę w jej rękę.

— Taki zwyczaj — powiedział krótko i usiadł. Miał tego wszystkiego dosyć.

— Niechże pani rozpakuje — zachęciła Kownacką Anna — Wszyscy chcieliby zobaczyć, co też pani Święty Mikołaj przyniósł.

Jakby na potwierdzenie tych słów dwie małe głowy wyrosły na wysokości ramion pani Kownackiej, a czworo ciekawych oczu wpatrzyło się w paczkę. Pani Kownacka zaczęła zdejmować kolorowy papier. Szło jej to jakoś dziwnie niezgrabnie, ale w końcu ostatnia bibułka spadła na ziemię i na stole stanął flakon wody kolońskiej i wielkie pachnące mydło w ozdobnym pudełku.

Pani Kownacka przez chwilę patrzyła na skromny upominek, a potem nagle zwróciła się do Anny:

— Dziękuję państwu serdecznie. Bardzo serdecznie — i za wilię, i za śliczny prezent.

Ależ to drobiazg, nie ma o czym mówić — broniła się zakłopotana gwałtownością podziękowania Anna — To przecież naturalne.

— Nie, proszę pani — ton pani Kownackiej nabrał dawnej surowości — Jest o czym mówić. A poza tym mam do pani wielką prośbę.

— Jaka, proszę pani — zdziwiła się Anna.

Pani Kownacka złożyła błagalnie ręce:

— Niech mi pani pozwoli przyjść na Sylwestra, żeby posiedzieć z dziećmi w czasie państwa nieobecności. Zrobi mi tym pani ogromną przyjemność. Naprawdę!

— Ależ, proszę pani, mowy być nie może, żebyśmy panią tak mieli wykorzystywać! — sprzeciwiła się Anna — Przecież to by nie miało żadnego sensu!

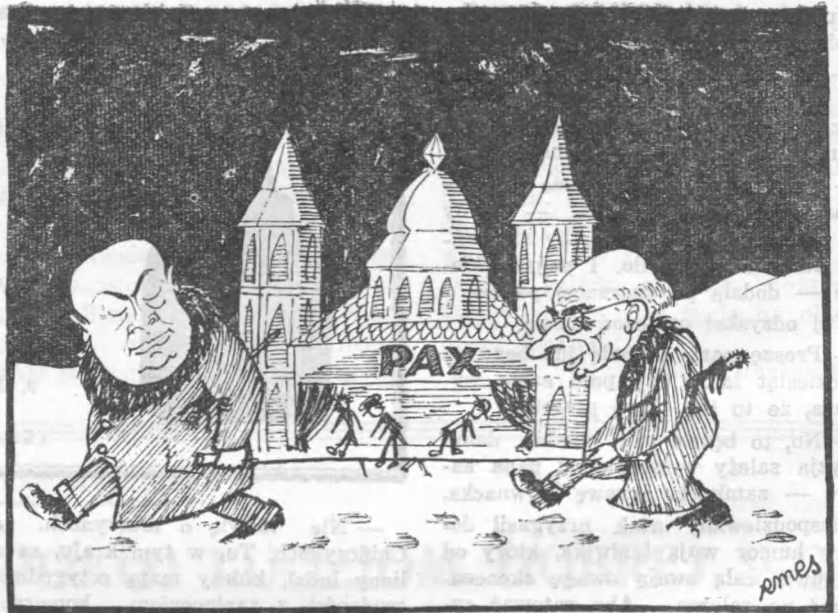
— Zawracanie głowy! — powiedziała dobitnie pani Kownacka — Co za wykorzystywanie! — i pochylając się ku Annie, jak gdyby jej chciała zdradzić wielką tajemnicę, powiedziała ciszej — Ja bardzo lubię dzieci.

Nie słuchając dalszych protestów Anny, przyłączyła się do pochylonych nad prezentami dzieciaków, które z triumfem zaczęły jej pokazywać swoje nowe nabytki.

Później, po koledach, trudno było oderwać najmłodsze pokolenie od nowej znajomej. Dzieci uspokoiły się dopiero wtedy, kiedy Anna powiedziała, że pani Kownacka przyjdzie specjalnie do nich na Sylwestra. Rozbrojone tym przyrzeczeniem, dały się wreszcie zapędzić na spoczynek.

Po odejściu gości, patrząc na smętne pobojowisko talerzy na stole, Zygmunt powiedział w zamyśleniu:

— Wiesz, przez dłuższy czas myśla-



Dlaczego naszej szopki nikt nie lubi?

Prawne bezprawie Gomulkiizmu

(Dokończenie ze str. 8)

pogłębiać swoje badania i wskazywać zorganizowanej emigracji słabe punkty polskiej kompartii. Punkty, w które należy uderzać koncentrycznie.

Sądzę, że dzisiaj takim słabym punktem polskiej kompartii jest krzyczące „prawne“ bezprawie, jakim jest wciąż obowiązujący Dekret z dnia 13 czerwca 1946 roku o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa, znany pod nazwą Małego Kodeksu Karnego. Nie będę analizował tego bezprawia gomulkiizmu. Uczynił to już zresztą Witold Jedlicki w wrześniowym numerze paryskiej „Kultury“. Pragnę tylko podkreślić, że na podstawie tego dekretu kompartia może aresztować i wytoczyć proces

każdemu niewinnemu obywatelowi w Polsce i każdemu przybywającemu do Polski emigrantowi. Na podstawie tego „kodeksu“ bezpieczeństwa może dopuszczać się w stosunku do przybywających emigrantów wszelkiego rodzaju szantażu. Żadne obce obywatelstwo nie stanowi najmniejszej ochrony. Od każdego emigranta agent bezpieczeństwa może zażądać wszelkiego rodzaju wiadomości i zagrozić art. 8 „kodeksu“, który mówi, że „kto wprowadza w błąd władzę polską poprzez udzielanie jej fałszywych wiadomości... podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 5 lub dożywotnio albo karze śmierci“.

Zbliża się Tysiąclecie Chrztu Polski. Na obchody w Częstochowie wyruszą tysiące polskich emigrantów. Dla bezpieczeństwa może to być prawdziwe żniwo. I dlatego już dzisiaj powinniśmy wystąpić z żądaniem natychmiastowego zniesienia Małego Kodeksu Karnego, tego skandalicznego bezprawia gomulkiizmu.

Stanisław Paczyński

P. S. Oczywiście, wiadomości, o który mówi art. 8 Małego Kodeksu Karnego, mają mieć „znaczenie dla bezpieczeństwa Państwa Polskiego“. Ale o tym, co ma takie znaczenie — decyduje bezpieczeństwo i posłuszny sąd na podstawie swobodnego uznania.

łem, że zamorduję tę Kownacką. A teraz jestem wściekle zadowolony, że przyszła. Jakoś tak odtajała przy dzieciach. Miałaś rację, że ją zaprosiłaś. To straszna rzecz, taka samotność.

— Naturalnie, że miałam rację — stwierdziła stanowczo Anna — Wiesz przecież, że ja mam w rezultacie zawsze rację. A teraz bierz ścierkę i zabieraj się do wycierania talerzy. Nie zostawimy chyba tego całego śmietnika na jutro.

Westchnął i poszedł do kuchni po ścierkę.

Stefan Wóycicki

Francuski satelita -- ambicje realizowane

26 listopada o godz. 15.47 na saharijskiej bazie raketowej w Hammaguir padł rozkaz „feu!“ i zapalono trzystopniową raketę „Diament“. W 482 sekundy później sztuczny satelita A-1 został umieszczony na orbicie okołozemskiej i zatknął w przestrzeni międzyplanetarnej trójkolorową flagę francuską, obok panującej już tam gwiazdzistej amerykańskiej i czerwonej sowieckiej. Od tej chwili ten satelita o wadze 42 kg. obiega ziemię w 1 godz. 48 min. i jego melodyjny, choć dość słaby sygnał „bip... bip...“ powinien być słyszalny przez dwa tygodnie, bo na tak długo jest przewidziane życie jego chemicznych baterii.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że to nie jest wydarzenie zbyt dużej wagi, bo przed Francją W. Brytania, Kanada i Włochy umieściły już kilka satelitów w orbicie. Tak, ale przy użyciu rakiet amerykańskich. Tymczasem rakietą „Diament“ jest całkowicie wyprodukowana we Francji, przez inżynierów, techników i przemysł francuski — i to jest wielkim wyczynem. Po raz pierwszy inne państwo niż Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki skonstruowało raketę, którą jest w stanie umieścić satelitę na orbicie. Korespondent Radia Francuskiego doniósł z Londynu, że jego brytyjczyści koledzy składali mu gratulacje z pewną „nostalgia“, bo W. Brytania kilka lat temu zarzuciła doświadczenia nad własną raketą „Bluestreak“ i teraz przekonała się, że to co wydawało się przekraczać jej możliwości, nie jest niemożliwe dla Francji.

Satelita A-1 nie jest wyposażony w żadne instrumenty naukowe do badania przestrzeni kosmicznych, ma jedynie trzy systemy, radia i radaru, które umożliwiają stacjom kontrolnym na ziemi śledzenie jej ruchu. Bo w tym doświadczeniu nie chodzi o badania naukowe, lecz o wypróbowanie rakiety „Diament“ — czy jest ona w stanie umieścić satelitę na orbicie. Próba udała się za pierwszym razem — co również jest nie lada osiągnięciem — i pozostałe trzy rakietki tego typu będą użyte w innym celu, dla wystrzelenia innych satelitów, bo dwa zapasowe satelity A-1 (identyczne do wystrzelonego) pójdą do muzeum. Były one przewidziane — jak i rakietki „Diament“ — na powtórzenie eksperymentu, gdyby pierwsza lub i druga próba się nie udała.

W styczniu ta rakietka „Diament“ umieści na orbicie satelitę D-1, który

będzie wyposażony w różnego rodzaju instrumenty pomiarowe (dalsze dwa tego samego typu będą wystrzelone w czerwcu i w grudniu 1966). Głównym zadaniem D-1 będzie wypróbowanie dwóch sieci kontrolnych na ziemi — „Diana“ i „Irys“, które już działają obecnie, ale tylko śledząc A-1, natomiast nie wydają mu żadnych „poleceń“ z ziemi i nie odbierają informacji naukowych, bo nie ma on na to urządzeń.

Obok tego istnieje program FR i pierwszy satelita tego typu (FR-1), wyposażony już w bardzo skomplikowane i oryginalne instrumenty naukowe, ma być wystrzelony teraz w grudniu z amerykańskiej bazy Vandenberg, przy pomocy amerykańskiej rakiety czterostopniowej „Scout“. Będzie to doświadczenie podobne do brytyjskiego, kanadyjskiego i włoskiego. FR-1 ma badać charakterystykę długich fal radiowych.

Jak widać program przestrzenny francuski nie jest ubogi i specjaliści tutejsi mają daleko idące ambicje. Przewidują, że za 5—6 lat Francja będzie w stanie zupełnie własnymi siłami skonstruować raketę, zdolną do umieszczenia na orbicie satelity wagi dwie, dwie i pół tony — oczywiście z kosmonautą.

* * *

Ale wróćmy do rakiety „Diament“ — bo ona stanowi istotę doświadczenia francuskiego. Poszczególne jej człony są już od dawna w doświadczeniach, które przeprowadza Ministerstwo Sił Zbrojnych — i tu dotykamy delikatnego punktu, który wyjaśnia dlaczego w Hammaguir nie było prasy. Rakietka ta jest finansowana przez budżet obronny i jej głównym przeznaczeniem jest transport głowicy najpierw atomowej, a później, gdy Francja będzie ją produkować, wodorowej. Czyli rakietka ta stanowi prototyp wektora dla broni nuklearnej zbliżonego do IRBM — o średnim zasięgu (międzykontynentalnego Francji nie potrzeba, zasięg po Ural wystarczy).

Francuska siła atomowa, popularnie nazywana „force de frappe“, zaczyna nabierać realnych kształtów. W przyszłym roku będzie skompletowane jej „pierwsze pokolenie“ — bomby atomowe transportowane przez samoloty Mirage-IV o szybkości „Mach-2“ (dwa razy wyższej od szybkości dźwięku). Tu w ostatnich dniach Francja również odniosła pewien sukces, bo samolot Mirage-III, wyposażony w nowy silnik odrzutowy produkcji franc. SNECMA

przekroczył szybkość Mach-2. Prasa twierdzi, że jest to pierwszy w Europie wypadek, bo taką szybkość osiągały tylko reaktory amerykańskie.

„Drugie pokolenie“ francuskiej siły atomowej będą stanowiły właśnie rakietki których prototypem jest „Diament“, umieszczone — jak amerykańskie — w specjalnych wkopanych w ziemię „silosach“. Już się te instalacje przygotowuje na południu Francji. Wreszcie „trzecie pokolenie“ to głównie łodzie podwodne typu podobnego do Polaris z wyrzutniami rakiet o głowicach wodorowych. Do tego samego pokolenia wejdą rakietki ziemne, gdy otrzymają podobne głowice.

Wielu polityków, tak zagranicznych jak i francuskich, pokpiwa sobie dziś z tej „force de frappe“, tymczasem za 4—5 lat, jeżeli realizacja jej nie ulegnie opóźnieniu, będzie to niebezpieczna i ze śmiertelnie kąśliwym żądaniem osadła ewentualnego przeciwnika Francji.

* * *

A teraz kilka szczegółów dla amatorów techniki. Rakietka „Diament“ jest trzystopniową. Pierwszy jej człon nazywa się „Smaragd“, o wysokości 10 metrów i o wadze 12 ton. Jego materiał pędny jest płynny (esencja terpentynowa i kwas azotowy) i czas spalania się go wynosi 93 sek. Ten człon wywindował całość na wysokość 43 km, nadał szybkość 1.660 mtr/sek. i oddzielił się. W tej chwili zapalił się drugi człon „Topaz“ i doprowadził szybkość do 3.710 mtr/sek. na wysokości 128 km. w czasie 44 sek. Teraz rakietka posuwała się lotem balistycznym — jak wystrzelony przez dział pocisk. Drugi człon już ją przestał napędzać, a trzeciego jeszcze nie zapalono. Ten lot balistyczny trwał trzy minuty i to była najdelikatniejsza faza operacji, bo satelitę trzeba było ustawić dokładnie na osi lotu i równoległe do powierzchni ziemi. Gdy to osiągnięto zapalono z ziemi drogą radiową trzeci człon, który nadał satelicie „pierwszą prędkość kosmiczną“, albo „prędkość obiegania“, wynoszącą 8 km/sek. Przy tej prędkości satelita zostaje umieszczony na orbicie i pozostaje na niej. (Gdy doprowadzi się satelitę do „drugiej prędkości kosmicznej“, wynoszącej 11,2 km/sek, to oderwie się on od orbity i polecą w przestrzeń). Trzeci człon działał przez 2 minuty, po czym odłączył się i A-1 pozostał na orbicie sam. Charakterystyka jego orbity jest następująca: minimalne odde-

FRANCUSKI SATELITA

nie od ziemi — perygeum — wynosi 510 km. zamiast 528 przewidzianych, a maksymalne oddalenie — apogeum — 1.768 zamiast 2.250 km. Orbita jest więc mniej eliptyczna niż miała być, co jest skutkiem słabszego działania trzeciego członu niż oceniono. Jest to jednak różnica tak mała, zwłaszcza na pierwszą

próbę, że fachowcy nie przywiązują do niej żadnego znaczenia. Czas obiegu ziemi wynosi 108 minut.

Człon drugi i trzeci posiada materiał pędny stały — blok prochu.

Sieć kontrolna (Diana i Irys) jest oparta o stacje pod Libanem, w Pretorii w Afryce Południowej, w Górnej Wolcie i w Brazzaville. W Hammaguir na Saharze i w Bretigny pod Paryżem

znajdują się ośrodki centralizujące otrzymane sygnały.

Filatelisci już chyba wiedzą, że poczta francuska wypuściła z powodu tej okazji dwa znaczki pamiątkowe: 30 centymów z rakieta „Diament“ i 60 centymów z satelitą A-1.

* * *

Jeden z czołowych dzienników amerykańskich wyraził się, że to osiągnięcie francuskie jest mało ważne w planie badania przestrzeni kosmicznej, Możliwe. Francja nie ma ambicji by dorównać dwom kolosom kosmicznym, bo nie posiada na to środków. Tak jak zakłady samochodowe Citroena nie mają zamiaru dorównać gigantowi jakim jest General Motors. Niemniej samochody Citroen nie są takie złe.

Marian Czarnecki

ŻYCZENIA WESOŁYCH ŚWIĄT I SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO ROKU

składa

WSZYSTKIM KLIENTOM I ZNAJOMYM
POLSKI OPTYK

D. S. GUNSTON, F.A.D.O.

TROY COURT, 218, KENSINGTON HIGH STREET,
LONDON, W. 8. Tel. WES 5281

SZYBKIE

● PRZEKAZY
● PIENIĘŻNE
● DO POLSKI

TAZAB

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W. 7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre,
Paris 17-e.

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze,

Listopadowy numer „Orla“ nie przyniósł tego czego się można było spodziewać.

Nie ma w nim mianowicie żadnej wzmianki o Listopadzie 1918 roku, lub o Powstaniu Listopadowym.

Nie wiem czy fotografie dziewczyn mniej lub więcej ubranych były ważniejsze dla redakcji, niż wypadki historyczne.

Z wyrazami pozdrowień

A. Starnawski

Prezes Koła SPK Nr 10.
„Ulan Lubelski“ — Londyn

Drogi Redaktorze,

Nawet jako chałupnik dziennikarski, i nawet w „Orle Białym“ (Nr 16/1165) w rubryce „Z Notatnika Szydery“ (?) nie godzę się z „Jarzembiakiem“. Szlachetny ten napój zwię się „Jarzębiak“. Mimo, iż redaktorem „Orla“ jest Paweł Zaremba.

Łączę uścisk dłoni

Kuźma Wołk
Thurso, Szkocja

Szanowny Panię Redaktorze,

Imieniem i na prośbę Koła donoszę uprzejmie, że nr 13/1160 „Orla“ zawierał bardzo dla nas cenny artykuł Wacława Wybrańca, pt. „Polskie Siły Powietrzne w Drugiej Wojnie Światowej“. Z zadowoleniem stwierdziliśmy, że posiadamy obecnie zestawienie dat dotyczących udziału polskiego lotnictwa w drugiej wojnie światowej. Żywnym nadzieję, że artykuł ten ukaże się również po angielsku i że będziemy w stanie użyć go dla informacji tutaj. Amerykanów, weteranów itd.

W Stanach Zjednoczonych „Dzień Polskiego Lotnika“ był obchodzony w filmie telewizyjnym, w sposób znamienity dla tutejszego środowiska:

Na channel 7, 8, 9 i 40, Serial pt. „12 O'clock High“ przedstawiono film, w którym polski oficer lotnik (łącznikowy) i dwóch polskich podoficerów lotników (w mundurach lotniczych polskich), przydzieleni do eskadry amerykańskiej zaopatrującej walkę podziemną w Polsce w materiały i szpiegów, okazują się jako banda niemieckich sabotażystów...

Łączę wyrazy poważania

Dr Mieczysław Budek

Prezes Koła Nr 19 Stow. Polskich
Weteranów w St. Zjedn.

Orzeł Biały, grudzień 1965

KS. BISKUP RUBIN W PIELGRZYMCE DO CARFIN



Najserdeczniejsze
 życzenia
WESOŁYCH ŚWIĄT
 i
 Szczęśliwego
NOWEGO ROKU
 składa
 wszystkim Rodakom
JAN BAK
 Polska Agencja
 Kupna i Sprzedaży
 Nieruchomości
 234, BLYTHE ROAD,
 LONDON, W. 14.
 Tel.: SHE 9866

SERDECZNE
 ŻYCZENIA
WESOŁYCH ŚWIĄT
 i Szczęśliwego
NOWEGO ROKU
 s k ł a d a
 wszystkim Klientom
 DYREKCJA
 POLSKIEJ PRALNI
FLEET LAUNDRY
 (HAMPSTEAD) LTD.
 144, Fleet Road,
 London, N.W. 3.
 Tel.: GUL 1770

WPLACILI DO NASZEGO
 PRZEDSTAWICIELSTWA
 W PARYŻU W MIESIĄCU
 PAŹDZIERNIKU I LISTOPADZIE
 NA LEKARSTWA DO KRAJU:
 6954 L. S. Ln. Det. (Ppłk. A. Poto-
 czek) Fr. 67,00, 4088 L. S. C. (por. St.
 Kozłowski) Fr. 40,00, 4013 L. S. Co.
 (kpt. J. Jaworski) Fr. 73,50, 4096 L.
 S. Co (kpt. M. Normark) Fr. 45,00,
 4507 L. S. Co. (mjr. T. Kroja-Kopeć)
 Fr. 100,00, 4013 L. S. Co. (kpt. J. Ja-
 worski) r. 41,20, 4507 L. S. Co. (mjr.
 T. Kroja-Kopeć) Fr. 100,00.
 Serdecznie dziękujemy!

W czasie swego pobytu w Szkocji, dokąd przybył na zaproszenie Komite- tu Millennium, ks. Biskup Władysław Rubin wziął udział w pielgrzymce do Carfin, znanego miejsca kultu Matki Boskiej. W pielgrzymce uczestniczyło około 3000 osób.

Doroczne pielgrzymki do Carfin za- inicjował przed 25 laty ks. Arcybiskup Gawlina. W tegorocznej uroczystości w asyście ks. Biskupa Rubina znajdo- wali się ks. prałat W. Lorenz, ks. prob. J. Gruszka, ks. prob. W. Drobina, ks. Lewandowski i ks. L. Bombas, które- mu naczelny duszpasterz emigracji wręczył insygnia tytułu Infulata za zasługi na polu pracy religijnej.

Ks. Biskup dokonał poświęcenia ta- blicy pamiątkowej, ufundowanej przez

Komitet Millennium wygłaszając pod- nosiło kazanie. W czasie Mszy św. ce- lebrowanej przez ks. Biskupa przystą- piło do Komunii św. ok. 500 osób. Na zakończenie pielgrzymki przew. Ko- mitetu Wykonawczego Millennium M. Brodziński wygłosił przemówienie na temat prac i zamierzeń związanych z obchodem Tysiąclecia Polski Chrześci- jańskiej.

Ks. Biskup Rubin w czasie wizytacji ośrodków polskich w Szkocji odwie- dził nast. domy kombatan-ta: Falkirk, Perth, Dundee, i Kirkcaldy. Towarzy- szyli mu: prezes SPK w W. Brytanii S. Soboniewski, członkowie Komitetu Obchodu Tysiąclecia Chrzstu Polski: M. Brodziński, dr S. Mglej, L. Wojt- czak i S. A. Żmijewski.

MEDAL R. TRAUGUTTA DLA SPK

Towarzystwo Przyjaciół Fawley Court uchwałą z 6 listopada br. przyznało Stowarzyszeniu Polskich Kombatan- tów w uznaniu za pomoc materialną i Marianów medal Romualda Traugutta. Przyjmując w imieniu SPK to zaszczytne wyróżnienie, prezes Karol Ziemiński powiedział:

Pragnę podziękować uprzejmie To- warzystwu Przyjaciół Fawley Court i Czciogodnym OO. Marianom za tę miłą formę pokwitowania skromnej pomocy Stowarzyszenia Polskich Kombatan-tów na rzecz zakładu nauczania młodzieży, który od szeregu lat prowadzi z tak

dużym powodzeniem i... z tak duży- mi trudnościami.

Społeczność polska może nie zawsze dostrzega i docenia istnienie tej pięk- nej oazy polskości jaką jest ośrodek szkolny OO. Marianów. Żyjemy wśród obcych. W tej sytuacji — chciałoby się powiedzieć — gdy Pan Bóg wyso- ko, a Polska daleko, szkoła Czcigod- nych Ojców przybliży naszej młodzie- ży i Boga i Ojczyznę. Niech mi więc wolno będzie w gorących słowach podziękować OO. Marianom z tego miej- sca za ich piękne dzieło na polu oświa- ty młodzieży naszej na obczyźnie.

Świadomość ich zasług jest wielka,

bardzo wielka w naszym Stowarzyszeniu, gdyż my sami — co także uchodzi uwagi ludzi wzięcnie niezadowolonych poświęcamy dużo troski młodzieży. Niezależnie od tego, co robią inne organizacje, SPK w samej tylko W. Brytanii prowadzi około 50 szkół nauczania dziatwy polskiej, udziela poparcia sportowi, który jest tak atrakcyjną dziedziną dla młodego wieku, propaguje zespoły artystyczne, kluby młodzieżowe itd. Podobną pracę prowadzą nasze oddziały w 20 innych krajach polskiego osiedlenia. Środki na ten cel wydane uważamy za najlepszą lokatę kapitału. Wierzymy bowiem, że nieziszczone ideały naszego pokolenia będą programem i treścią polskiej młodzieży, gdy nas nie stanie.

Chciałbym zakończyć swe podziękowanie dla OO. Marianów parafrazą znanego powiedzenia poety: Jeśli komu droga otwarta do nieba, tym co troszczą się o naszą młodzież!

NOWE WŁADZE SPK W AUSTRALII

2 i 3 października odbył się w Canberra zjazd delegatów kół kombatanckich w Australii, na którym dokonano wyboru nowych władz tego ognia w osobach: J. Dąb-Dwórski — prezes, M. Petelczyc — wiceprezes, F. Hądzel — sekretarz, Z. B. Skarbak — z-ca sekretarza, J. E. Oziemkiewicz — protokolant, S. Krugiółka — skarbnik, dr A. Przybylski — z-ca skarbnika oraz Z. S. Kwasigroch.

Obok delegatów na zjazd przybyli w charakterze honorowych gości: prezes Rady Naczelnej Organizacji Polskich w Australii gen. J. Kleeberg, jej wiceprezes T. Sayusz-Bielski, przedstawiciele australijskich organizacji kombatanckich, przedstawiciele AK i Koła Lotników oraz redaktorzy pism polskich J. Dunin-Karwicki i C. Małecki.

Ustępujący prezes kol. M. C. Konecki wygłosił referat ideowo-programowy, a kol. F. Hądzel referat na tematy organizacyjno-gospodarcze.

Zjazd przyjął szereg uchwał m. in. o poparciu inicjatywy zorganizowania Zjazdu Światowego Polonii, o pomocy dla Związku Harcerstwa Polskiego oraz innych organizacji młodzieżowych, o potrzebie zjednoczenia wszystkich polskich organizacji kombatanckich w Australii, o utrzymaniu dotychczasowej pomocy dla inwalidów. Obszerne deklaracje ideowe dotyka najżywniejszych zagadnień polskich, jak sprawy granic naszych na zachodzie i na wschodzie, Kościoła w Kraju, Milennium Polski, działalności agentur komunistycznych, i innych.

Przewodniczył zjazdowi kol. F. Figwer z Koła SPK w Adelajdzie.

ŚWIĘTO NIEPODLEGŁOŚCI W LONDYNIE

Tegoroczne Święto Niepodległości organizowało Zjednoczenie Polskie w W. Brytanii. Odbyło się ono dnia 10 listopada w sali teatralnej „Ogniska Polskiego“. W pierwszych rzędach zajęli miejsce przedstawiciele życia politycznego i społecznego, a m. in. gen. W. Anders, gen. T. Bór-Komorowski, prezes dr T. Bielecki, ks. inf. W. Staniszewski, gen. dr R. Odzierżyński i prezes S. Soboniewski.

Po odśpiewaniu przez chór im. K. Szymanowskiego pod batutą H. Hosowicza „Bogurodzicy“ zabrał głos prezes Zjednoczenia Polskiego P. Hęciak, który pierwszą część swego przemówienia poświęcił temu pokoleniu, które działaniem politycznym i orężnym wywalczyło niepodległość w 1918 roku.

„Święto Niepodległości“ nie powinno być okazją do głoszenia cierpiętnictwa, ani złudnych nadziei. Pierwsze jest niepotrzebne, drugie może wiele kosztować i nic nie dać. Ale jedno wydaje się pewne: niepodległości nie otrzymuje się za darmo i nie spada ona jak manna z nieba. O niepodległość trzeba walczyć — nie tylko orężnie, nie tylko poprzez zrywy powstańcze, choć są one niejednokrotnie nieuniknioną koniecznością, a w dziejach naszych także ogniem wiążącym naród, ale również poprzez mądre działania polityczne, by w umiejętnym rozeznaniu i wykorzystywaniu sytuacji międzynarodowej szukać najłagodniejszego choćby światełka czy płomyka nadziei, którym nie wolno pozwolić, by zgasły. Dziś idea niepodległości wrosła głęboko w duszę narodu. Jest to olbrzymi kapitał, którym dysponują nasi przywódcy polityczni. Ten posiew myśli politycznej — a jak trzeba i czynu zbrojnego — jeśli padnie na dobry grunt i jeśli sypany będzie ręką odpowiedzialnego i mądrego wóldarza wyda kogoś dnia owoc. Tak, jak właśnie było w 1918 roku“.

Drugą część swego przemówienia poświęcił mówca organizacjom społecznym, które w walce o niepodległość i zachowanie ducha narodowego biorą jak brały przed I wojną światową — niezwykle ofiarny i wybitny udział.

W części artystycznej wystąpili — poza chórem — Stanisława Horwat (śpiew) i Edward Chudzyński (deklamacje). Wszystkich wykonawców nagrodzono oklaskami.

Akademia była wzorem zwięzłości, gdyż mimo iż trwała zaledwie godzinę dała licznie zebranej publiczności bogatą treść polityczną i wartościowy program artystyczny.

WALNY ZJAZD SPK W NIEMCZECH

20 i 21 listopada obradował w Hamm (Westfalia) walny zjazd delegatów kół SPK w Niemczech. Gospodarzem była największa jednostka transportowa Oddziałów Wartowniczych z mjr. H. Wesołym na czele, który wraz z prezesem miejscowego koła SPK kpt. Szamborą i kol. Dudkiem opiekowali się delegatami z prawdziwie staropolską gościnnością.

W zjeździe, któremu przewodniczył sekretarz generalny Federacji Światowej SPK, Stanisław Lis z Londynu, wzięli udział delegaci 11 kół SPK reprezentujący poszczególne ośrodki od Monachium na południu do Hamburga na północy. Było to jedno z najbardziej pracowitych zebrań tego ognia krajowego, działającego w swoich i niełatwych warunkach. Mszę św. na intencję zjazdu odprawił w miejscowej kaplicy kapelan Oddziałów Wartowniczych ks. kanonik Kazimierz Woźniak, ofiarny i niezmordowany opiekun młodzieży. Obok ołtarza zajęła miejsce delegacja Koła Hannover, z niedawno poświęconym sztandarem organizacyjnym.

W ciągu dwu dni, po krótkim sprawozdaniu ustępujących władz, Rady (przew. S. Mikiciuk), Zarządu (prezes K. Sochanik) i Komisji Rewizyjnej (przew. W. Skłodowski), przedyskutowano wszystkie ważniejsze zagadnienia tego terenu, omówiono własne sprawy organizacyjne i finansowe. Wiele uwagi poświęcono projektowi ew. kupna własnego domu, względnie przynajmniej obszerniejszego lokalu.

Najwięcej czasu poświęcono zagadnieniu opieki nad młodym pokoleniem, urodzonym i wychowanym w środowisku niemieckim, przy czym wszyscy delegaci przejawili szczerą troskę o jak najwłaściwsze rozwiązanie tego tak ważnego problemu. Powzięto szereg decyzji mających na celu poparcie dla szkół polskich i zajęcie się młodzieżą dorastającą, pomoc zespołom artystycznym i sportowym. Przy nowoobranym Zarządzie powołano referaty: oświatowy i sportowy. Należy dodać, że przed kilku miesiącami powstało Młodzieżowe Koło SPK liczące obecnie 43 członków.

Postanowiono zrewidować stronę wydatkową budżetu w kierunku dokonania oszczędności w wydatkach administracyjnych dla zwiększenia środków na działalność rzeczową.

W zakresie spraw organizacyjnych postanowiono znieść istniejącą jeszcze w tym ogniwie Radę SPK, ożywić

działalność kół, zacieśnić kontakty między kołami a Zarządem Krajowym, społeczności polskiej w Niemczech o działalności Stowarzyszenia.

Wybrano na okres 2 lat siedmioosobowy Zarząd z kol. K. Sochanikiem na czele. Pozostali członkowie Zarządu: S. Brzoza i M. Litwinek — wiceprezesi, W. Broniwoj-Orliński — sekretarz, M. Pele — skarbnik oraz W. Skłodowski i E. Haber — członkowie Zarządu.

Treść uchwalonych rezolucji:

1) IX Walny Zjazd Delegatów Kół SPK w Niemczech — podobnie jak naród w kraju i społeczeństwo polskie na emigracji — domaga się uznania

przez państwa zachodnie granicy polskiej na Odrze i Nysie.

2) IX Walny Zjazd Delegatów Kół SPK w Niemczech — stwierdza, że byli żołnierze polscy nigdy nie pogodzą się z zaborem ziem wschodnich Rzeczypospolitej z Lwowem i Wilnem.

3) IX Zjazd Delegatów Kół SPK Niemcy przestrzega wszystkich byłych żołnierzy i społeczność polską w Niemczech przed podjętą ostatnio nową akcją dywersyjną reżymu komunistycznego z Szefem Bezpieki gen. Moczarem na czele prowadzona pod firmą tzw. Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

spingowa, K. Bogacki, H. Czarnocka, E. Długoszewski, W. Furka, K. Głuchowski, P. Hęciak, K. Iranek-Osmecki, A. Jachnikowa, St. Juszcakiewicz, I. Komorowska, J. Konopacka, St. Kopeć, St. Korboński, P. Kraczkiewicz, M. Lorenz, J. Łoskoczyński, M. Mandziara, Fr. Miszcak, L. Missala, J. Nowak, W. Otocky, gen. T. Pełczyński, A. Pomian, L. Sawicki, T. Szejczewski, W. Wagner, W. Zagórski, T. Zawadzki, i gen. K. Ziemiński. Główna Komisja Rewizyjna: K. Bogacki, St. Kopeć i Z. Szagonowa — członkowie, T. Affeltowiczowa i H. Pawelec — zastępcy. Główny Sąd Koleżeński: T. Affeltowiczowa, M. Bispingowa, N. Chodkiewiczowa, J. Hartman, S. Juszcakiewicz, M. Mandziara, W. Otocky, J. Rudzińska i H. Zabielski.

Zjazd przyjął także kilkanaście wniosków ideowych i organizacyjnych.

Zjazd zamknięty został w drugim dniu w godzinach popołudniowych, po czym odbył się w miłym nastroju wspólny obiad w „Ognisku“.

UCHWAŁY

„Dziesiąty Zjazd Delegatów Koła AK, stwierdza, że podstawowym warunkiem zapanowania w Europie trwałego pokoju jest uznanie przez Niemcy zachodnie i państwa wolnego świata polskiej granicy zachodniej na Odrze i Nysie. Jedyne to uznanie może rozwiać słuszne obawy społeczeństwa polskiego przed niemieckimi dążeniami rewizjonistycznymi i zjednoczeniem Niemiec.

Dziesiąty Zjazd Delegatów Koła AK wypowiada się zdecydowanie przeciwko dopuszczeniu Niemiec Zachodnich do posiadania broni atomowych jak i udziału w decydowaniu o ich użyciu w obawie, że posłużyłoby to do wzmożenia niemieckich dążeń rewizjonistycznych.

Dziesiąty Zjazd Delegatów Koła AK potępia dotychczasową bezkarność wielu hitlerowskich zbrodniarzy wojennych i domaga się surowego ukarania bez względu na upływ czasu.“

„Dziesiąty Zjazd Delegatów Koła AK apeluje do Pana Generała Tadeusza Bór-Komorowskiego — jako b. Dowódcy AK o ustanowienie „Krzyża Armii Krajowej“. Zjazd uważa powyższą uchwałę za sprawę wyjątkowo pilną.

Spadkobiercy pokoleń, które od epoki Konfederacji Barskiej, Sejmu Czteroletniego, Konstytucji 3 Maja i

ŚWIATOWY ZJAZD KOŁA A. K.

W dniach 6 i 7 listopada odbył się w Londynie X Zjazd Delegatów Koła AK. Na Zjazd przybyli nie tylko delegaci z W. Brytanii, ale także i z innych krajów, a w szczególności: A. Baranowski z Francji, T. Zawadzki z Monachium, mec. S. Korboński i A. Pomian ze Stanów Zjednoczonych, W. Romanowski z Montreal (Kanada) i dr M. Łuk-Kozika z Melbourne (Australia).

Na wstępie Zjazd uczcił przez powstanie i chwilę milczenia pamięć zmarłych w ostatnim trzyleciu Akowców, poczym dokonał wyboru prezydium. Przewodniczącym został T. Zawadzki, nadto do prezydium weszli: A. Baranowski (Paryż), M. Bispingowa (Londyn), S. Kopeć (Manchester), a sekretarzem został K. Głuchowski (Londyn). Następnie odczytano życzenia nadesłane na Zjazd od: Sekcji b. Żołnierzy AK przy Kole SPK w Los Angeles, Drużyny Harcerskiej im. Jagi Falkowskiej z Nottingham, Związku Kół 1 Dywizji Panc., Komitetu Zagranicznego Polskiego Stronnictwa Ludowego i Batalionów Chłopskich, Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie i Stow. Lotników Polskich. Postanowiono wysłać specjalne depesze z życzeniami do gen. K. Sosnkowskiego z okazji 80-tej rocznicy jego urodzin oraz do przebywającego w szpitalu długoletniego członka Rady Naczelnej Koła AK, H. Zabielskiego.

Z kolei składali sprawozdania z 3-letniej kadencji: Przewodniczący Rady Naczelnej gen. T. Bór-Komorowski, przewodniczący Komisji Rewizyjnej K. Bogacki, który zgłosił wniosek o udzielenie absolutorium z podziękowaniem, przewodniczący Głównego Sądu Koleżeńskiego S. Juszcakiewicz. Nadto sprawozdania złożyli: z działalności Samodzielnego Oddziału Koła AK w Paryżu — A. Baranowski, Samodzielnego Oddziału w Monachium — T. Za-

wadzki, a z Okręgu Koła AK w Stanach Zjednoczonych — P. Hęciak (jako pełnomocnik.) Szereg ciekawych informacji o przygotowaniach i przebiegu uroczystości 25-lecia Polski Podziemnej w Stanach Zjednoczonych i odsłonięciu tablicy pamiątkowej w Kanadzie udzielił mec. S. Korboński i A. Pomian, poza tym sprawozdania złożyli: J. Konopacka — przewodnicząca Okręgu W. Brytanii Koła AK, S. Kopeć z Manchester, dr M. Łuk-Kozika — Samodz. Oddział Koła AK w Sydney i Fr. Miszcak — jako pełnomocnik — w imieniu Sam. Oddziału w Sydney.

Po ożywionej dyskusji Zjazd udzielił ustępującej Radzie jednomyślnie absolutorium z podziękowaniem.

Tego samego dnia w godzinach popołudniowych odbył się w sali teatralnej „Ogniska Polskiego“ w Londynie specjalny wieczór pt.: „W służbie Polski“ na którym trzy zasadnicze przemówienia poświęcone zagadnieniom krajowym (w szczególności akcji ZBOWiDu) oraz w sprawie zadań emigracji politycznej wygłosili mec. S. Korboński, T. Zawadzki i A. Pomian. Wszystkie przemówienia wysłuchane były z wielkim zainteresowaniem, a mówców nagrodzono oklaskami. Był to niewątpliwie bardzo udany wieczór.

W godzinach wieczornych pracowały do późnej nocy trzy komisje zjazdowe: matka — pod przewodnictwem P. Hęciaka, programowo-ideologiczna — A. Pomiana i statutowo-organizacyjna — St. Kocpia.

Drugi dzień Zjazdu rozpoczęto od wysłuchania Mszy św. w Brompton Oratory odprawionej przez ks. superiora T. Spornego. W wyniku tajnych głosowań do nowej Rady Naczelnej wybrani zostali: gen. T. Bór-Komorowski — jednomyślnie. Wybór ten uczestnicy Zjazdu powitali serdecznymi oklaskami. Poza tym do Rady weszli: M. Bi-

Insurekcji Kościuszkowskiej aż do naszych czasów kosztem ofiary krwi, poświęceń i wyrzeczeń dążyły do oparcia życia narodu polskiego o zasady niepodległości, wolności i sprawiedliwości społecznej, my, b. żołnierze Armii Krajowej, zebrani na Dziesiątym Zjeździe Delegatów Koła AK, wierni swej tradycji, uważamy za swój obowiązek dalszą walkę o najwyższe wartości narodowe, deptane nadal brutalnie na ziemi ojczystej.

Stanowiąc część składową emigracji polskiej, braliśmy, bierzemy i będziemy brać dalej udział we wspólnych wysiłkach Polaków w

wolnym świecie, zmierzających do przywrócenie krajowi niepodległości i wolności. Obecni rządzący komunistyczni w Polsce, aby usankcjonować gwałt, który jako narzędzie Związku Sowieckiego, zadali narodowi polskiemu, i aby umocnić swą władzę, usiłują się przedstawiać drogą fałszów i przeinaczeń, jako kontynuatorzy głównego nurtu naszych dziejów. Walka o prawdę historyczną staje się w tych warunkach jedną z głównych form walki o niepodległość, zwłaszcza, że młode polskie pokolenie nie zawsze jest w pełni świadome przeszłości.

Zadaniem naszym, b. żołnierzy Armii Krajowej, jest danie świadectwa prawdzie o zmaganiach Kraju w la-

tach okupacji niemieckiej i sowieckiej podczas drugiej wojny światowej, zmaganiach, których byliśmy uczestnikami.

Przekonani, że naród nie zrezygnował ze swego prawa do samodzielnego bytu, zawsze w końcu cel swój osiąga, my, b. żołnierze Armii Krajowej pozdrawiamy Was gorąco, Bracia w Kraju, śląc Wam słowa wiary, nadziei i braterskiego oddania.

* * *

Zebrani na Dziesiątym Zjeździe Delegatów Koła AK przesyłamy wyrazy czci tym wszystkim towarzyszy więzienia UB w Kraju, tym, którzy przeszli przez wieloletnie obozy karne sowieckie, tym wszystkim, którzy znosząc przesładowanie, tortury i mękę wykazali nieugiętą siłę ducha i niezachwianą postawę ideową w służbie niepodległości. Chylimy czoło przed tymi z nich, którzy w walce tej ponieśli śmierć.

* * *

Dziesiąty Zjazd Delegatów koła AK stwierdza, że ZBOWiD nie jest prawdziwą i samodzielną organizacją, mogącą reprezentować tych wszystkich, którzy od kampanii wrzesniowej poczynając walczyli o niepodległość Polski w konspiracyjnych, a później jawnych formacjach Polskiej Podziemnej oraz w szeregach Polskich Sił Zbrojnych w Kraju i na Zachodzie.

ZBOWiD, którym obecnie kierują funkcjonariusze służby bezpieczeństwa z Moczarem na czele, został powołany do życia przez partię komunistyczną i stanowi jedną z jej agend, mającą za zadanie kierowanie masami kombatanckimi zgodnie z dyrektywami partii. Jedną z takich zasadniczych dyrektyw jest infiltrowanie przez ZBOWiD organizacji kombatanckich na emigracji i w ostatecznym wyniku podporządkowania ich ZBOWiDowi.

Z tego względu Dziesiąty Zjazd Delegatów Koła AK stwierdza, że tej akcji infiltacyjnej przeciwstawia się z całą stanowczością.

KRZYŻÓWKA Nr 578/65

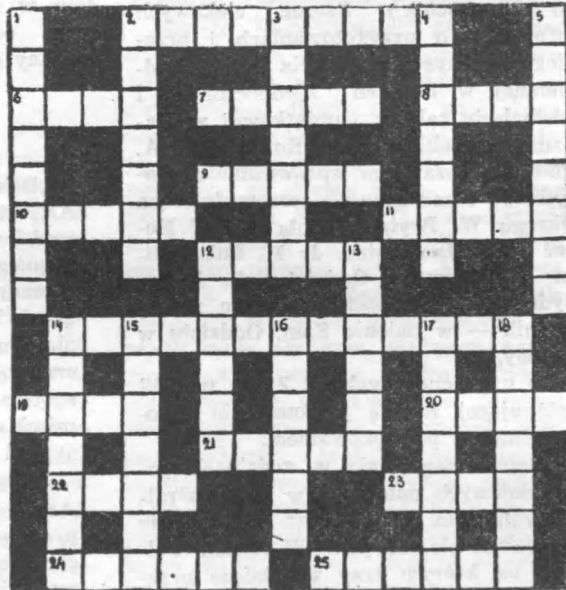
ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 2) gdy zmysły cię zawodzą; 6) i 8) sprawa często kłopoty w rodzinie, a gdy bardzo dokuca trzeba go usunąć?; 7) do niego zamiast do diabła!; 9) służący; 10) imię męskie; 11) robak; 12) przysłowiowo powolna; 14) ni to ni owo (2, 4, 2, 5); 19) związek na emigracji (wspak); 20) sprzyja schadzkom; 21) „Legnie przedemną twych poetów...” (wspak); 22) i 23) niejednego ucznia przyprawia o ból głowy?; 24) zawierzył jej Holofernes; 25) państwo w Himalajach.

Pionowe: 1) tyle co doskonali; 2) jednostka; 3) tęskniła do nich Zosia? (wspak); 4) oderwanie się od rzeczywistości; 5) autor „Księcia”; florentczyk; 12) gagatek; 13) okres, który się już kończy; 14) bywa czarny, bywa różowy?; 15) od gardła do drutu, ciągle to samo; 16) pół na pół; 17) założyciel zakonu koznadziejskiego; 18) szczyt, najwyższy punkt.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 577/65

Poziome: 1) i 5) prowokator, 3) i 16) markiz, 8) doniec, 10) Papkin, 11) zgoła, 12) wyrzuty sumienia, 15) Synaj, 18)



krzyk, 20) i 22) wojownik, 21) śluza, 25) brednie (wspak), 26) obelisk, 27) przebrać miarę.

Pionowe: 1) podziw, 2) okno, 4) słomka (wspak), 6) takt, 7) renoma, 9) czata, 10) Parma, 13) wołacz (wspak), 14) gwaśze (wspak), 15) skweres, 16) kalambur, 17) zazdrość, 19) kukułka, 23) leże, 24) teki.

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W.11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf” — 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syréna-Elka” — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 731520; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/1; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTYNI: „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.”, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf”, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa”, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. W POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.



Uczestnicy X Zjazdu Delegatów Koła AK w Londynie (o czym piszemy obszerniej na str. 47 i 48) dyskutowali żywo na plenum i w przerwie. Oto kilka uchwyconych na gorąco fragmentów: rząd górny z lewej — mec. S. Korboński z Waszyngtonu; (w środku) — gen. T. Bór-Komorowski w rozmowie z E. Długoszewskim (w środku) i z członkiem Zarządu Głównego W. Otockim; z prawej — A. Jachnikowa, delegatka Okręgu W. Brytania Koła AK. Rząd środkowy z lewej — M. Bispingowa — długoletnia i ofiarna sekretarka Zarządu Głównego w rozmowie z prezesem Zarządu, Fr. Miszczakiem; z prawej — J. Konopacka, która od wielu lat ofiarnie przewodniczy Okręgowi W. Brytania Koła AK i Z. Szagonowa (w kapeluszu) — także delegatka Okręgu wielkobrytyjskiego. U dołu: dwaj generałowie — gen. T. Bór-Komorowski i gen. T. Pełczyński — w rozmowie z przewodniczącym Zjazdu T. Zawadzkiem z Monachium. Z prawej: M. Mandziara z Londynu w dyskusji z A. Pomianem z Waszyngtonu, przewodniczącym komisji programowej na Zjeździe.



GRYF — KSIĘGARNIA S.P.K.

GRYF PUBLICATIONS LTD. I P.C.A. PUBLICATIONS LTD.

171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. — Tel. BAT 1445

20, Queen's Gate Terrace, London, S.W. 7. — Tel. KNI 3500

ZAWIADAMIAJĄ O UKAZANIU SIĘ KSIĄŻEK:

Zygmunt Nowakowski — WIECZORY POD DĘBEM. Str. około 500. Ilustracje.

Cena: 42/-, \$ 6.00 lub F. 30.00.

Autor — niezrównany felietonista, publicysta, dramaturg i pisarz — występuje tym razem w roli historyka w znakomitym zbiorze gawęd z dziejów Polski. Gawędy swą treścią i formą stanowią wspaniałą lekturę dla każdego czytelnika bez względu na wiek, smak literacki i zainteresowania. „Wieczory pod dębem“ to opowieść o naszej tysiącletniej przeszłości, wyzwolona ze sztywnych więzów pedanterii, błyskotliwa, potoczna, pełna humoru i przypiętowana historiozoficzną pointą. Każdy rozdział stanowi całość. W sumie książkę czyta się jak najlepsze felietony Nowakowskiego.

Michał Sokolnicki — DZIENNIK ANKARSKI. Stron 576. Ilustracje i indeks.

Cena: 52/6, \$ 7.00 lub F. 32.00.

Senior historyków i dyplomatów polskich, współpracownik Józefa Piłsudskiego sprzed I wojny światowej i w czasie czynu zbrojnego Legionów, autor „Roku 1914“. Druga wojna światowa zastaje go na placówce polskiej ambasady w Ankarze, gdzie przebywa do dziś. Autor pamiętnika przedstawia panoramę wojenną Europy, widzianą oczyma wnikliwego dyplomaty z ważnego i interesującego punktu obserwacyjnego.

UKAŻE SIĘ W CIĄGU MIESIĄCA

Mina Tomkiewicz — BOMBY I MYSZY. Str. 336. Cena: 35/-, \$ 5.00 lub F. 24.00.

Powieść mieszczańska, obejmuje schyłkowy okres współżycia Żydów i Polaków w Warszawie, okupowanej przez Niemców. Nie jest to powieść bohatera. W piekle warszawskiego getta toczy się w niezwykłych warunkach życie przeciętnych ludzi, zwykłych mieszczan — toczy się nieubłaganie w kierunku śmierci. Trafność psychologicznych obserwacji, szczerość ekspresji oraz styl czynią z książki wartościową pozycję w literaturze tego okresu. Przed kilku laty ukazała się ona w przekładzie hebrajskim i została przyjęta pochlebna krytyka.

NA ŚWIĘTA!

ORYGINALNE POLSKIE WÓDKI

WÓDKA WYBOROWA 73 Pr. (Blue Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 56/6, $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0,
 $\frac{1}{4}$ but. — 28/6, $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 15/0, Setka — 8/4, Min. — 4/6

WÓDKA WYBOROWA 65.5 Pr. (Red Label) $\frac{3}{4}$ ltr. — 47/6
 $\frac{1}{2}$ but. — 24/3; $\frac{1}{4}$ but. (Flask) — 12/6

WÓDKA LUKSUSOWA 79 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 39/11

WÓDKA KRAKUS 65.5 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 47/6; $\frac{1}{2}$ but. — 24/3

WÓDKA SOPLICA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0

WIŚNIÓWKA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0; $\frac{1}{2}$ but. — 28/3

JARZĘBIAK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37; Min. — 4/6

ZUBRÓWKA 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/0; Min. — 4/6

ŚLIWOWICA 69 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 54/0; $\frac{1}{2}$ but. — 27/6

WIŚNIAK 42 Pr. $\frac{3}{4}$ ltr. — 42/6; $\frac{1}{2}$ but. — 22/0

KRUPNIK 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 38/6; Min. — 5/0

STARKA 87 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 48/0; Min. — 5/3

SPIRYTUS 100 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 36/9

SPIRYTUS 140 Pr. $\frac{1}{2}$ but. — 49/9; Min. — 7/4

GOLDWASSER 70 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 37/6; Min. — 4/6

CASSIS 61 Pr. $\frac{1}{2}$ ltr. — 33/0; Min. — 4/3

WINA OWOCOWE — butelka — 10/9

B L I Ź N I A K I (Twin Pack) — 14/6

M I O D Y

WAWEL — $1\frac{1}{2}$ litra — 39/0; $\frac{3}{4}$ litra — 19/0; setka — 3/3

BABUNIA w specjalnych butelkach $\frac{3}{4}$ ltr. — 28/6

NADWIŚLAŃSKI w kolorowych kamionkach $\frac{3}{4}$ ltr. — 24/6

PIWO TATRA - ŻYWIEC, Okocimskie i Porter

Do nabycia po powyższych cenach w każdym dobrym sklepie win i wódek.

Wyl. Importer

EDOUARD ROBINSON LTD.

21, Old Compton Street, LONDON, W. 1.

Tel. GER 3367